

Gerald Durrell

Moje ptaki, zwierzaki i krewni

(Birds, Beasts and Relatives)

Przełożyli

Anna Przedpelska-Trzeciakowska

Andrzej Trzeciakowski

Teodorowi Stephanidesowi
z wdzięcznością za uśmiech i naukę

Rozmowa

Zimę mieliśmy ostrą; nawet w momencie, kiedy powinna już nadejść wiosna, krokusy, które pokładają wzruszającą ufność w następstwie pór roku, musiały rozpaczliwie przebijać sobie drogę przez cienką skorupę śnieżną. Niskie, ołowiane chmury groziły w każdej chwili jeszcze jedną śnieżycą, a wokół domu wyl przelikliwy wiatr. Wszystko razem wzięwszy nie była to idealna pogoda na zjazd rodzinny, zwłaszcza, jeśli to był zjazd naszej rodziny.

Szkoda, myślałem, że akurat kiedy spotkali się w Anglii pierwszy raz po wojnie, musiała ich przywitać niemal zamieć śnieżna. Nie pomagało im to pokazać się od najlepszej strony, byli bardziej niż zwykle przewrażliwieni i mniej skłonni do wyrozumiałości dla czyjegokolwiek punktu widzenia z wyjątkiem oczywiście własnego.

Zbili się, jak stado osowiałych lwów, wokół kominka, na którym huczał ogień tak jasny i wysoki, że groził pożarem. Moja siostra, Margo, doprowadziła do tego w bardzo prosty sposób, mianowicie wyciągnęła z ogrodu szkielet niewielkiego drzewka i wsunawszy go jednym końcem w kominek, drugi złożyła beztrasko na dywaniku. Matka robiła coś na drutach, ale z nieco roztargnionego wyrazu jej twarzy i poruszeń warg, jakby w niemej modlitwie, można było wnosić, że w gruncie rzeczy zajęta jest obmyśleniem menu na następny lunch. Mój brat Leslie schował się za ogromny podręcznik balistyki, zaś najstarszy z nas, Lawrence, w ogromnym rybackim golfie (o kilka numerów za dużym), stał przy oknie i kichał zawzięcie i systematycznie w wielką czerwoną chustkę.

– To straszny kraj – odwrócił się ku nam wojowniczo, jakbyśmy byli wszyscy bezpośrednio odpowiedzialni za panujące tu warunki klimatyczne. – W momencie kiedy człowiek wychodzi na brzeg w Dover, natychmiast dostaje się w ogień zaporowy zarasków kataru... Czy zdajecie sobie sprawę, że przez dwanaście lat, aż do dziś, ani razu nie byłem zaziębiony? Tylko dlatego, że miałem dosyć oleju w głowie, żeby się trzymać z daleka od tej Puddingowej Wyspy. Każdy, kogo tu spotykam, ma katar. Wszyscy mieszkańcy Wysp Brytyjskich nie robią od początku do końca roku nic innego, tylko kręcą się w małych grupkach i lubieżnie kichają jeden drugiemu w nos... można powiedzieć: infekcja karuzelowa. Jakie szanse przeżycia ma człowiek w takim kraju?

– Jesteś po prostu zakatarzony, a gadasz, jakby się świat kończył – stwierdziła Margo. – Nie rozumiem, dlaczego mężczyźni zawsze robią koło siebie tyle zamieszania.

Larry rzucił jej miażdżące spojrzenie załamanych oczu.

– Cały kłopot z wami jest w tym, że odpowiada wam pozycja męczenników. Tylko ktoś o masochistycznych skłonnościach może siedzieć w tym... w tym... wirusowym rajku. Ogarnął was bezwład. Polubiliście już to tarzanie się w morzu infekcji. Można by zrozumieć czy usprawiedliwić kogoś, kto nigdy nie wytknął stąd nosa, ale wy, coście zaznali słońca Grecji,

powinniście mieć przecież jakieś rozeznanie.

– Widzisz, kochany – rozległ się uspokajający głos matki – przyjechałeś tutaj w fatalnej porze. Tu naprawdę bywa całkiem miło. Na przykład wiosną.

Larry spojrzał na nią wściekły.

– Z przykrością wyrywam cię z tego snu Ripa Van Winkle, ale podobno teraz właśnie jest wiosna... i spójrz tylko: żeby pójść na pocztę i nadać list, trzeba mieć sanie i zaprzęg psów.

– Śniegu ledwie na ćwierć cala – wtrąciła Margo.

– Zgadzam się z Larrym – Leslie wynurzył się spoza swojej księgi. – Mróz na dworze jak cholera. W takim zimnie człowiekowi wszystkiego się odehciewa. Nawet zapolować przyzwoicie nie można.

– No właśnie – triumfował Larry – podczas gdy w rozsądnym kraju, takim jak Grecja, zjedlibyśmy śniadanie na dworze, a potem poszli się wykapać w morzu. A tutaj zęby mi tak szcękają, że ledwo mogę zjeść śniadanie.

– Wolałbym, żebyście przestali wciąż gadać o Grecji – zrzędził Leslie. – To mi przypomina tę cholerną książkę Gerry’ego. Ileż lat musiało upłynąć, żebym mógł po niej wrócić do normalnego życia.

– Żebyś ty mógł wrócić do normalnego życia! – ironizował Larry. – A co ze mną? Nie masz pojęcia, jak ta dickensowska karykatura zniekształciła moją sylwetkę pisarską!

– Z tego, jak mnie opisał, można by sądzić, że nigdy nie myślałem o niczym innym jak o broni i łodziach.

– No, ale przecież ty nigdy o niczym innym nie myślisz.

– To ja jestem najbardziej poszkodowana – pisnęła Margo. – On przez cały czas rozpisywał się o moim trądziku.

– Moim zdaniem wszystkich was całkiem nieźle sportretował – stwierdziła matka – tyle że ze mnie zrobił kompletną idiotkę.

– Nie miałbym pretensji, gdyby ktoś napisał na mnie paszkwil przyzwoitą prozą – mówił Lany, wycierając hałaśliwie nos – ale żeby mnie obmawiano kiepską angielszczyzną, to nie do zniesienia.

– Już sam tytuł był obraźliwy – stwierdziła Margo. – „Moja rodzina i inne zwierzęta”. Aż do znudzenia wysłuchiwałam: a jakie pani jest zwierzę?

– Tytuł wydawał mi się dosyć zabawny, kochanie – mówiła matka. – Myślałam tylko, że on nie opisał najlepszych historii.

– Tu się zgadzam – przytaknął Leslie.

– Jakich najlepszych historii? – podejrzliwie zagadnął Lany.

– No, na przykład, jak opływałeś wyspę na jachcie Maksa. To było okropnie zabawne.

– Gdyby ogłosił tę historię drukiem, wytoczyłbym mu proces.

– Nie rozumiem, dlaczego. To było bardzo śmieszne – stwierdziła Margo.

– A co wobec tego z twoją fikcją na temat spirytualizmu? Gdyby to opisał, pewno byś się ucieszyła, co? – zjadliwie zapytał Larry.

– Nie... to niemożliwe... tego by przecież nie zrobił! – w głosie Margo zabrzmiało przerażenie.

– Widzisz. A co na przykład ze sprawą sądową Lesliego? – triumfował Larry.

– Nie rozumiem, po co mnie w to wciągacie – warknął Leslie.

– Bo twierdzisz, że on nie opisał najlepszych historii – wyjaśnił Larry.

– Tak, zapomniałam o tym wszystkim – zachichotała matka. – Naprawdę, Gerry, one były chyba zabawniejsze niż tamte, które wybrałaś.

– Cieszę się, że tak sądzisz – mruknąłem.

– Czemu? – Larry spojrział na mnie podejrzliwie.

– Ponieważ postanowiłem napisać jeszcze jedną książkę o Korfu i uwzględnić te wszystkie zdarzenia – odparłem z niewinną miną.

Jakby w nich piorun strzelił.

– Zabraniam! – ryczał Leslie kichając zajadle. – Najsurowiej ci zabraniam!

– Nie wolno ci pisać o spirytualizmie! – krzyczała Margo.

– Ani o mojej sprawie sądowej – warczał Leslie. – Tego nie zniosę.

– A jeśli słowem wspomnisz o jachcie!... – darł się Larry.

– Larry, kochanie, proszę nie podnoś głosu! – napominała go matka.

– Wobec tego zabroń mu pisać! – wrzeszczał Larry.

– Nie mów głupstw, jakże ja mu mogę zabronić?

– Chcesz, żeby się to wszystko powtórzyło? – mówił ochryplym głosem Lany. – Listy z banku, żebyś łaskawie spłaciła wystawione czeki bez pokrycia, podejrzliwe spojrzenia naszych dostawców, kaftany bezpieczeństwa podrzucane anonimowo na progu, cała rodzina obrażona. Jesteś przecież naszą matką, więc nie pozwól mu tego pisać!

– Przesadzasz, Lany – tłumaczyła matka. – Zresztą nie mogę mu zabronić, jeśli on tak chce. Nie sądzę, żeby z tego mogło wynikać coś złego, a te historie naprawdę są najlepsze. Nie rozumiem, czemu by nie miał napisać dalszego ciągu?

Cała rodzina porwała się jak jeden mąż i zaczęła jej wrzaskliwie wyjaśniać, dlaczego nie powinienem pisać dalszego ciągu.

– Było jeszcze kilka innych wydarzeń – powiedziałem z zastanowieniem.

– Na przykład? – Matka była zaciekawiona. Moje rodzeństwo, najeżone, wpatrywało się we mnie z wypiekami na twarzy w wyczekującym milczeniu.

– No cóż – mówiłem w zamyśleniu. – Chciałbym opisać twój romans z kapitanem Creech, mamo.

– Co takiego? – głos matki zachrypl z oburzenia. – Tego nie zrobisz!... Romans z tym obrzydliwym starcem! Coś podobnego! Nie pozwolę ci o tym pisać.

– No cóż, mnie się wydaje, że to jest naprawdę najlepsze – wycedził Lany ze złośliwym uśmiechem. – Romans tętniący namiętnością... rozkoszny, staroświecki wdzięk mężczyzny grającego główną rolę... i te twoje awanse...

– Och, cicho bądź, Lany. – Matka była naprawdę zła. – Widzisz, że mnie denerwujesz. Słuchaj, Geny, nie sądzę, żeby to był dobry pomysł z tą książką.

– Popieram wniosek – oświadczył Lany. – Jeśli ją napiszesz, zespołowo wytoczymy ci proces.

Wobec protestu zjednoczonej rodziny, która postanowiła za wszelką cenę powstrzymać mnie od chwycenia za pióro, pozostawało mi tylko jedno: usiąść i napisać.

Część pierwsza

Londyn: Preludium

Cóż poza tym widzisz w ciemnej przeszłości i otchłani czasu?

BURZA

Potyczka z duchami

Wszystko zaczęło się od tego, że Margo gwałtownie przybrała na wadze. W bardzo krótkim czasie zrobiła się, ku swemu przerażeniu, krągła jak piłka. Wezwano doktora Androuchelli, który zawsze nas leczył tu, na Korfu, by obejrzał to dziwo. Zbadawszy Margo wydał szereg zafrasowanych pomruków, przepisał różne pigułki i kropelki oraz skomplikowaną dietę – wszystko bezskutecznie.

– On powiada – zwierzyła się nam zalana łzami Margo pewnego dnia przy lunchu – że to sprawa gruczołowa!

– Gruczołowa! – w głosie matki zabrzmiało przerażenie. – Co to znaczy: gruczołowa?

– Nie wiem – lamentowała Margo.

– Czy twoje dolegliwości musimy zawsze omawiać przy jedzeniu? – pytał Lany.

– Larry, kochanie, Androuchelli powiada, że to gruczołowe! – tłumaczyła matka.

– Bzdura! – machnął ręką Larry. – Typowe szczenięce sadło!

– Szczenięce sadło! – kwiknęła Margo. – A czy ty wiesz, ile ja ważę?

– Potrzeba ci więcej ruchu – stwierdził Leslie. – Czemu się nie weźmiesz za żeglarstwo?

– Nie zmieściłaby się w łodzi – mruknął Larry.

– Bydle! – Margo wybuchnęła płaczem. – Nie mówiłbyś tak, gdybyś wiedział, co ja przeżywam!

– Larry, kochanie – uspokajała matka. – To, co powiedziałaś, było bardzo nieładne.

– A jak ja mam mówić! Łazi wszędzie z tą gębą jak cętkowany arbuz – Larry był zirytowany. – Mówicie tak, jakby to była moja wina.

– Trzeba coś na to poradzić – zdecydowała matka. – Jutro pójde do doktora Androuchellego.

Ale doktor Androuchelli powtórzył tylko, że jego zdaniem jest to sprawa gruczołowa i że Margo powinna natychmiast jechać na kurację do Londynu. Wobec tego po huraganie listów i depesz wysłano ją tam i oddano pod troskliwą opiekę jedynych zacnych krewniaczek, z którymi jeszcze utrzymywaliśmy stosunki – kuzynki mamy, Prudencji, i jej matki, a naszej ciotecznej babci, Fan.

Przez dłuższy czas nie mieliśmy żadnych wiadomości od Margo poza krótkim listem, w którym donosiła, że dojechała cała i zdrowa i że wraz z kuzynką Prue i ciocią Fan zamieszkały w miłym hotelu koło Notting Hill Gate oraz że skontaktowano ją z dobrym lekarzem.

– Chciałabym, żeby przyszedł wreszcie list od Margo – martwiła się matka.

– Ależ, mamó! – obruszył się Larry. – Cóż ona mogłaby ci opisywać prócz zmian w swojej figurze?

– Wolalabym jednak wiedzieć, co się z nią dzieje – upierała się przy swoim matka. – Mimo wszystko to przecież Londyn.

– A cóż Londyn ma z tym wspólnego?

– W takim dużym mieście wszystko może się zdarzyć – ponuro zawyrokowała matka. – Słyszysz różne rzeczy o dziewczynach w wielkich miastach.

– Doprawdy, mamo, martwisz się całkiem bez powodu. – Larry był rozdrażniony. – Na litość boską, jak sądzisz, co się jej mogło przytrafić? Myślisz, że ją zwabili do jakiejś jaskini rozpusty? Przecież nie zdołaliby jej wepchnąć przez drzwi.

– To naprawdę nie jest temat do żartów – napomniała go surowo matka.

– Bo ty bez najmniejszego powodu zaraz wpadasz w panikę – upierał się Lany. – Pytam cię, jaki szanujący się handlarz żywym towarem spojrzełby drugi raz na Margo? A zresztą, czy znalazłby się ktoś na tyle silny, żeby ją zdołał złapać i uprowadzić?

– No cóż, niepokoję się – obstawała przy swoim matka – i mam zamiar zatelegrafować.

Wysłała więc depeszę do kuzynki Prudencji, a ta odpisała po pewnym czasie, że Margo zadaje się z ludźmi, z którymi znajomości ona, Prue, nie pochwała, i chyba byłoby dobrze, gdyby matka przyjechała i wlała córce trochę oleju do głowy. Rozpętało się piekło. Matka w popłochu wysłała Spiro, naszego samozwańczego i niezastąpionego przewodnika, filozofa i przyjaciela, żeby kupił bilety, a sama nieprzytomnie rzuciła się do pakowania. Wtem przypomniała sobie o mnie. Sądząc, że więcej doznam szkody niż pożytku, jeśli zostanę pod czułą opieką dwóch starszych braci, postanowiła zabrać mnie ze sobą. Wysłano więc Spiro po następne bilety, po czym nastąpiło dodatkowe pakowanie. Dla mnie ten wyjazd spadał z nieba, ponieważ właśnie oddany zostałem pod opiekę nowego wychowawcy, pana Ryszarda Kralefsky'ego, który usiłował – przeciwstawiając ponury upór mojej niechęci – nauczyć mnie francuskich czasowników nieregularnych, toteż uważałem, że wycieczka do Anglii przyniesie mi bardzo potrzebne wychnienie.

Podróż pociągiem nie obfitowała w żadne przygody, matka tylko bała się ustawicznie, że aresztują nas faszystowscy *carabinieri*. W Mediolanie obawy te wzrosły stokrotnie, kiedy na zaparowanej szybie okna w przedziale narysowałem karykaturę Mussoliniego. Mama, z zapalem praczki stojącej do zawodów, chyba z dziesięć minut wycierała ją chusteczką, póki wreszcie uznała, że już nic nie znać.

Przyjazd późnym wieczorem do Londynu był wstrząsem dla nas, którzy przybywaliśmy tu ze słonecznych, spokojnych, niespiesznych dni na Korfu. Dworzec był pełen zapędzonych nieznanymi ludźmi, o twarzach szarych i zmartwionych. Tragarze mówili jakimś niemal niezrozumiałym językiem, Londyn jarzył się od świateł i kipiał tłumem. Taksówka torowała sobie drogę ku Piccadilly jak ślepiec na pokazie ogni sztucznych. Dojmujące zimno sprawiało, że przy mówieniu wydobywał się z ust obłoczki pary – czułem się jak postać z historyjek obrazkowych.

Taksówka zatrzymała się wreszcie przed pokrytymi sadzą pseudokorynckimi kolumnami

Balaclava Mansions. Wnieśliśmy bagaże do hallu z pomocą starszego irlandzkiego portiera o kabłąkowatych nogach, nikt na nas jednak nie czekał z powitaniem, widocznie telegram zapowiadający nasz przyjazd gdzieś się zawieruszył w drodze. Portier powiedział nam, że młoda dama udała się na zebranie, a panna Hughes i starsza pani poszły nakarmić psy.

– Co on powiedział, synu? – spytała matka, kiedy wyszedł z pokoju, mówił bowiem z tak silnym akcentem, że brzmiało to niemal jak obcy język. Odparłem, że Margo jest na zebraniu, a kuzynka Prue i ciocia Fan karmią psy.

– Co to znaczy? – zdumiała się matka. – Na jakie zebranie poszła Margo? O jakich on psach mówi?

Powiedziałem, że nie wiem, ale z tego, co dotąd widziałem, przydałoby się Londynowi trochę więcej psów.

– No cóż – matka włożyła niezdarnie szylinga do gazomierza i zapaliła grzejnik. – Chyba musimy się rozgościć i czekać na ich powrót.

Po godzinie czekania drzwi otworzyły się gwałtownie, do pokoju wpadła kuzynka Prue i rozwarłszy szeroko ramiona, wołała:

– Luie, Luie, Luie! – niby jakiś osobliwy ptak błotny. Uściskała nas oboje, a jej oczy, ciemne jak tarki, błyszczały serdecznością i podnieceniem. Wycalowałem ją sumiennie – miała śliczną twarz o delikatnym zapachu, aksamitną jak bratek.

– Myślałam, że już nigdy nie przyjedziecie – mówiła. – Mamusia idzie na górę. Trudno jej, biedaczce, uporać się ze schodami. No, niechże popatrzę, doskonale oboje wyglądacie. Musicie mi wszystko opowiedzieć. Podoba ci się ten hotel, Luie? Jest tani i wygodny, ale moc tu bardzo dziwnych ludzi.

Przez otwarte drzwi doszło nas ciche sapanie.

– O, idzie mamusia! – zakrzyknęła kuzynka Prue. – Mamusiu, mamusiu! Luie przyjechała!

W drzwiach ukazała się moja cioteczna babka Fan. Pomyślałem, trochę okrutnie, że na pierwszy rzut oka przypomina ruchomy namiot. Okutana była w rdzawoczerwony tweedowy strój niewiarygodnego kroju i rozmiaru. Na głowie miała nieco zmalretowany sztruksowy kapelusz, przypominający fasonem nakrycia głowy, jakie ponoć noszą wróżki. Spoglądała swoim wzrokiem przez połyskujące okulary.

– Luie! – krzyknęła rozkładając szeroko ramiona i wznosząc oczy w górę, jakby mama była jakimś niezwykłym zjawiskiem. – Luie i Gerald! Przyjechaliście!

Zostaliśmy z matką serdecznie wyściskani i ucałowani. Nie był to czarodziejski, delikatny jak kwiat uścisk kuzynki Prue. Był to szczerzy uścisk, od którego pękały żebra, i mocny pocałunek, po którym człowiek miał siniaki na wargach.

– Tak mi przykro, że nas tu nie było, by was powitać, moja droga – tłumaczyła Prue – ale nie wiedziałyśmy, kiedy przyjedziecie, a musiałyśmy nakarmić psy.

– Jakie psy? – zainteresowała się matka.

– Jakież by inne jak nie moje szczeniaki, bedlingtony. Nie wiesz? Pisaliśmy chyba, że zajęliśmy się z mamusią hodowlą psów – roześmiała się dźwięcznym, nieśmiałym śmiechem.

– Ale ostatnio hodowaliście chyba coś innego – przypominała sobie matka. – Kozy, prawda?

– Tak, ciągle je trzymamy – kiwała głową ciotka Fan. – I pszczoły, i kury. Ale Prudencja doszła do wniosku, że byłoby dobrze zacząć hodować psy. Ona ma taką świetną głowę do interesów...

– Naprawdę, Luie, sądzę, że na tym można zarobić – tłumaczyła z powagą Prue. – Kupiłam Tinkerbella, a potem Lucybella.

– A potem Tinybella... – wtrąciła ciotka Fan.

– I Tinybella – przytaknęła Prue.

– No i jeszcze Lucybella – dodała ciotka Fan.

– Och, mamusiu, proszę, bądź cicho. Przecież już powiedziałam o Lucybell.

– No i jeszcze Tinkerbella – upierała się ciotka Fan.

– Mamusia ostatnio ma trochę kłopotów ze słuchem – tłumaczyła zupełnie niepotrzebnie niezmiészana tym Prue. – No i każda z nich miała szczeniaki, więc je przywiozłam do Londynu na sprzedaż, a jednocześnie mam oko na Margo.

– No właśnie, gdzie jest Margo? – spytała matka. Prue podeszła na palcach do drzwi i zamknęła je cicho.

– Jest na zebraniu, kochanie.

– Wiem, ale na jakim zebraniu? Prue rozejrzała się nerwowo.

– Na zebraniu spirytualistycznym – syknęła.

– No i Lucybella – przypomniała sobie ciotka Fan.

– Och, mamusiu, proszę, bądź cicho.

– Na zebraniu spirytualistycznym? – powtórzyła matka. – A po cóż ona poszła na zebranie spirytualistyczne?

– Żeby leczyć otyłość i trądzik – wyjaśniła ciotka Prue. – Ale zapamiętaj moje słowa: z tego nic dobrego nie wyniknie. To są złe moce.

Widziałem, że matkę zaczyna ogarniać przerażenie.

– Nie bardzo rozumiem – powiedziała. – Przysłałam Margo do Anglii, żeby ją leczył ten doktor, jak on się nazywa?

– Wiem, że ją po to przysłałaś, ale kiedy zamieszkała w tym hotelu, wpadła w szpony pewnej złej kobiety.

– Jakiej złej kobiety? – matka naprawdę była teraz strasznie przerażona.

– Kozy też mają się dobrze – ciągnęła ciotka Fan – ale dają w tym roku mniej mleka.

– Och, mamu, proszę, bądź cicho – syknęła Prue. – Mam na myśli tę złą kobietę, panią Haddock.

– Haddock, haddock [[ang.] łupacz (ryba)] – powtarzała matka oszołomiona. Każda wzmianka kulinarna zawsze przerywała jej tok myśli.

– To medium, kochanie – tłumaczyła Prue – i przyczepiła się do Margo. Powiedziała jej, że ma przewodnika.

– Przewodnika – powtórzyła matka słabym głosem. – Jakiego przewodnika?

Wiedziałem, że w tym stanie osłupienia zaczyna sądzić, iż Margo zaczęła się entuzjasmować wspinaczką wysokogórską czy czymś podobnym.

– Ducha-przewodnika – tłumaczyła Prue. – Nazywa się Mawake. Podobno to Czerwonoskóry.

– Mamu już dziesięć uli – stwierdziła z dumą ciotka Fan. – Zbieramy dwa razy więcej miodu.

– Mamusiu, proszę, bądź cicho!

– Nie rozumiem – mówiła żałośnie matka. – Czy ona już nie chodzi do tego doktora na zastrzyki?

– Nie chodzi, bo tak jej poradził Mawake – oznajmiła z triumfem Prue. – Trzy seanse temu powiedział – jak twierdzi Margo, a wszystko to idzie poprzez panią Haddock, więc nie można wierzyć ani jednemu słowu – a więc zgodnie z tym, co mówi Margo, Mawake powiedział jej, żeby nie brała więcej nakłuwań.

– Nakłuwań? – spytała matka.

– No, pewno Czerwonoskórzy tak nazywają zastrzyki – tłumaczyła Prue.

– Jak miło znowu cię zobaczyć, Luie – cieszyła się ciotka Fan. – Myślę, że powinniśmy się razem napić herbaty.

– To dobry pomysł – powiedziała matka słabym głosem.

– Nie zejść na dół, mamusiu, i nie zamówię herbaty. – Prue rzucała lękliwe spojrzenia na drzwi, jakby za nimi czyhali wszyscy szatani z piekła rodem. – Nie teraz, kiedy mają zebranie.

– Czemu, co się może stać? – spytała matka.

– I miałabym chyba ochotę na grzanki – ciągnęła ciotka Fan.

– Och, mamusiu, proszę, bądź cicho. Słuchaj, Luie, nie wyobrażasz sobie nawet, co się dzieje na tych zebraniach. Pani Haddock wpada w trans i cała się spowija ektoplazmą.

– Ektoplazmą? – krzyknęła matka. – Jaką znowu ektoplazmą?

– Mam w pokoju słoiczek naszego domowego miodu – mówiła ciotka Fan. – Na pewno będzie ci smakował, Luie. O niebo czystszy od tych syntetycznych paskudztw, jakie się teraz kupuje.

– To jest coś, co wydziela z siebie medium – tłumaczyła Prue. – Wygląda jak... No, wygląda

tak jakoś... Ja tego tak naprawdę nigdy nie widziałam, ale mi mówiono, że to wygląda jak mózg. A potem oni każą latać trąbkom i różnym innym przedmiotom. Powiadają ci, kochanie, że nigdy nie schodzę na dół, kiedy oni mają zebranie.

Chociaż fascynowała mnie ta rozmowa, czułem, że możliwość zobaczenia kobiety nazwiskiem Haddock pokrytej mózgiem i otoczonej latającymi trąbkami jest zbyt piękna, bym mógł ją zmarnować, wobec tego zgłosiłem się na ochotnika, proponując, że zejść na dół i zamówię co potrzeba.

Rozczarowałem się jednak ogromnie, ponieważ w hotelu na dole nie zobaczyłem nic, co by choć w części potwierdzało opowieść kuzynki Prue, natomiast udało mi się nakłonić irlandzkiego portiera, by przyniósł na górę tacę z herbatą. Właśnie kiedy usiłowałem przy herbacie wytłumaczyć cioci Fan, co to jest ekto plazma, zjawiła się Margo z ogromną głową kapusty pod pachą, w towarzystwie małej przysadzistej kobiety o niebieskich wyłupiastych oczach i włosach jak siano.

– Matko! – zakrzyknęła dramatycznie Margo. – Przyjechałaś!

– Tak, moja droga – powiedziała surowo matka. – I wydaje się, że przyjechałam w samą porę.

– Oto pani Haddock – oświadczyła Margo. – Jest zupełnie cudowna.

Okazało się natychmiast, że pani Haddock cierpi na dziwną dolegliwość. Nie może mianowicie oddychać, gdy mówi. W wyniku tego bełkotała wiążąc słowa niby wianuszek stokrotek, a potem, kiedy brakło jej oddechu, przerywała, a z gardła jej wydobywało się długie: „Łaaaaaaha!”

Teraz mówiła zwracając się do matki:

– Jestem zachwyconą panią widzę. Mój duch przewodnik rzec jasna przedził mnie opani przyjeździe. Mam nadzieję że podróżnie byłam męcząca... Łaaaaaaha!

Matka, która zamierzała przywitać panią Haddock zimno i wyniośle, była nieco zbita z tropu tą przedziwną dykcją.

– Tak, chyba tak – odpowiedziała nerwowo wyęzając słuch, by zrozumieć, co mówi pani Haddock.

– Pani Haddock jest spirytualistką, mam – oznajmiła dumnie Margo, jakby przedstawiała Leonarda da Vinci lub konstruktora pierwszego aeroplanu.

– Naprawdę, moja droga? – matka uśmiechnęła się lodowato. – Ogromnie interesujące.

– Towielkapociechawiedzieć zecicoodeszlisz nami w kontakcie... Łaaaaaaha! – mówiła z powagą pani Haddock. – Tylu ludzi zdajesz sobie sprawy... Łaaaaha!... że świat duchów który jest tak blisko.

– Powinnaś obejrzeć dziś wieczór szczeniaki, Margo – zauważyła ciotka Fan. – Łobuzy poszarpały całe legowisko.

– Mamo, proszę, bądź cicho – kuzynka Prue wpatrywała się w panią Haddock, jakby oczekiwała, że lada chwila wyrosną jej rogi i ogon.

–

Panicórka ma ogromne szczęście ponieważ... Łaaaaaha!... udało jej się zdobyć jednego z lepszych przewodników... Łaaaaaaha – oświadczyła pani Haddock, jakby Margo przewertowała całego Debretta, zanim zdecydowała się ostatecznie na wybór swego ducha doradczego.

– Nazywa się Mawake – powiedziała Margo. – Jest zupełnie nadzwyczajny.

– Nie widać, żeby ci się przysłużył, jak dotąd – zauważyła cierpko matka.

– Ależ owszem! – oburzyła się Margo. – Straciłam trzy uncje.

– Trzeba mieć cierpliwość czas bez graniczną wiarę w przyszlęzycie... Łaaaaaha!... drogapani – pani Haddock uśmiechała się do matki z mdlącą słodyczą.

– Niewątpliwie – stwierdziła spokojnie matka. – Wolałabym jednak, aby Margo była pod opieką widzialnego medyka.

– Nie sądzę, żeby to zrobiły przez złośliwość – mówiła ciotka Fan – po prostu zęby im wychodzą. Działa je świerzbią, wiesz, jak to jest.

– Mamo, my nie mówimy o szczeniakach. Mówimy o przewodniku Margo.

– To jej świetnie zrobi! – ciotka Fan uśmiechnęła się czule do Margo.

– Świat duchów jest o tyle mądrzejszy od świata istot ziemskich... Łaaaha! – mówiła pani Haddock. –

Panicórka nie mogła się dostać do lepszej ręki. Mawake był w swoim imieniu wielkim medykiem...

Łaaaaaha! Jednym z najrzęczniejszych w całej Ameryce północnej... Łaaaaaha!

– I tak mi dobrze doradził, mamusi – dodała Margo. – Prawda, proszę pani?

– Żadnych nakłuciwieć. Białadziej czyni niemożemieć więcej – nakłuc... Łaaaaaha!... – zaintonowała pani Haddock.

– Ot, proszę – syknęła kuzynka Prue. – Przecież mówiłam.

– Poczęstuj się miodem – zapraszała serdecznie ciotka Fan. – To nie żadne syntetyczne obrzydlistwo, jakie się dzisiaj kupuje w sklepach.

– Mamusi, proszę, bądź cicho!

– Mimo wszystko, proszę pani, wolałabym, aby moja córka była pod rozsądną opieką lekarza, a nie żadnego tam Mawake.

– Och, mamo, jakaś ty staroświecka i ograniczona! – w głosie Margo brzmiała rozpacz.

– Drogapani Durrell musi się pani nauczyć wiary w ogromny wpływ świata duchów, które przecież chcą tylko służyć nam pomocą i radą... Łaaaaaha! – powiedziała pani Haddock. – Czuję że jak pani przyjdzie na nasze zebranie uwierzy pani w mo ccy nieniadobra jakamają naszeduchyprzewodniki... Łaaaaaaha!

– Dziękuję pani uprzejmie, ale wolę się kierować własnym rozsądkiem – powiedziała matka

z godnością.

– Miód nie jest już dzisiaj taki jak przed laty – snuła ciotka Fan wątek swych myśli.

– Jestem przekonana że gdybyś namówiła matkę na przyjście do nas na zebranie... Łaaaaaha... zobaczyłaby że otwiera się przednią całąświat.

– Tak, mamó. Musisz przyjść na zebranie. Jestem pewna, że się do wszystkiego przekonasz. A przekona cię to, co zobaczysz i usłyszysz. Przecież nie ma dymu bez ognia.

Widziałem, że matka stacza wewnętrzną walkę. Przez wiele lat interesowały ją ogromnie zabobony, zaklęcia ludowe, czarnoksiężstwo i różne takie rzeczy, toteż pokusa, by przyjąć zaproszenie pani Haddock, jednak była ogromna. Czekałem z zapartym tchem, w nadziei, że się niewątpliwie zgodzi. Niczego w tej chwili bardziej nie pragnąłem, jak zobaczyć panią Haddock pokrytą mózgiem, z latającymi trąbkami nad głową.

– No cóż – powiedziała matka niezdecydowanie – zobaczymy. Pomówimy o tym jutro.

– Jestem pewna że jak przełamie myłody będziemy mogli dać paniradyiprzewodnictwo... Łaaaaha... – oświadczyła pani Haddock.

– Och, tak – przytaknęła Margo. – Mawake jest absolutnie cudowny!

– Będziemylimielinastępnenezebraniejutrowieczorem...

Łaaaaaha!...imamnadziejężepaniprzyjdziezMargo...

Rzuciła nam błady uśmiech, jakby, acz opornie, wybaczała nam nasze grzechy, poklepała Margo po policzku i wyszła.

– Doprawdy, Margo – zaczęła matka, gdy drzwi zamknęły się za panią Haddock – bardzo się na ciebie gniewam.

– Och, mamó, jesteś taka staroświecka! Doktor nic mi nie pomógł tymi zastrzykami, nic a nic, a Mawake robi cuda.

– Cuda – prychnęła pogardliwie matka. – Przecież nic nie schudłaś.

– Uważa się, że najlepszy jest z koniczyny – mruzczała ciotka Fan podnosząc grzanekę do ust – ale ja tam wolę wrzosowy.

– Powiadam ci – mówiła kuzynka Prue – że ta kobieta cię opętała. Ona ma w sobie jakąś truciznę, jakieś jady... Opamiętaj się, nim będzie za późno.

– Proszę tylko o jedno: żebyście przyszli na zebranie i przekonali się na własne oczy.

– Nigdy w życiu – zadrzała kuzynka Prue. – Nie wytrzymałabym tego nerwowo.

– Ciekawe – snuła swoje ciotka Fan – że do zapylenia koniczyny potrzebne są trzmielce.

– Za bardzo jestem zmęczona, żeby o tym wszystkim teraz rozmawiać – ucięła dyskusję matka. – Zostawmy to na jutro.

– Mogłabyś mi jeszcze pomóc z kapustą? – zapytała Margo.

– Z czym?

– Z kapustą.

– Często się zastanawiałam, czy nie można by hodować trzmieli – rozważała ciotka Fan.

– A co ty robisz z tą kapustą? – pytała matka.

– Obkłada nią twarz – syknęła kuzynka Prue. – To wręcz zabawne.

– To nie jest wcale zabawne – rozzłościła się Margo. – Bardzo mi pomogło na mój trądzik.

– Czy to znaczy, że ją gotujesz, czy co? – wypytywała matka.

– Nie – wyjaśniała Margo. – Obłożę twarz liśćmi, a ty mi je zawiązesz. Mawake tak mi doradził i naprawdę skutek jest niebywały.

– To doprawdy śmieszne, Luie, moja kochana. Powinnaś jej tego surowo zabronić. – Prue najeżyła się jak pulchny kotek na widok wody. – To przecież nic innego jak czarna magia.

– No cóż, jestem zbyt zmęczona, żeby na ten temat dyskutować. Nie sądzę, żeby jej to mogło zaszkodzić.

Margo usiadła więc na krześle i obłożyła twarz wielkimi pomarszczonymi liśćmi kapusty, a matka z powagą obwiązała jej to wszystko na głowie zwojami czerwonego sznurka. Na mój gust wyglądała jak jakaś przedziwna jarzynowa mumia.

– Czyste pogaństwo! – parsknęła Prue.

– Bzdurzysz, Prue – spoza kapuścianych liści dochodził stłumiony głos Margo.

– Czasami się zastanawiam – mówiła matka zawiązując ostatni supeł – czy moja rodzina ma dobrze w głowie.

– Czy Margo idzie na bal kostiumowy? – pytała ciocia Fan, która z zaciekawieniem przyglądała się całej operacji.

– Nie, mamó – ryknęła Prue – to na jej cętki. Margo wstała i po omacku szukała drogi do drzwi.

– Idę do łóżka – oświadczyła.

– Jeśli spotkasz kogoś na schodach, to go przyprawisz o atak serca – mówiła Prue.

– Baw się dobrze – życzyła jej ciotka Fan. – I nie siedź w nieskończoność. Wiem, jak to bywa z wami, młodymi.

Po wyjściu Margo Prue zwróciła się do matki.

– Widzisz, Luie? Nic nie przesadziłam. W tej kobiecie są jakieś złe moce. Margo zachowuje się jak opętana.

– No cóż – odparła matka, która miała za zasadę bronić swoich dzieci, choćby wcale nie miały racji. – Sądzę, że zachowuje się jak głuptas.

– Jak głuptas! – zakrzyknęła Prue. – Kapuściane liście na twarzy! Robi tylko to, co jej każe Mawake.

– Wcale się nie zdziwię, jak weźmie pierwszą nagrodę – chichotała ciotka Fan. – Nie przypuszczam, żeby jeszcze komuś przyszło do głowy przebrać się za kapustę.

Dyskusja trwała dalej przeplatana wspomnieniami ciotki Fan z bali kostiumowych, na

których bywała w Indiach. Wreszcie Prue i ciotka Fan wyszły, a my z matką zaczęliśmy się przygotowywać do snu.

– Czasem mi się wydaje – powiedziała matka naciągając koc i gasząc lampę – że w naszej rodzinie ja jedna jestem przy zdrowych zmysłach.

Następnego dnia rano postanowiliśmy udać się na zakupy, ponieważ matka chciała zabrać na Korfu pewne rzeczy, których tam nie można było kupić. Prue bardzo się ucieszyła z naszych planów i zdecydowała dołączyć do nas, a po drodze podrzucić swoje szczenięta ich nowemu właścicielowi.

Zgodnie z umową spotkaliśmy się o dziewiątej rano na chodniku przed Balaclava Mansions. Musieliśmy przedstawiać oczom przechodniów dosyć niecodzienny widok. Ciotka Fan, zapewne na naszą cześć, włożyła chochlikowaty kapelusz z ogromnym piórem. Stała na chodniku opleciona, niby maik, smyczami ośmiu szceniąt bedlingtonskich, które dokazywały wokół niej, gryzły się i siusiały.

– Chyba lepiej będzie wziąć taksówkę – zaproponowała matka patrząc z przerażeniem na rozdokazywane szczeniaki.

– Och, nie, Luie – zaprotestowała Prue. – Pomyśl, jaki to kawał drogi! Nie możemy tak szastać pieniędzmi. Pojedziemy metrem.

– Z tymi wszystkimi szczeniakami? – dopytywała przerażona matka.

– Oczywiście. Mama sobie całkiem dobrze daje z nimi radę, już do tego przywykła.

Ciotka Fan była teraz kompletnie unieruchomiona smyczami szceniąt, z których trzeba ją było wypłatać przed wyruszeniem na stację metra.

– Drożdże i syrop klonowy – mówiła Margo. – Żeby nie zapomniała o drożdżach i syropie klonowym, mamu. Mawake powiada, że to doskonałe na trądzik.

– Jeśli jeszcze raz wspomnisz o tym człowieku, rozgniewam się naprawdę – powiedziała matka.

Posuwaliśmy się w kierunku stacji bardzo powoli, jako że szczeniaki okrażały – każde z innej strony – wszystkie napotkane po drodze przeszkody, i musieliśmy przystawać co chwila, by odplątywać ciotkę Fan od stojących na chodniku latarni, skrzynek pocztowych i, od czasu do czasu, przechodniów.

– Łobuzy – wołała bez tchu po każdej takiej szamotaninie. – One to robią bez złej woli.

Dotarliśmy wreszcie do kasy. Prue miała przedłużającą się i ostrą dyskusję na temat sumy, jakiej zażądano za przewóz bedlingtonów.

– Ale przecież one mają ledwie osiem tygodni! – protestowała. – Dzieci do lat trzech jeżdżą darmo!

Załatwiono sprawę biletów i ruszyliśmy ku ruchomym schodom, gdzie wionął na nas podmuch gorącego powietrza, co szczeniętom ogromnie dodało wigoru. Szczekając i warcząc

ruszyły naprzód na splątanych smyczach ciągnąc za sobą ciotkę Fan niby ciężki galeon. Dopiero na widok ruchomych schodów opadły je złe przecucia wobec tego, co dotychczas wydawało im się podniecającą przygodą. Chyba nie miały ochoty stawać na czymś, co się rusza. Po niedługiej chwili znaleźliśmy się zaklinowani na skraju górnej platformy ruchomych schodów szamocząc się z jazgoczącymi, rozhisteryzowanymi szczeniakami.

Za nami formował się ogonek.

– Nie powinno się na to pozwalać – stwierdził jakiś sztywny pan w meloniku. – Nie powinno się pozwalać, żeby psy jeździły metrem.

– Zapłaciłam za nie – dyszała Prue. – Mają takie samo prawo jechać, jak pan.

– A niech to jasna cholera – rzucił inny mężczyzna. – Mnie się spieszy, paniusiu, może by mnie paniusie przepuścili?

– Łobuziaki! – śmiała się ciotka Fan. – Są młode, to i dokazują.

– Może gdybyśmy wzięli po jednym szczeniaku... – zaproponowała matka przestraszona pomrukiem tłumu.

W tym momencie ciotka Fan zrobiła krok w tył, na pierwszy ruchomy schodek, poślizgnęła się i runęła wodospadem tweedów, pociągając za sobą jazgoczące ochryple szczeniaki.

– Bogu niech będą dzięki – mruknął pan w meloniku. – Może wreszcie da się przejść.

Prue stała na górnym podejściu i spoglądała z przerażeniem w dół. Ciotka Fan osiągnęła właśnie połowę schodów i stwierdziła, że nie może wstać, przygnieciona ciężarem szceniąt.

– Mamusiu, mamusiu, nic ci nie jest? – wrzeszczała Prue.

– Na pewno nic – pocieszała ją moja matka.

– Łobuziaki! – powtarzała słabym głosem ciotka, unoszona w dół schodów.

– A teraz, łaskawa pani, kiedy pieski pani są już na dole – zwrócił się do Prue jegomość w meloniku – czy pozwoli nam pani skorzystać z urządzeń tej stacji?

Prue odwróciła się do niego najeżona i gotowa do walki, ale matka złapała ją i obie popłynęły w dół ku sapiącej górze tweedu i bedlingtonów, która była ciocią Fan.

Postawiliśmy ją na nogi, otrzepaliśmy i wyplątaliśmy ze szczeniaków. Potem ruszyliśmy na peron. Szczeniaki nadawałyby się teraz na afisz Towarzystwa Opieki nad Zwierzętami. Bedlingtony nawet w najkorzystniejszych momentach nie są rasą wdzięczną i ujmującą, a w trudnych chwilach potrafią przedstawiać wygląd żałośniejszy niż jakikolwiek znany mi pies. Stały więc wydając drżące, piskliwe skowyty niby malutkie mewy, trzęsły się gwałtownie i od czasu do czasu przysiadły na swoich pałakowatych łapach, by ozdobić peron świadectwem swojego strachu.

– Biedaczyska – mruknęła jakaś przechodząca kobieta. – Wstyd, jak niektórzy ludzie obchodzą się ze zwierzętami.

– Słyszeliście – Prue wojowniczo podniosła głos. – Mam wielką ochotę pójść za nią

i powiedzieć, co o niej myślę.

Na szczęście w tej chwili w podmuchu gorącego powietrza nadjechał z rykiem pociąg skupiając ogólną uwagę. Na szczeniakach wywarło to natychmiastowe wrażenie. Te biedne, zagłodzone szare jagnięta, przed chwilą drżące i żałośliwie popiskujące, w jednej chwili przemieniły się w zaprzęg dzielnych huskie, który ruszył galopem po peronie ciągnąc za sobą ciotkę Fan.

– Mamusiu, mamusiu, wracaj! – wrzeszczała Prue, rzucając się za nimi w pościg.

Zapomniała, że jej matka ma swoją własną metodę prowadzenia psów, którą wykladała mi rozwlekłe: nigdy nie ciągnąć za smycz, ponieważ w ten sposób można psom skrócić kark. Zgodnie więc z ową osobliwą teorią tresury, ciotka Fan galopowała teraz po peronie za bedlingtonami walącymi przodem jak lawina. Dognaliśmy ją wreszcie i złapaliśmy szczeniaki akurat w chwili, gdy drzwi wagonów zamknęły się z radosnym sykiem i pociąg z łomotem ruszył ze stacji. Musieliśmy więc czekać w powodzi bedlingtonów na następny. Kiedy wreszcie wladowaliśmy je do wagonu, duch w szczeniakach odżył. Zaczęły się zajadle gryźć, warczeć i piszczeć. Omotywały ludziom nogi smyczami, a jeden, w przyływie energii, nagle skoczył i wyrwał egzemplarz „Timesa” z ręki jakiegoś pana, który wyglądał na dyrektora Banku Anglii.

Dojeżdżając do miejsca przeznaczenia wszyscy mieli migrenę z wyjątkiem ciotki Fan, która była zachwycona energią szceniąt. Za radą mojej matki zczekaliśmy, aż w potoku ludzi wchodzących na ruchome schody będzie luka, po czym spróbowaliśmy wejść. Ku naszemu zdumieniu szczeniaki wydostały się na górę niemal bez żadnych kłopotów. Zapowiadały się widocznie na wytrawnych podróżników.

– Dzięki Bogu, że mamy to już za sobą – westchnęła matka, gdy stanęliśmy na górze.

– Obawiam się, że szczeniaki okazały się nieco męczące – Prue była zdenerwowana – ale widzicie, one przywykły do wsi. W mieście wszystko wydaje im się nie takie, jak powinno.

– Co? – zapytała ciotka Fan.

– Nie takie, jak powinno! – krzyknęła Prue. – Szczeniakom! One tak myślą.

Szkoda – stwierdziła ciotka Fan i nim zdążyliśmy ją powstrzymać, zawróciła ze szczeniakami na ruchome schody, po czym zniknęła wraz z nimi w brzuchu ziemi.

Pozbywszy się wreszcie psiaków, dokonaliśmy całkiem udanych zakupów mimo zmęczenia przejściami poranka. Matka dostała wszystko, czego potrzebowała, Margo zdobyła swoje drożdże i syrop klonowy, a kiedy one kupowały różne bzdurki, ja sprawilem sobie przepiękną rusałkę admirała, salamandrę plamistą, tłustą i lśniącą jak pierzynka, oraz wypchanego krokodyla.

Wróciliśmy więc, zadowoleni, każde na swój sposób, z zakupów, do Balaclava Mansions.

Pod wpływem nalegań Margo matka zdecydowała się wziąć udział w wieczornym seansie.

– Nie rób tego, Luie, kochanie – jęczała kuzynka Prue. – Nie tykaj złego.

Matka usprawiedliwiała swoją decyzję z dużą dozą logiki.

– Widzisz, uważam, że powinnam się jednak spotkać z tym, jak mu tam, Mawake. W końcu to on przepisał Margo leczenie.

– No cóż – Prue widziała, że matka się uparła. – Moim zdaniem to czyste szaleństwo, ale widzę, że muszę iść z tobą. Nie mogę dopuścić, byś brała udział w czymś takim sama jak palec.

Prosiłem, by mi pozwoliły iść tam również, tłumacząc matce, że niedawno czytałem książkę na temat sztuki demaskowania oszukańczych mediów i sądzę, że zdobyta tą drogą wiedza może się teraz okazać ogromnie użyteczna.

– Uważam, że nie powinniśmy zabierać mamy – oświadczyła Prue. – Mogłoby to fatalnie na nią wpłynąć.

Tak więc tego dnia o szóstej wieczór w towarzystwie Prue, której serce kołatało w piersiach jak u dopiero co schwytanego ptaka, zeszliśmy na dół do sutereny pani Haddock. Zastaliśmy tutaj dziwne zbiorowisko ludzi. Pani Glut, kierowniczka hotelu, wysoki, ponury Rosjanin mówiący po angielsku tak, jakby miał pełno sera w ustach, młoda i bardzo poważna blondynka oraz nijaki młody człowiek, który, jak głosiła wieść, kształcił się na aktora, ale który zawsze drzemał spokojnie w zdobnym palmami hallu i nigdy nie robił niczego, co wymagałoby większych wysiłków. Ku mojej wielkiej irytacji matka nie pozwoliła mi przed rozpoczęciem seansu poszukać w pokoju ukrytych sznurków czy sztucznej ektoplazmy. W każdym razie zdążyłem powiedzieć pani Haddock o tej książce, którą czytałem, bo myślałem, że jeśli ona jest autentyczna, to się tym zainteresuje. Spojrzenie, jakie mi rzuciła, na pewno nie było życzliwe.

Usiedliśmy w krąg, trzymając się za ręce. Początek mieliśmy niezbyt szczęśliwy, kiedy bowiem zgaszono światła, Prue ze strasznym okrzykiem porwała się ze swojego krzesła. Okazało się, że oparła uprzednio swoją torebkę o nogę krzesła, a torebka zsunęła się i dotknęła jej łydki skórzaną rączką. Kiedy uspokoiliśmy Prue zapewnieniami, że nie była napastowana przez żadnego złego ducha, usiedliśmy na swoich krzesłach i ponownie wzięliśmy się za ręce. Za całe oświetlenie służyła nam świeczka na spodku, która okapywała i przygasała, rzucając migotliwe cienie po całym pokoju, a w jej świetle wszystkie twarze wyglądały jak świeżo zmartwychwstałe z bardzo starego grobu.

– A teraz dosyć różnówi proszę trzymać ręce mocno związane żeby nie utracić istoty... Łaaha! – mówiła pani Haddock. –
Wiem że są między nami niedowiarki. Mimo to proszę uspokoić i uwrażliwić swoje umysły.

– O co jej chodzi? – szepnęła matce kuzynka Prue. – Nie jestem niedowiarkiem. Właśnie w tym cały kłopot, że wierzę w zbyt wiele.

Po wydaniu nam instrukcji, pani Haddock zajęła miejsce w fotelu i ze zwodniczą łatwością zapadła w trans. Wpatrywałem się w nią pilnie. Za żadne skarby świata nie straciłbym widoku ektoplazmy. Z początku pani Haddock siedziała z zamkniętymi oczyma w zupełnej ciszy

przerywanej tylko drzeniem i szmerem sukni podnieconej Prue. Nagle zaczęła głęboko oddychać; po chwili rozległo się wibrujące, donośne chrapanie. Tak, jakby ktoś wysypywał worek kartofli na podłogę strychu. Wcale mi to nie zaimponowało. Bardzo łatwo jest udawać chrapanie. Dłoń Prue, którą trzymałem, była wilgotna od potu, czułem przebiegające ją drzenie.

– Aaaaaaaa! – wrzasnęła nagle pani Haddock, a Prue podskoczyła na krześle i wydała krótki rozpaczliwy okrzyk jak ktoś pchnięty nożem.

– Aaaaaaaa! – darła się pani Haddock wydobywając z tego prostego dźwięku wszystkie możliwości dramatyczne.

– Nie podoba mi się to – głos Prue drżał. – Luie, kochanie, bardzo mi się to nie podoba.

– Cicho, bo wszystko zepsujesz – syknęła Margo. – Rozpręż się i staraj się uwrażliwić swoje zmysły.

– Obcy są między nami – oświadczyła nagle pani Haddock z tak silnym akcentem indiańskim, że z trudem powstrzymałem wybuch śmiechu. – Do naszego kręgu przyłączyli się obcy. Mówię im: witajcie!

Jedyną niezwykłą dotąd dla mnie rzeczą był fakt, że pani Haddock nie nizała już słów na sznurki i nie wciągała w tak przedziwny sposób powietrza w płuca. Przez chwilę mruzczała coś i mamrotała niezrozumiale, a potem powiedziała wyraźnie:

– To jest Mawake.

– Oooo! – ucieszyła się Margo. – Przyszedeł! Widzisz, mammo, Mawake przyszedł.

– Zaraz zemdleję – szepnęła Prue.

Wpatrywałem się w panią Haddock w mdłym, migotliwym świetle, ale nie mogłem się dopatrzeć ani ektoplazmy, ani trąbek.

– Mawake powiada – mówiła pani Haddock – że biała dziewczyna nie może mieć więcej nakłuć.

– Proszę! Nie mówiłam! – triumfowała Margo.

– Biała dziewczyna musi słuchać Mawake. Nie może słuchać niedowiarków.

Usłyszałem w mroku wojownicze parsknięcie matki.

– Mawake powiada, że jeśli biała dziewczyna mu zaufa, wy zdrowieje, nim miną dwa księżyce. Mawake powiada...

Ale nie mieliśmy się nigdy dowiedzieć, co mówi Mawake, ponieważ w tym właśnie momencie kot, który krążył jak mroczny obłok po pokoju, wskoczył znienacka Prue na kolana. Wydała ogłuszający wrzask. Zerwała się na równe nogi z krzykiem:

– Luie, Luie, Luie! – i miotała się, niby oślepiąca ćma, w kręgu siedzących ludzi, wrzeszcząc, gdy kogoś dotknęła.

Ktoś miał na tyle rozumu, by zapalić światło, nim Prue w tej panice zdążyła zrobić krzywdę sobie czy innym.

– Słuchajcie, czy tego już nie za wiele? – spytał nijaki młody człowiek.

– Mogła jej pani zrobić coś złego! – powiedziała dziewczyna przeszywając Prue spojrzeniem i wachlując panią Haddock chustką do nosa.

– Coś mnie dotknęło! Coś mnie dotknęło! Coś mi wzło na kolana – tłumaczyła ze łzami Prue. – Ektoplazma!

– Wszystko popsulaś! – mówiła ze złością Margo. – Właśnie kiedy Mawake się włączył.

– Sądzę, że to, co usłyszeliśmy od Mawake, całkowicie nam wystarczy – ucięła matka. – Najwyższy czas, żebyś już przestała zawracać sobie głowę tymi bzdurami.

W tym momencie pani Haddock, która dotychczas chrapała z godnością, nagle się przebudziła.

– Bzdurami! – krzyknęła utkwivszy w matce swoje wylupiane oczy. – Panośmielasięnazywaćobzdura?! Łaaaaa!

Był to jeden z nielicznych momentów, w których widziałem moją matkę naprawdę zirytowaną. Wyprostowała się najeżona, na całą swoją niewielką wysokość.

– Zwykła hochsztaplerka – stwierdziła bez litości. – Powie działałam, że to bzdury, ponieważ to są bzdury! Nie pozwolę, żeby ktoś z mojej rodziny brał udział w podobnym szachrajstwie. Margo, Garry, Prue, proszę za mną.

Byliśmy tak zdumieni tym aktem stanowczości ze strony naszej zawsze łagodnej matki, że potulnie wyszliśmy za nią zostawiając rozwścieczoną panią Haddock i jej uczniów.

Gdy tylko znaleźliśmy się w sanktuarium naszego pokoju, Margo załała się łzami.

– Zepsulaś wszystko! Zepsulaś! – szlochała załamując ręce. – Pani Haddock nigdy więcej się do nas nie odezwie.

– I bardzo dobrze – stwierdziła matka ponuro, nalewając porządną porcję brandy roztrzęsionej i wciąż oszołomionej Prue.

– Dobrze się bawiliście? – spytała ciotka Fan budząc się nagle z promiennym uśmiechem.

– Nie – odparła krótko matka.

– Nie mogę przestać myśleć o tej ektoplazmie – mówiła Prue pomiędzy łykami. – To było takie... takie... no, wiesz, galaretowate...

– Akurat, kiedy Mawake się włączył – wyła Margo. – Kiedy miał nam powiedzieć coś ważnego.

– Bardzo rozsądnie zrobiliście wracając wcześniej – mówiła ciotka Fan – bo nawet o tej porze roku wieczory są chłodne.

– Byłam przekonana, że sięga mi do gardła – tłumaczyła Prue. – Czułam, że sięga mi do gardła. To było takie... takie... taka jakby galaretowana ręka czy coś...

– I Mawake, jedyny, który mi w ogóle pomógł!

– Mój ojciec powiadał, że o tej porze roku powietrze potrafi być bardzo zdradliwe.

– Margo, skończ z tym głupim zachowaniem – gniewała się matka.

– Luie, kochanie, czułam, jak te straszne takie jakieś galaretowate palce pełzną mi do gardła

– Prue ubarwiała swoje wspomnienia nie zwracając uwagi na Margo.

– Mój ojciec zawsze nosił parasol, zimą i latem – ciągnęła ciotka Fan. – Ludzie się z niego śmieli, ale ileż to razy, nawet w upalne dni, okazywało się, że dobrze zrobił.

– Zawsze wszystko zepsujesz! Zawsze się wtrącis!z!

– Kłopot w tym, że nie wtrącam się dość często – oświadczyła matka. – Powiadam ci, żebyś dała pokój tym bzdurom i natychmiast przestała płakać. Wracamy zaraz na Korfu.

– Gdybym się w porę nie zerwała z miejsca – mówiła Prue – wczepiłoby mi się w tętnicę szyjną.

– Nie ma nic praktyczniejszego od kaloszy, tak zawsze mawiał mój ojciec – ciągnęła swoje ciotka Fan.

– Nie wrócę na Korfu, nie wrócę, nie wrócę!

– Zrobisz to, co ci każe.

– Oplątywało mi gardło... tak jakoś... strasznie...

– Nigdy nie pochwalał botów, twierdził, że od tego dostaje się przekrwienia mózgu.

Nie słuchałem dłużej. Ogarnęło mnie podniecenie. Wracamy na Korfu. Wyjeżdżamy z tego bezdusznego, hałaśliwego, głupiego Londynu. Wracamy do zaczarowanych gajów oliwnych, błękitnego morza, do ciepła i śmiechu naszych przyjaciół, wracamy w długie, łagodne, złociste dni.

Część druga

Perama

Chrzest

Korfu leży opodal wybrzeży albańskich i greckich jak długa, przeżarta rdzą szabla. Rękojeścią tej szabli jest górzysta część wyspy, kamienista na ogół i nieurodzajna, gdzie na spiętrzonych urwiskach gnieźdzą się drozdy skalne i wędrowne sokoły. Ale w dolinach tej górzystej części wyspy woda tryska obficie z czerwonych i złotych skał, ciągną się lasy migdałów i orzechów rzucając cienie chłodne niby studnia, sterczą jak włócznie gęste bataliony cyprysów i drzew figowych o srebrnych pniach i liściach wielkich jak tace. Brzeszczot tej szabli tworzą srebrnozielone poduchy olbrzymich oliwek, z których niejedna ma ponoć więcej niż pięćset lat. Kształt każdej jest jedyny w swoim rodzaju – przysadziste, jakby poskręcane artretyzmem, o pniach poznaczonych setkami wgłębień niby powierzchnia pumeksu. U ostrego końca brzeszczotu leży Lefkimi, połyskujące piaszczystymi wydiami, aż oczy bołą, pokryte ogromnymi słonymi bagnami zdobnymi w łany trzcin, nieustannie skrzypiących, szemrzących i szepczących coś ukradkiem do siebie.

Dla mnie powrót na Korfu był powrotem do domu. Przyjechaliśmy tu przed kilku laty i osiedliśmy natychmiast w słonecznej truskawkowoczerwonej willi o zielonych okiennicach, kształtem przypominającej nieco cegłę. Przysiadła w wysokim, dostojnym gaju oliwnym, który opadał zboczem ku morzu, otoczona malutkim jak chustka do nosa ogródkiem, gdzie grządki kwiatowe wytyczone były z geometryczną akuracją tak drogą wiktoriańskiemu sercu. Całości strzegł wysoki, gęsty żywopłot z fuksji, który tajemniczo szumiał ptakami.

Chociaż wiele mamy w Anglii ogrodów niezwykle okazałych, w żadnym z nich nigdy nie znalazłem takiej różnorodności żywych stworzeń. Stwierdziłem po jakimś czasie, że oświadczyło mną zdumiewające poczucie nierealności. Tak, jakbym się dopiero urodził. Dopiero w tym ostrym, roziskrzonym świetle mogłem w pełni docenić prawdziwie myśliwską czerwień pokrywy skrzydełek biedronki, cudowną czekoladę i bursztyń skorka czy głęboki, połyskliwy agat mrówki. Mogłem paść oczy widokiem nieprzebranej ilości istot zupełnie mi nieznanymi. Ogromne, włochate pszczoły Ksylokopa, które pomrukując coś do siebie gramoliły się niby nakręcane misie koloru indygo, z kwiatka na kwiatek; jaskrawożółte motyle w czarne pasy z ogonkami na tylnych skrzydłach przypominającymi eleganckie fraki, motyle wirujące wciąż nad żywopłotem z fuksji, wykonujące skomplikowane figury menueta i piękne motyle z rodziny zawisakowatych, znieruchomiałe na rozpostartych skrzydłach nad kwiatem, sondowanym długimi delikatnymi ssawkami.

Nie miałem żadnych, nawet elementarnych, wiadomości o tych wszystkich istotach, nie miałem też żadnych książek do pomocy. Mogłem się tylko przyglądać tym stworzeniom krzątającym się około swoich spraw w ogrodzie lub łapać je, by móc lepiej im się przyjrzeć z bliska. W niedługim czasie pokój mój zapełnił się szeregami słoików i puszek, w których

trzymałem schwyte w naszym małym ogródku okazy. Musiałem je cichcem przemycać do domu, ponieważ moja rodzina – z wyjątkiem może mamy – z przerażeniem patrzyła na faunę lokowaną w naszej willi.

Każdy rozświecony dzień przynosił nowe zagadki zachowania tych stworzeń, zagadki ujawniające rozmiar mojej niewiedzy. Jedną z istot, które najbardziej mnie irytowały i intrygowały, był żuk gnojowiec. Razem z Rogerem, moim psem, który, przycupnięty, wyglądał jak dysząca góra czarnych kudłów, potrafiliśmy leżeć na brzuchu i obserwować dwa lśniącoczarne żuki-gnojowce o głowach zdobnych w zakrzywione delikatnie rogi jak u nosorożca, toczące wspólnie (i z ogromnym samozaparciem) pięknie ulepioną kulkę krowiego łajna. Przede wszystkim chciałem wiedzieć, w jaki sposób udaje im się utoczyć tak idealnie krągłą kulkę. Z własnych doświadczeń z gliną czy plasteliną wiedziałem, że to wcale nie łatwe, choćby się nie wiem jak pracowicie ugniatało i kształtowało materiał, a przecież te gnojowce, mając za instrument tylko kolczaste nogi, bez żadnego cyrkla czy innego narzędzia potrafiły robić takie śliczne kulki łajna, okrągłe jak księżycy w pełni. No i był jeszcze drugi problem. Po co one robią te kulki i dokąd je zabierają?

Na to pytanie znalazłem częściową odpowiedź poświęciwszy całe popołudnie parze gnojowców: nie pozwoliłem się odciągnąć od tego zajęcia żadnym owadom w ogrodzie i nie reagowałem na ciche jęki i znudzone ziewnięcia Rogera. Powoli, na czworakach, niemal cał po calu posuwałem się za żukami przez ogród, który mnie wydawał się taki mały, ale dla żuków był przecież wielkim, szerokim światem. Dobrnęły wreszcie do niskiego pagórka syplącej ziemi pod żywopłotem fuksjowym. Wtroczenie kulki pod górę wymagało niebywałych wysiłków, niejedyn raz powinęła się żukom noga, a kulka uciekała im i staczała się w dół małego pagórka. Pędziły wtedy za nią, a ja wyobrażałem sobie z satysfakcją, że wykrzykują do siebie nawzajem różne przekleństwa. Wreszcie wdrapały się jakoś na szczyt wyniesienia i zaczęły staczać kulkę w dół przeciwległego zbocza. U jego stóp dostrzegłem po raz pierwszy okrągły jak studnia otwór w ziemi; tam właśnie zdążyły gnojowce. Kiedy znalazły się od niej o kilka cali, jeden z żuków pośpieszył przodem i spuścił się tyłem w dziurę, gestykulując szaleńczo przednimi nóżkami do tego drugiego, który z ogromnym wysiłkiem (niemal słyszałem w wyobraźni jego sapanie) dotoczył kulkę łajna do otworu jamki. Jeszcze przez chwilę szarpały ją i popychały, po czym kulka zniknęła powoli w głębi ziemi, a wraz z nią gnojowce. Strasznie się zdenerwowałem. Przecież mają widać zamiar coś zrobić z tą kulką łajna, ale jeśli to zrobią pod ziemią, jakże ja się dowiem, co takiego? W nadziei, że ktoś mnie oświeci, przedstawiłem problem rodzinie przy lunchu. Co, zapytałem, robią gnojowce z łajnem? Odpowiedziała mi zdumiona cisza.

– No cóż, kochanie – zaczęła niepewnie matka. – Pewno im to jest do czegoś potrzebne.

– Mam nadzieję, że nie masz zamiaru przynosić chyłkiem gnojowców do domu? – zapytał Larry. – Nie będę mieszkał w willi udekorowanej wszędzie kulkami łajna.

– Nie, nie, kochanie, na pewno tego nie zrobi – uspokajała go matka bez przekonania.

– Ja cię tylko ostrzegam – warknął Larry. – Przecież on już teraz trzyma w swoim pokoju o wiele niebezpieczniejsze robactwo przyniesione z ogrodu.

– Przypuszczam, że biorą to dla ocieplenia – odezwał się Leslie, który jednak zastanowił się nad sprawą gnojowców. – Łajno grzeje. Fermentacja.

– Gdybyśmy kiedykolwiek potrzebowali centralnego ogrzewania, będę o tym pamiętał – mruknął Larry.

– One to pewno jedzą – stwierdziła Margo.

– Margo, córeczko – napomniała ją matka. – Nie podczas lunchu.

– Powinieneś przeczytać – powiedział Larry ładując na talerz następną porcję zapiekanki, którą przed chwilą nazwał potrawą bez smaku – powinieneś przeczytać Fabre’a.

Zapytałem, co to takiego czy też kto to taki, bardziej przez uprzejmość niż z innego powodu, przypuszczając, że Fabre okaże się jakimś nieznanym poetą średniowiecznym, jako że rada wyszła od Larry’ego.

– Przyrodnik – odparł Larry z pełnymi ustami, wymachując widelcem. – Pisał o robakach i takich tam. Postaram się zdobyć dla ciebie egzemplarz.

Ta niespodziewana wielkoduszność mojego starszego brata tak mnie oszołomiła, że przez kilka następnych dni bardzo się pilnowałem, by nie zasłużyć na jego gniew, ale czas płynął, a książki jak nie było, tak nie było, aż wreszcie zapomniałem o całej sprawie i oddałem się obserwacji innych owadów w ogrodzie.

Ale pytanie „dlaczego” nasuwało się ze wszystkich stron. Dlaczego pszczoły Ksylokopa wycinają z płatków róży małe krążki i odfruwają z nimi? Czemu mrówki uprawiają coś, co można by określić mianem namiętnych aktów miłosnych z nieprzeliczonymi szeregami zielonych mszyc, plagą wielu roślin w ogrodzie? Co to są te dziwne bursztynowe przezroczyste ciała, a może skorupki owadzie, które znajdowałem przyczepione do źdźbeł trawy i drzew oliwkowych? Były to kruche jak popiół, puste skórki jakichś stworzeń o bulwiastym ciele, bulwiastych oczach i dwóch grubych, bardzo kolczastych przednich nogach. Czemu każda z tych skorupki miała pęknięcie na plecach? Czy stworzenia te zostały napadnięte i wysrane na śmierć? A jeśli tak, to kto je napadł i co to za stworzenia? Byłem jak kipiący kociołek z pytaniami, na które moja rodzina nie potrafiła odpowiedzieć.

W kilka dni później, przed południem, stałem właśnie w kuchni, pokazując matce moją ostatnią zdobycz – długą, chudą stonogę koloru karmelu, która, jak twierdziłem, choć matka mi nie dowierzała, wydaje białe światło nocą – kiedy wszedł Spiro, ogromnie spocony, z miną, jak to u niego zawsze, wojowniczą i zmartwioną.

– Przyniosłem pocztę, pani Durrell – zwrócił się do matki, a potem spojrzał ponuro na mnie.

– Dzień dobry, paniczku Geny.

Spodziewając się w niewinności serca, że Spiro podzieli mój entuzjazm dla nowego nabytku do kolekcji, podsunąłem mu słoik pod nos, zapraszając, by nasycił oczy tym widokiem. Rzucił jedno szybkie spojrzenie na stonogę, która regularnym, kolistym ruchem okrążała dno słoika niby nakręcany pociąg, cisnął listy na podłogę i skoczył za stół kuchenny.

– Jezusie, panicz Gerry – krzyknął ochryple. – Co panicz robi?

Zdumiony jego zachowaniem wyjaśniłem, że to tylko stonoga.

– To jadowita cholera, pani Durrell – Spiro mówił bardzo poważnie. – Słowo daję, panicz Gerry nie ma tego trzymać.

– Pewno nie – w głosie matki czaiły się wątpliwości. – Ale on się tak bardzo wszystkim interesuje. Zabierz to gdzieś, kochanie, żeby Spiro tego nie oglądał.

– To mi robi strach – słyszałem słowa Spiro, kiedy wychodziłem z kuchni z moim bezcennym słoikiem. – Słowo daję, pani Durrell, to mi robi strach, co ten chłopak tu znosi.

Udało mi się donieść stonogę do mojego pokoju nie spotkawszy po drodze nikogo z domowników. Uścieliłem jej łożę w małej miseczce, gustownie przyozdobionej mchem i kawałkami kory. Bardzo pragnąłem, aby moja rodzina doceniła fakt, że znalazłem stonogę, która świeci w ciemnościach. Postanowiłem wieczorem po kolacji urządzić mały pokaz pirotechniczny, wszystkie jednak myśli o fosforyzującej stonodze poszły w zapomnienie, w poczcie bowiem znajdowała się gruba brązowa paczka, którą Lany przy lunchu obrzucił spojrzeniem, po czym cisnął mi przez stół.

– Fabre – oznajmił zwięźle.

Zapominając o jedzeniu rozdarłem szary papier opakowania. Wewnątrz znajdowała się gruba zielona książka zatytułowana: „Żuk Święty i inne żuki” – Jean Henri Fabre. Kiedy ją otworzyłem, ogarnął mnie niewypowiedziany zachwyt, na frontispisie bowiem widniał rysunek dwóch gnojowców tak mi znajomych, jakby były najbliższymi krewniakami moich własnych żuków. Toczyły wspólnie piękną kulkę łąjna. Uniesiony szczęściem, delektując się każdym słowem, powoli przewracałem kartki. Tekst był cudowny. Nie była to książka przytłaczająca erudycją, kołująca w głowie. Napisana została w sposób tak jasny i przejrzysty, że nawet ja mogłem ją zrozumieć.

– Zostaw to czytanie na później, mój drogi. Jedz, bo ci wszystko wystygnie – powiedziała matka.

Niechętnie położyłem książkę na kolanach i rzuciłem się na jedzenie tak szybko i zajadle, że brzuch mnie bolał przez resztę popołudnia. Nie umniejszyło to bynajmniej rozkoszy zgłębiania tej książki po raz pierwszy. Podczas gdy cała rodzina oddała się sjeście, ja leżałem w ogrodzie, w cieniu drzewa mandarynki, i strona po stronie pożerałem książkę, aż wreszcie, ku wielkiemu zmartwieniu, doszedłem do końca. Nic jednak nie jest w stanie oddać mojej radości. Byłem teraz uzbrojony w wiedzę. Wydawało mi się, że wiem wszystko, co można wiedzieć o gnojowcach.

Przestały to już być dla mnie tajemnicze owady, łączące ociążale po gaju oliwnym, stały się moimi bliskimi przyjaciółmi.

W tym mniej więcej okresie miało miejsce jeszcze jedno wydarzenie, które poszerzyło i powiększyło moje zainteresowania przyrodnicze, choć nie mogę powiedzieć, bym to wówczas docenił: dostałem pierwszego w życiu wychowawcę, George'a. George był przyjacielem Larry'ego. Wysoki, kościsty, miał ciemną brodę, okulary i sarkastyczny rodzaj poczucia humoru, ścicha-pęk. Jeden dzień w tygodniu poświęcaliśmy wyłącznie przyrodzie. Był to jedyny ranek, kiedy wychodziłem mojemu wychowawcy naprzeciw. Maszerowałem spokojnie przez gaj oliwny, a w połowie drogi do jego malutkiej willi kryłem się wraz z Rogerem za krzakiem mirtu i czekałem na nadejście nauczyciela. Ukazywał się wreszcie, odziany tylko w krótkie spłowiele spodnie, sandały i ogromny wystrzępiony kapelusz słomkowy; jedną ręką przytrzymywał stos książek, w drugiej miał długą, cienką laskę, korą wymachiwał zawzięcie. Roger i ja, przycupnięci za słodko pachnącym krzakiem mirtu, stawaliśmy o zakład, czy tego właśnie ranka George stoczy pojedynek z oliwką czy nie.

George był wytrawnym szermierzem, o czym świadczyły liczne puchary i medale, i czasami nachodziło go tak silne pragnienie walki, że nie był w stanie mu się oprzeć. Maszerował wielkimi krokami ścieżką, łyskając okularami, a tu nagle jedno z drzew oliwkowych przekształcało się w coś złego i złośliwego, w coś, co powinno dostać nauczkę. Rzucił wtedy książki i kapelusz przy drodze i ostrożnym krokiem, w pozycji szermierczej, przybliżał do owego drzewa trzymając w prawej ręce laskę, przemienioną obecnie w rapier, lewą zaś eleganckim gestem chowając za plecy. Powoli, na sztywnych nogach, niby terier podchodzący do ogromnego doga, okrążał drzewo wpatrując się w nie przymrużonymi oczami, czekając na pierwszy nieprzyjazny ruch. Nagle zadawał gwałtowne pchnięcie, a czubek laski niknął w jednej z dziur oliwkowego pnia. George krzychał wówczas z zadowoleniem: „ha!” i natychmiast odskakiwał poza zasięg drzewa, nim oliwka zdążyła zaripostować. Zauważyłem, że jeśli udało mu się wsunąć koniec laski w jedną z mniejszych dziur pnia oliwkowego, nie oznaczało to śmiertelnej rany, a tylko lekkie draśnięcie, które widać doprowadzało przeciwnika do ataku furii, gdyż w chwilę później mój wychowawca walczył jeszcze bardziej zajadle w obronie swego życia; tańczył zwinnie wokół drzewa, zadawał sztychy i parował ciosy, odskakiwał po zadaniu szybkiego cięcia i odbijał zdradzieckie pchnięcie, jakim go chciała przeszyć oliwka, tak nagle, że nie dostrzegłem jego ruchu. Niektóre oliwki wykańczał dosyć szybko śmiertelnym pchnięciem w jedną z większych dziupli, w których jego rapier niknął niemal po rękojeść, czasami jednak napotykał oliwkę, która niemal potrafiła mu sprostać i przez blisko kwadrans toczyli śmiertelną walkę, podczas której George z zawziętą miną stosował wszystkie znane sobie zwody, by przełamać się przez obronę olbrzymiego drzewa. Kiedy już zabił przeciwnika, wycierał w sposób bardzo wyszukany krew ze swego rapiera, wkładał kapelusz, podnosił książki i ruszał

dalej ścieżką nucąc piosenkę. Zawsze pozwalałem mu odejść na pewną odległość i dopiero później dołączałem do niego, obawiałem się bowiem, że byłoby mu przykro, gdyby się zorientował, że przyglądałem się jego wymaginowanej walce z oliwką.

George przedstawił mnie człowiekowi, który niemal natychmiast stał się pierwszą osobą w moim życiu: doktorowi Teodorowi Stephanidesowi. Teodor wydał mi się jednym z najniezwyklejszych ludzi, jakich spotkałem (dzisiaj, po trzydziestu trzech latach, jestem tego samego zdania). Miał włosy i brodę jasne jak pszenica, piękne orle rysy i wyglądał jak bożek grecki, a z pewnością wydawał mi się równie wszechwiedzący. Posiadał wykształcenie medyczne, a nadto był również biologiem, poetą, pisarzem, tłumaczem, astronomem, historykiem, i znajdował jeszcze czas między tymi różnorodnymi zajęciami, by pomagać w prowadzeniu pracowni rentgenowskiej, jedynej takiej pracowni w mieście Korfu. Po pierwszej wizycie, jaką mu złożyłem, zapytałem na wszelki wypadek matkę, czy mógłbym go zaprosić do nas na herbatę.

– Chyba tak, kochanie – odparła. – Sądzę, że ten pan mówi po angielsku.

Matka toczyła beznadziejną walkę z językiem greckim. Właśnie poprzedniego dnia spędziła pracowite przedpołudnie, przygotowując na lunch wyjątkowo pyszną zupę. Ukończywszy dzieło ku pełnej swojej satysfakcji, wlała zupę do wazy i podała służącej. Służąca spojrzała na nią pytająco, wobec czego matka odpowiedziała jednym z niewielu greckich słów, jakie udało jej się zanotować w pamięci. – Exo – oznajmiła stanowczo machając ręką. – Exo – po czym zajęła się dalej swoją robotą przy kuchni, a obróciła się akurat w chwili, kiedy służąca wylewała resztki zupy do zlewu. Zrozumiałe, że ten wypadek nastroił ją krytycznie do własnych zdolności językowych. Odparłem z oburzeniem, że Teodor mówi cudownie po angielsku, właściwie o wiele lepiej od nas. Matka, uspokojona, zaproponowała, bym napisał do Teodora liścik i zaprosił go na następny czwartek. Przeżyłem potworne dwie godziny wałęsając się po ogrodzie, niepewny, czy przyjdzie, wyglądając co chwila przez fuksjowy żywopłot, szarpany najstraszliwszymi przecuciami. Może zaproszenie w ogóle do niego nie dotarło? A może włożył je do kieszeni i zapomniał, i teraz właśnie uwodzi z ogromną erudycją jakąś panią na południowym krańcu wyspy? A może słyszał o naszej rodzinie i po prostu nie chce do nas przyjść? Gdyby tak rzecz się miała, na pewno nie puszczał tego lekko w niepamięć. Wtem zobaczyłem go, jak w ładnym tweedowym ubraniu, w kapeluszu trochę na bakier kroczy przez gaj oliwny, wymachując laską i podśpiewując. Przez ramię miał przerzuconą swą torbę kolekcjonerską, która była częścią składową jego osoby tak samo jak nogi i ręce.

Teodor natychmiast i całkowicie podbił moją rodzinę, co mnie szczerze uradowało. Potrafił z nieśmiałą wykwinnością dyskutować z Larrym o poezji greckiej czy historii Wenecji, z Leslie'em o balistyce i najlepszych terenach łowieckich na wyspie, o dietach odchudzających i lekarstwach na trądzik z Margo, a z matką – o wiejskich przepisach kulinarnych i książkach

detektywistycznych. Cała moja rodzina zachowała się mniej więcej tak, jak ja, kiedy poszedłem do niego na herbatę. Był niewyczerpaną kopalnią informacji, bez przerwy więc zarzucali go pytaniami, a Teodor swobodnie jak chodząca encyklopedia odpowiadał na wszystkie, kraszając na dodatek garścią niewiarygodnie złych kalamburów i wesołych anegdot związanych z wyspą i jej mieszkańcami.

W pewnym momencie Larry powiedział ku mojemu oburzeniu, że Teodor nie powinien popierać moich zainteresowań przyrodniczych, ponieważ, jak dowodził, willa jest niewielka, a już wypchana do granic wytrzymałości wszelkim obrzydliwym robactwem, jakie tylko wpadło mi w ręce.

– Nie tym się martwię – powiedziała matka – ale stałym jego nieporządkiem. Doprawdy, za każdym razem, kiedy wraca ze spaceru z Rogerem, musi się przebierać od stóp do głów. Nie pojmuję, jak on to robi, żeby się tak brudzić.

Teodor chrząknął z rozbawieniem.

– Pamiętam, jak kiedyś – zaczął wkładając kawałek ciasta do ust i żując w zamyśleniu, a oczy jarzyły mu się uśmiechem nad zjeżoną brodą – pamiętam, jak kiedyś szedłem na uhm... herbatę do kogoś... uhm... z moich przyjaciół tutaj, w Peramie. W owym czasie byłem właśnie w wojsku i trochę się puszyłem nowo otrzymaną rangą kapitana. Tak więc... uhm... trochę dla parady włożyłem mundur, jak również pięknie wypucowane wysokie buty i ostrogi. Przypląnąłem promem do Peramy, a kiedy przechodziłem przez jakiś bagnisty odcinek drogi, zobaczyłem całkiem mi nie znaną roślinę. Podeszedłem więc, by ją zerwać. Dałem krok na coś, co... wiecie... wydawało się mocnym gruntem i nagle zapadłem się w bagno po pachy. Na szczęście nie opodał rośło małe drzewko i ja... udało mi się jakoś schwycić je i wydostać się z bagna. Ale byłem prawie cały pokryty czarnym śmierdzącym blockiem. Morze znajdowało się... uhm... dość blisko, więc ja... uhm... doszedłem do wniosku, że lepiej być zmoczony czystą morską wodą niż taki zabłocony, wobec czego wszedłem do morza i chodziłem sobie tam i z powrotem. Akurat w tym momencie nadjechał drogą autobus, a kiedy kierowca zobaczył człowieka, który w mundurze i czapce wojskowej spaceruje w morzu, zatrzymał autobus, żeby pasażerowie mogli... uhm... dobrze się temu przyjrzeć. Wszyscy wydawali się mocno zdumieni, ale zdziwili się jeszcze bardziej, kiedy wyszedłem z morza i okazało się, że jestem na dokładkę w wysokich butach z ostrogami.

Teodor zaczekał z powagą, aż śmiech ucichnie.

– Wiecie – stwierdził w zamyśleniu i całkiem serio – chyba zupełnie zachwiałem ich wiarę w to, że armia składa się z ludzi normalnych.

Od tego czasu Teodor spędzał z nami jeden dzień w tygodniu, a czasem i więcej, jeśli tylko udało się nam go zwabić i oderwać od rozlicznych zajęć.

Mieliśmy już w tym czasie wielu przyjaciół wśród okolicznych chłopów. Byli tak gościnnie

gadali, że najkrótszy spacer przedłużał się w nieskończoność, bo w każdej chatce, do której zajrzeliśmy, trzeba było usiąść, wypić szklaneczkę wina czy zjeść z gospodarzami owoce, a czas mijał. Pośrednio przynosiło to nam duże korzyści, ponieważ za każdym takim spotkaniem nasza uboga greczyzna nabierała rumieńców i w niedługim czasie potrafiliśmy niemal biegle prowadzić skomplikowane rozmowy z naszymi przyjaciółmi ze wsi.

A potem przyszedł moment pasowania na rycerzy: zrobiono w stosunku do nas gest, który świadczył, że zostaliśmy przyjęci przez tutejszą społeczność. Zaproszono nas na wesele siostry naszej służącej, Marii. Panna młoda, zmysłowa dziewczyna, o szerokim olśniewającym uśmiechu, brązowych oczach, wielkich i jedwabistych jak bratki, miała na imię Katarzyna. Wesoła, kokieteryjna i rozśpiewana jak słowik, łamała serca wszystkim naokoło przez niemal całe swe dwudziestoletnie życie. Teraz zdecydowała się na Stefanosa, silnego, ładnego chłopca, który na sam widok Katarzyny tracił mowę, bełkotał i oblewał się rumieńcem.

Wkrótce stwierdziliśmy, że jak się tu kogoś zaprasza na wesele, to już na całego. Pierwszą uroczystością było przyjęcie zaręczynowe; wszyscy udawali się do domu narzeczonej i zanosili prezenty, a ona dziękowała za to uroczo i poila winem. Kiedy goście byli już odpowiednio podchmieleni, państwo młodzi zaczęli marsz ku czemuś, co miało być ich przyszłym domem, poprzedzani przez orkiestrę wiejską (dwoje skrzypiec, flet i gitara) grającą skoczne melodie, a za nimi ciągnęli goście, niosąc swoje dary. Prezenty, jakie otrzymała Katarzyna, stanowiły dziwną mieszankę. Najważniejsze było podwójne mosiężne łoże ogromnych rozmiarów – otwierało procesję, niesione przez czterech przyjaciół Stefanosa. Za nimi podążał sznur gości niosących prześcieradła, powłoczki, poduszki, krzesło drewniane, patelnie, wielkie butle oliwy i tak dalej. Po wniesieniu prezentów do chaty wypiliśmy za zdrowie młodej pary, w ten sposób niejako otwierając ich nowy dom. Wróciliśmy potem z lekkim zawrotem głowy i oczekiwaliśmy – każdy u siebie – na ciąg dalszy, czyli samo wesele.

Zapytaliśmy, bardzo nieśmiało, czy Teodor mógłby przyjść z nami na wesele, a panna młoda i jej rodzice przyjęli ten projekt z zachwytem, jak bowiem wyjaśnili z właściwą im otwartością, niewiele okolicznych domów może się poszczycić obecnością angielskiej rodziny oraz prawdziwego doktora na ślubie.

Zaświtał wielki dzień. Wystroiwszy się paradnie, zabraliśmy z miasta Teodora i udaliśmy się do domu rodziców Katarzyny, leżącego pośród oliwek, z widokiem na roziskrzone morze. Tu właśnie miała się odbyć uroczystość. W domu było rojno jak w ulu. Zjechali na osłach krewniacy z wiosek odległych niekiedy o dziesięć mil. Wokół domu rozsiedli się w grupach bardzo starzy mężczyźni i zgrzybiałe kobiety i, popijając wino, gadali w ożywieniu, bez przerwy, jak sroki. Był to dla nich wielki dzień, nie tylko ze względu na wesele, ale i na to, że mieszkając tak od siebie daleko widzieli się zapewne po raz pierwszy od dwudziestu lat i mogli teraz przekazywać sobie plotki i nowiny. Orkiestra wiejska szalała, skrzypce kwiliły, gitara

burczała, a flet popiskiwał od czasu do czasu niby osamotniony szczeniak. W takt melodii młodszy goście tańczyli pod drzewami, podczas gdy na rożnach opodal syczały i skwierczały cztery ubite jagnięta nad ogromną chryzantemą ognia z węgla drzewnych.

– Aha! – oczy Teodora zaślnęły zainteresowaniem – to, co oni tańczą, to taniec z Korfu. I figury, i... uhm... melodia powstała tu, na Korfu. Niektórzy specjaliści twierdzą, że ten taniec... uhm... to znaczy... krok... powstał na Krecie, ale jeśli o mnie idzie, sądzę, że to jest... uhm... oryginalny produkt Korfu.

Dziewczyny w sukniach jaskrawych jak szczygły obracały się zręcznie w świetle księżyca, a przed nimi harcował smagły młody chłopiec z czerwoną chustką: skakał, wybijał hołubce, zginał się i skręcał jak dziarski kogut przed zgromadzonymi wokół kurami. Katarzyna wyszła z rodzicami, aby nas powitać, i poprowadziła na honorowe miejsca, czyli za rozchwieirutany drewniany stół nakryty białym płótnem, gdzie siedział już wspaniały stary pop, gotów rozpocząć ceremonię. Miał w pasie obwód wieloryba, białe jak śnieg brwi, wąsy i brodę tak gęste i bujne, że zostawiały na twarzy miejsce tylko na parę błyszczących, czarnych jak oliwki oczu i wielki, wystający, czerwony jak wino nos. Usłyszawszy, że Teodor jest lekarzem, wyliczył dobrotliwie, ze szczegółami, niezliczone symptomy swoich kilku chorób (które spodobało się Panu Bogu spuścić na niego), a na zakończenie wyśmiał z całego serca dziecinną diagnozę Teodora, że trochę mniej wina i trochę więcej ruchu mogłoby mu przynieść ulgę w cierpieniach.

Larry przypatrywał się Katarzynie, która włączyła się w krąg tańczących. W obcisłej białej satynowej sukni brzuszki Katarzyny rysował się wyraźniej niż dotychczas.

– Ten ślub – mruknął Larry – powinien być się odbyć nieco wcześniej.

– Cicho, synku – szepnęła matka. – Może ktoś z nich mówi po angielsku.

– Jest faktem dość szczególnym – oznajmił Teodor, niepomyślnie uwagi matki – że na wielu weselach zobaczycie pannę młodą w... uhm... podobnym stanie. Tutejsi wieśniacy są bardzo wiktoriańscy w swoich poglądach. Jeśli jakiś młody człowiek... uhm... na serio zaleca się do jakiejś dziewczyny, ani jednej, ani drugiej rodzinie nie przyjdzie do głowy, że mógłby się z nią nie ożenić. A prawdę mówiąc, gdyby tego próbował i... uhm... rozumiecie, chciał uciec, goniłaby go zarówno rodzina narzeczonej, jak własna. Prowadzi to do sytuacji, gdzie... uhm... kiedy młody człowiek zaleca się do dziewczyny, staje się przedmiotem kpiny, to znaczy... wyśmiewają się z niego wszyscy okoliczni młodzi chłopcy, wyrażając powątpiewania co do jego... uhm... tężyzny jako... uhm... potencjalnego ojca. Doprowadzają nieszczęśnika do takiego stanu, że jest niemal zmuszony... uhm... wiecie... przedstawić im dowód...

– Bardzo to, moim zdaniem, nierozsądne – sarknęła matka.

– Ależ nie – Teodor próbował skorygować to nienaukowe podejście do problemu. – W gruncie rzeczy pannie młodej liczy się na plus, jeśli jest przy nadziei. To jest dowód jej... uhm... płodności.

Wreszcie pop dźwignął swój potężny brzuch na podagryczne nogi i ruszył do głównego pokoju, przygotowanego do ceremonii. Wówczas roześmiana i rozdokazywana gromada młodzieży zapędziła do domu Stefanosa, straszliwie spoconego, w ubraniu o wiele za małym, nieco chyba oszołomionego tym, że los tak się do niego uśmiechnął. To samo zrobiły rozćwierkane, rozszczebiotane dziewczyny z panną młodą.

Największy pokój w domu był bardzo malutki, toteż kiedy wepchnięty został do niego ogromny korpus dobrze wykarmionego popa wraz z wszystkim, co było niezbędne do obrządku, wystarczyło już miejsca tylko dla stojącej przed księdzem młodej pary. My, pozostali, musieliśmy się zadowolić patrzeniem przez okna czy drzwi. Nabożeństwo było niewiarygodnie długie i dla nas niezrozumiałe, chociaż słyszałem, że Teodor tłumaczy kawałki Larry'emu. Na mój gust za dużo było tych wszystkich intonacji, ciągłego żegnania się i wylewania morza wody święconej. Nad Stefanosem i Katarzyną trzymano dwa niewielkie wieńce z kwiatów niby bliźniacze aureole i gdy pop coś tam mrucał, wymieniano co chwila te wieńce nad głowami młodych. Ponieważ ludzie, którzy trzymali wieńce, już od bardzo dawna nie byli na żadnym ślubie, mylili niejednokrotnie wskazania kapłana, a wówczas następowała, że tak powiem, kolizja wieńców nad głowami młodej pary. Wreszcie poświęcono obrączki, wsunięto je na śniade, zgrubiałe palce i Katarzyna ze Stefanosem zostali sobie rzetelnie i, mam nadzieję, nieodwołalnie poślubieni.

Podczas uroczystości panowała niemal absolutna cisza, przerywana tylko od czasu do czasu ospałym, dziwnym gdaknięciem kury czy ostrym i stłumionym natychmiast płaczem niemowlęcia. Teraz, kiedy skończyła się ceremonia ślubna, zabawa znowu ruszyła na całego. Orkiestra ponownie sięgnęła do swego repertuaru i grała jeszcze zwawsze, jeszcze skoczniejsze melodie. Ze wszystkich stron rozbrzmiewał śmiech i przekomarzania. Wino bulgotało z butelek, a goście tańczyli i tańczyli, i tańczyli w krąg, zgrzani i szczęśliwi, równie niezmordowani jak wskazówki zegara.

Zabawa skończyła się dopiero po północy. Wszyscy starsi goście rozjechali się już do domów na rozespanych osłach. Ogromne ogniska ze zwisającymi resztkami pieczonych jagniąt dogasały w całunie szarych popiołów, w których gdzieniegdzie migotała garść rozsypującego się żaru. Wypiliśmy z Katarzyną i Stefanosem ostatnią szklaneczkę wina i ruszyliśmy sennie przez gaj oliwkowy osrebrzony księżycem wielkim i białym jak kwiat magnolii. Puchacze wygrywały sobie nawzajem żałobne kuranty, a jakiś świetlik zamrugał nam w przejściu szmaragdową zielenią. Ciepłe powietrze pachniało dziennym słońcem, rosą i setkami zapachów aromatycznych liści. Odurzeni i oszołomieni winem szliśmy między wielkimi przysadzistymi oliwkami o pniach obnażonych w księżycowym świetle i sądzę, że wszyscy czuliśmy to samo – że oto jesteśmy u celu, że oto zostaliśmy przyjęci przez tę wyspę. Tu pod spokojnym, dobrotliwym okiem księżycy odbył się nasz chrzest. Korfu uznało nas za swoich. Noc była cudowna, a nazajutrz

czekał nas następny dzień, złoty jak tygrys. Wydawało się nam, że Anglia nigdy nie istniała.

Zatoka Oliwek

Po wyjściu z naszej willi szło się kawałek przez gaj oliwny, by wreszcie dojść do drogi, grubo osypanej białym kurzem, miękkim jak jedwab. Po mniej więcej pół mili dochodziło się do koziej ścieżki spadającej stromo między oliwkami ku małej zatoczce w kształcie półksiężyca, wytyczonej białym piaskiem i ogromnymi zwałami suchych wstążek wodorostów, wyrzuconych tu podczas zimowych sztormów i leżących wzdłuż plaży niby wielkie, niechlujne ptasie gniazda. Oba ramiona zatoki okolone były niewielkimi skałami, a u ich stóp znajdowały się liczne skaliste stawki, w których aż się roiło od morskich żyjatek.

Kiedy George zorientował się, że codzienne zamykanie mnie przed południem w domu fatalnie wpływa na moją uwagę, wprowadził nowość dydaktyczną, zwaną „lekcją w plenerze”. Piaszczysta plaża czy splątane stopy wodorostów stały się wkrótce spaloną słońcem pustynią czy nieprzebytą dżunglą, którą badaliśmy pracowicie, a jakiś ospały krab czy zmieraczek odgrywał rolę Corteza czy Marco Polo. Takie lekcje geografii miały dla mnie niezwykły urok. Postanowiliśmy kiedyś zrobić ze skał nadbrzeżnych mapę świata – zewnętrzne kontury kontynentów, tak aby oblewało je prawdziwe morze. Było to zadanie ogromnie pracochłonne, ponieważ przede wszystkim wcale nie było łatwo znaleźć skały o kształcie Afryki czy Indii, czy Południowej Ameryki, czasami więc trzeba było składać kilka skał, by uzyskać właściwy zarys kontynentu. No, a rzecz jasna, jak człowiek wziął kawałek skały i obejrzał go uważnie, zawsze znalazł pod spodem masę różnych żyjatek, które absorbowały nas obu ze szczerem przez jakiś kwadrans, aż wreszcie George uświadamiał sobie z przerażeniem, że wcale nie posuwamy się z mapą świata.

Ta mała zatoczka była moim ulubionym celem wypraw, toteż niemal w każde popołudnie, kiedy cała rodzina udawała się na sjęstę, ruszałem z Rogerem przez znieruchomiałe w upale gaje oliwne, rozbrzmiewające głosem cykad. Wędrowaliśmy pylistą drogą, gdzie Roger kichał zawzięcie, gdyż jego wielkie łapska wznosiły tumany kurzu, który wbijał mu się w nos jak tabaka. Po przyjsciu nad wodę, tak spokojną i przezroczystą w popołudniowym słońcu, jakby jej w ogóle nie było, pływaliliśmy trochę na płycźnie, a potem każdy z nas zajmował się tym, co mu najbardziej odpowiadało.

Jeśli idzie o Rogera, były to rozpaczliwe i bezskuteczne próby schwytania małych rybek, które srebrzyły się i trzepotały na płytkich wodach. Pies kroczył wolno, majestatycznie, pomrukując coś do siebie, i nastroszywszy uszy wpatrywał się w wodę. Nagle gwałtownym ruchem zanurzał łeb, rozlegało się kłapaniecie szczęk, po czym pies wyciągał głowę, kichał rozgłośnie i otrząsał kudły z wody, a babka czy ślizga, którą próbował złapać, smykała o kilka jardów dalej i przycupnięta na kawałku skały odymała się na niego, a ogon jej drgał uwodzicielsko.

Ja w tej malutkiej zatoczce tyle dostrzegałem żywych stworzeń, że nie bardzo wiedziałem, od czego zaczynać łowy. Pod skałami i na ich wierzchu biegły białe kredowe tunele rurek morskich, niby pokrętny i skomplikowany wzór lukrowy na cieście, a na nieco głębszej wodzie tkwiły wetknięte w piasek masy czegoś, co przypominało miniaturowe kawałki makaronu. Jeśli się stało i patrzyło uważnie, na końcach tych makaronowych rurek ukazywały się delikatne, pierzaste korony czułków barwy opalizującego błękitu, czerwieni i brązu, wolno obracające się wkoło. Były to mszywioly – bardzo brzydka, moim zdaniem, nazwa dla tak pięknych istot. Czasami widziałem całe ich roje, wyglądały jak rabata ruchomych kwiatów. Trzeba się było do nich podkraść niezwykle ostrożnie, bo wystarczyło zbyt gwałtownie przesunąć nogę w wodzie, by zbudzić falę, która ostrzegała je o czyjejś obecności, a wówczas korony czułków skupiały się natychmiast i z niewiarygodną szybkością znikaly w rurce.

Tu i tam na piaszczystym dnie zatoki leżały półksiężycy czarnych, błyszczących, wstążkowatych wodorostów, które wyglądały jak ciemne boa z piór przyczepione do piasku, a w nich żyły iglicznie morskie o niezwykłych głowach niby wydłużone koniki morskie zatknięte na końcu długiego, wiotkiego ciała. Ryby te pływały pionowo pomiędzy wodorostami, do których tak bardzo były podobne, że trzeba było wpatrywać się w wodę z ogromnym skupieniem, żeby je zobaczyć.

Wzdłuż brzegu, pod skałami, można było znaleźć malutkie kraby lub paciorkowe ukwiały jak malutkie szkarłatne i niebieskie poduszeczki do szpilek przybrane klejnotami albo podługowate ukwiały o smukłych kolumnach koloru kawy i długich wijących się czułkach, które przypominały fryzurę, jakiej mogłaby pozazdrościć sama Meduza. Każda skała inkrustowana była różowym, białym lub zielonym koralem, pięknymi lasami mikroskopijnych wodorostów i delikatnym poszyciem *Acetabidaria mediterranea* o smukłych nitkowatych łodygach. Na czubku każdej takiej łodygi umieszczone było coś, co przypominało zielony parasolik odwrócony na zewnątrz podmuchem podwodnego wiatru. Od czasu do czasu skałę zdobił wielki, ciemny kawał gąbki pokrytej na wypukłej powierzchni rozwartymi otworami, przypominającymi miniaturowe wulkany. Warto było oderwać taką gąbkę od skały i rozplatać brzytwą, gdyż czasami znajdowało się wewnątrz jakieś dziwne żyjątko, gąbka jednak w odwecie pokrywała człowieka rękę śluzem, który miał ohydny zapach stęchłego czosnku i godzinami nie dawał się zmyć. Na brzegu i w skalnych stawkach znajdowałem nowe muszle do mojej kolekcji, a rozkosz tego zbierania wzmagały w równej mierze ich cudowne kształty, jak i niezwykle, działające na wyobraźnię nazwy. Szpiczasta muszla niby ogromny pobrządek, którego warga została przedłużona w szereg częściowo zrosniętych palców, nazywała się, jak stwierdziłem z zachwytem, stopą pelikana. Niemal kolista, biała, stożkowata, przypominająca czaszołka muszla nosiła nazwę chiński kapelusz. Były też muszle arki, dziwne, pudełkowate muszle – po otwarciu obie części wyglądały jak kadłuby dwóch malutkich ark. A jeszcze były wieżyczniki

poskręcane i spiczaste niby róg narwala, a również trochusy w wesołe paski z zygzakami czerwieni, czerni i błękitu. Pod większymi odłamami skał można było znaleźć przewiertki, z których każda miała na wierzchu, zgodnie z nazwą, przewiercony otwór przypominający dziurkę od klucza; przez tę dziurkę stworzenie oddycha. No i jeśli się człowiekowi udało, jeśli naprawdę miał szczęście, znajdował spłaszczone uszy morskie, łuskowate, szare, z szeregiem dziurek po jednej stronie; kiedy się wyciągnęło ze środka muszli prawowitego mieszkańca, można było stwierdzić, że całe jej wnętrze żarzy się opalizującymi kolorami zachodu słońca, czarodziejskiej krasy. W owym czasie nie miałem akwarium i musiałem sobie zbudować w zakątku zatoczki małą sadzawkę skalną na osiem stóp długą, a cztery szeroką, do której wsadzałem najrozmaitsze moje trofea, żeby wiedzieć, gdzie je następnego dnia znajdę.

W tej właśnie zatoczce złapałem mojego pierwszego kraba pajakonogiego. Przeszedłbym mimo niego, biorąc go za pokryty zielskiem kawałek skały, gdyby nie to, że się zdradził nieostrożnym ruchem. Kadłub miał wielkości i kształtu spłaszczonej małej gruszki, u węższego końca przyozdobiony licznymi kolcami, za którymi, na samym brzegu, tuż nad oczyma znajdowały się dwie przypominające rogi wypukłości. Miał odnóże i szczypce długie, cienkie i wrzecionowate. Ale najbardziej intrygowało mnie to, że nosił na grzbiecie i nogach kompletne wdzianko z malutkich roślin morskich, które jakby wyrastały z jego pancerza. Oczarowany tym dziwnym krabem niosłem go triumfalnie plażą i umieściłem w swojej sadzawce. Musiałem go bardzo mocno uchwycić (bo krab, stwierdziwszy, że jego krabia tożsamość została ujawniona, robił rozpaczliwe wysiłki, żeby zwiać) i nim doszedłem do sadzawki, starłem mu palcami dużą część roślinnego wdzianka. Włożyłem go do przejrzystej, płytkiej wody i leżąc na brzuchu obserwowałem, co będzie dalej. Wspiał się jak gdyby na palce i, niczym uciekający pająk, popędził kawałek dalej, a potem zamarł w bezruchu. Siedział tak dłuższy czas, prawdę mówiąc tak długo, że już doszedłem do wniosku, że ma zamiar tak siedzieć nieruchomo przez resztę ranka, dochodząc do siebie po szoku, jakim było schwywanie w niewolę, kiedy nagle wyciągnął długie delikatne odnóże i bardzo zręcznie, niemal nieśmiało, zerwał malutką gałązkę wodorostu, rosnącego na pobliskiej skale. Wsadził gałązkę do paszczy i, jak mi się zdawało, zaczął ją żuć. Sądziłem, że ją zajada, ale wkrótce zdałem sobie sprawę, że się myłę, bowiem z topornym wdziękiem założył sobie odnóże na plecy, pomacał dosyć niezdarnie, a potem zasadził tę malutką roślinkę na swoim pancerzu. Przypuszczałem, że nagumował jej podstawę śliną czy inną jakąś substancją, żeby mu się przylepiła do pancerzyka.

Patrzyłem dalej, jak toczy się powoli wokół sadzawki zbierając całą kolekcję wodorostów z głębokim przejęciem zawodowego botanika w dziewiczej dżungli. Po godzinie mniej więcej miał pancerz pokryty tak grubą warstwą zielska, że kiedy przycupnął spokojnie, a ja na chwilę spojrzałem w inną stronę, trudno mi go było później znaleźć.

Zaintrygowany tą sprytną formą kamuflażu, przeszukałem starannie zatokę i wreszcie

znalazłem jeszcze jednego kraba pajakonogiego. Zbudowałem specjalnie dla niego malutką sadzawkę z piaszczystym dnem – nie było tam żadnych roślin. Włożyłem go – usadowił się w niej całkiem zadowolony. Następnego dnia przyniosłem szczotkę do zębów (okazało się później, że była to własność Larry'ego), wziąłem nieszczęsnego kraba i wyszorowałem rzetelnie, tak że ani na pancerzyku ani na odnóżach nie zostało mu najmniejsze ździebełko. Potem wrzuciłem do jego sadzawki najrozmaitsze rzeczy: całą garść trochusów, okruchy koralu, malutkie ukwiały i drobne kawałki szkła butelkowego, tak spoliturowanego przez morze, że wyglądały jak matowe klejnoty. Wtedy usiadłem i patrzyłem.

Krab po powrocie do swojej sadzawki siedział przez kilka minut nieruchomo, widocznie starając się dojść do siebie po hańbiącym zabiegu, jakim było szorowanie. Potem, jakby nie mógł się pogodzić z tak strasznym losem, podniósł szczypce nad głowę i niezwykle delikatnie obmacywał sobie grzbiet, wierząc może wbrew rozsądkowi, że został mu choćby jeden listek. Ale ja sumiennie wykonałem zadanie: grzbiet miał nagi, aż lśniący. Zrobił niepewnie kilka kroków, potem przycupnął i trwał tak w smutku z pół godziny. Wreszcie otrząsnął się z przygnębienia, podszedł do skraju sadzawki i próbował się wklinać pod ciemny występ skalny. Przycupnął tam, rozmyślając ponuro nad nagą oczywistością swego wyglądu, aż wreszcie przyszedł na mnie czas i musiałem iść do domu. Powróciwszy następnego dnia wczesnym rankiem, stwierdziłem z zachwytem, że krab nie próżnował podczas mojej nieobecności. Postanowił widać robić co się da w tych fatalnych warunkach i udekorował swój pancerz ogromną ilością składników, które mu zostawiłem. Wyglądał niezmiernie krzykliwie, niemal jarmarcznie. Oklejały go pasiaste trochusy przemieszane z okruchami koralu, a tuż przy głowie nasadził sobie dwa paciorkowe ukwiały, niby szykowny czepeczek z wstążkami. Kiedy tak patrzyłem, jak chodzi po piasku, myślałem, że strasznie rzuca się swoim wyglądem w oczy, ale, dziwna rzecz, kiedy przycupnął pod swoim ulubionym występem skalnym, wydawał się małą kupką potłuczonych muszelek i koralu z kilkoma wetkniętymi w nią ukwiałami.

Na lewo od zatoczki, mniej więcej o ćwierć mili od brzegu, leżała wyspa zwana Pondikonissi, czyli Wyspa Mysia. Kształtem przypominała trójkąt równoramienny. Była gęsto porośnięta starymi cyprysami i krzakami oleandrów, które strzegły białego jak śnieg kościółka i przytulonego doń domeczku. Wyspę zamieszkiwał stary i brudny mnich w długich czarnych szatach i kapeluszu jak rura od pieca. Głównym zajęciem samotnika było kołysanie co pewien czas dzwonu w kościółku małym jak pudełko zapalek, a wieczorami leniwe wiosłowanie do najbliższego cypla, gdzie w mikroskopijnym klasztorze mieszkały trzy zgrzybiałe zakonnice. Tu mnich pozwalał się częstować *ouzo* i filiżanką kawy, omawiał zapewne grzeszny stan dzisiejszego świata, a potem, kiedy zachodziło słońce przemieniając spokojne wody wokół wyspy w wielobarwne prześcieradło opalizującego jedwabiu, wsiadał i jak garbaty kruk wiosłował z powrotem w swojej rozchwierutanej skrzypiącej łodzi.

Ponieważ Margo stwierdziła, że kąpiele słoneczne nie tylko nie zmniejszają, ale zaogniają jej trądzik, zdecydowała się na następny rodzaj leczenia przy pomocy Matki Natury – na kąpiele morskie. Codziennie wstawała około wpół do szóstej rano, wyciągała mnie z łóżka i biegliśmy razem na brzeg, by zanurzyć się w przejrzystej wodzie, wciąż jeszcze chłodnej od księżycowego wzroku, a potem płynąć powoli i leniwie na Pondikonissi. Tu Margo układała się na skale, a ja grzebałem w skalnych sadzawkach na brzegu. Niestety, nasze wizyty na wyspie oddziaływały fatalnie na mnicha; natychmiast gdy Margo ułożyła się we wdzięcznej pozie, mnich schodził z tupotem po wykutych w skale schodkach prowadzących z kościółka, wygrażał jej pięścią, i spod długiej zmierzwionej brody pluł niezrozumiałymi greckimi słowami. Margo witała go zawsze promiennym uśmiechem i przyjaznym machaniem ręki, co budziło w nim apoplektyczną wściekłość. Chodził tam i z powrotem zawijając zamasyście swą czarną szatą przy obrocie, jednym brudnym palcem wskazywał niebo, drugim – Margo. Po kilku takich scenach udało mi się zanotować w pamięci kilka najczęściej powtarzających się wyrażeń, ponieważ słownik mnicha nie odznaczał się zbytnim bogactwem. Zapytałem potem mojego przyjaciela, Filemona, co też one znaczą. Filemon wybuchnął szalonym śmiechem. Śmiał się tak serdecznie, że nie mógł wydobyć słowa, wreszcie jednak zrozumiałem, że mnich używał w stosunku do Margo pewnych uwłaczających określeń, z których najłagodniejszym było: „biała czarownica”.

Kiedy opowiedziałem to matce, bardzo się, ku mojemu zdumieniu, zgorszyła.

– Doprawdy – powiedziała – powinniśmy chyba kogoś o tym zawiadomić. Kościół anglikański nigdy by nie dopuścił do czegoś podobnego.

Po pewnym czasie jednak cała ta sprawa zmieniła się w coś w rodzaju zabawy. Wypływając na wyspę zabieraliśmy z Margo papierosy dla mnicha. Zbiegał po kamiennych schodkach zawsze wygrażając nam pięścią i zapowiadając gniew boży, a potem, wypełniwszy obowiązek, podciągał habit, kuczał na murze i w najlepszym humorze palił przyniesione przez nas papierosy. Czasami nawet wspinał się z powrotem na górę i przynosił nam garść fig zerwanych prosto z drzewa czy trochę migdałów, świeżych i mlecznych, które miażdżyliśmy między gładkimi kamieniami na plaży.

Pomiędzy Pondikonissi a moją ulubioną zatoką ciągnął się sznur raf. Większość z nich miała spłaszczone wierzchołki, jedne wielkości stołu, inne – małych ogródków. Leżały na ogół nie głębiej jak dwa cale pod powierzchnią morza i jeśli pływak wciągnął się na jedną z nich i stanął – sprawiał wrażenie człowieka, który idzie po wodzie. Od dawna marzyłem, żeby spenetrować te rafy, gdyż mieszkają w nich wiele żyjątek morskich, których nie można było znaleźć na płytkich przybrzeżnych wodach zatoki. Nastręczało to jednak nieprzewyciężone trudności, nie mogłem bowiem przetransportować na rafy mojego ekwipunku. Próbowałem tam przepłynąć zawiesiwszy na sznurku u szyi dwa duże słoiki od dżemu, a w rękę trzymając siatkę, ale w połowie drogi oba słoiki złośliwie nabrały wody, a ich wspólny ciężar wciągnął mnie pod

powierzchnię. Dopiero po kilku sekundach udało mi się z nich wyplątać i wychynałem, zadyszany i zapluty, a moje słoiki toczyły się migocąc na dużej głębokości – i równie dobrze mógłbym ich teraz szukać na księżycu.

Kiedyś, pewnego upalnego popołudnia, siedziałem w mojej zatoce zaglądając pod kamienie w poszukiwaniu długich, wielobarwnych wstężnic, które można w takich miejscach znaleźć, i byłem tak pochłonięty pracą, że dopiero chrzęst i skrzywienie dzioba łodzi, wsuwającej się na piaszczysty brzeg tuż obok, zwróciły moją uwagę. Na rufie, wsparty o jedyne wiosło, którym, jak wszyscy tutejsi rybacy, wiosłował ruchem rybiego ogona, stał młody człowiek opalony niemal na czarno. Miał gęste, krucze, kędzierzawe włosy, iskrzące się oczy koloru morwy, a w jego ciemnobrązowej twarzy lśniły oszalałymi białe zęby.

– Yasu – powiedział. – Twoje zdrowie.

Odpowiedziałem na pozdrowienie i przyglądałem się, gdy wyskakiwał zręcznie z łodzi trzymając niewielką zardzewiałą kotwicę, którą wbił mocno za wielką podwójną rabatą schnących na plaży wodorostów. Miał na sobie tylko wystrzępiony podkoszulek i spodnie, które kiedyś były granatowe, a teraz niemal białe od słońca. Podeszedł do mnie, przykucnął obok w towarzyskiej pozie i wyciągnął z kieszeni blaszane pudełko z tytoniem i bibułkami papierosowymi.

– Gorąco dzisiaj – wykrzywił się do mnie, podczas gdy jego krótkie, pokryte zgrubieniami palce ze zdumiewającą zręcznością zwijały papierosa. Wsadził go do ust, wyjął wielką blaszaną zapalniczkę, wciągnął głęboki haust dymu, a potem westchnął. Popatrzył na mnie, a oczy miał bystre jak drozd.

– Ty jesteś jeden z tych cudzoziemców, co mieszkają tam, na wzgórzu? – zapytał.

W owym czasie mówiłem już prawie biegle po grecku, toteż odpowiedziałem, że tak, jestem jednym z tych cudzoziemców.

– A ci inni? – pytał. – Inni w tej willi? Kto oni są?

Już dawno stwierdziłem, że mieszkańcy Korfu, zwłaszcza wieśniacy, uwielbiają wiedzieć wszystko o wszystkich, a w zamian za to gotowi są zawierzyć ci najbardziej intymne szczegóły swojego osobistego życia. Wyjaśniłem, że ci pozostali w willi to moja matka, dwaj bracia i siostra. Z powagą kiwał głową, jakby to były jakieś niezmiernie ważne informacje.

– A twój ojciec? – zapytał. – Gdzie jest twój ojciec?

Wyjaśniłem, że mój ojciec nie żyje.

– Nieborak! – wyraził mi natychmiast współczucie. – Biedna twoja matka! Czworo dzieci do wychowania!

Westchnął żałośnie na tę smutną myśl, ale szybko poweselał.

– Widzisz – oświadczył filozoficznie – takie już jest życie. Cze go szukasz pod tymi kamieniami?

Wyjaśniłem mu to, jak umiałem, zawsze bowiem było mi bardzo trudno tłumaczyć wieśniakom, czemu się interesuję tak ogromną ilością istot albo szkodliwych, albo niegodnych uwagi, a przede wszystkim – niejadalnych.

– Jak ci na imię? – spytał.

Odpowiedziałem, że nazywam się Gerasimos, co było najbliższym greckim odpowiednikiem Geralda. Ale, tłumaczyłem, koledzy wołają mnie Geny.

– Ja jestem Taki – powiedział chłopak. – Taki Thanatos. Mieszkam w Benitses.

Zapytałem, co robi tutaj, dosyć przecież daleko od swojej wsi. Wzruszył ramionami.

– Wypływam z Benitses – wyjaśnił – i po drodze łowię. Potem jem, śpię, a jak zapadnie noc, zapalam światła i wracam do Benitses znowu łowiąc po drodze.

Zelektryzowała mnie ta wiadomość, niedawno bowiem wracając późno z miasta przystanęliśmy na drodze przy ścieżce wiodącej do naszej willi, by patrzeć na przepływającą poniżej łódź, w której ktoś bardzo wolno wiosłował, a która miała przymocowaną na dziobie lampę węglową. Rybak prowadził łódź powoli po ciemnych, płytkich wodach. Lampa rzucała jasny krąg światła na wielkie połacie dna morskiego – pod przepływającą powoli łodzią zapalały się rafy barwą cytrynowozieloną, różową, żółtą i brązową. Pomyślałem sobie wówczas, że to fascynujące zajęcie, ale nie znałem żadnego rybaka. Teraz spojrzałem na Takiego innymi oczyma.

Spytałem go skwapliwie, o której chce zacząć połów i czy zamierza opłynąć rafy leżące pomiędzy zatoką a Pondikonissi.

– Zacznę około dziesiątej – odparł. – Łowię wokół wyspy, a potem płynę prosto na Benitses.

Zapytałem, czy byłoby możliwe, żebym z nim popłynął, ponieważ, wyjaśniłem, na tych rafach żyje mnóstwo dziwnych stworzeń, a ja ich nie mogę schwytać nie mając łodzi.

– Czemu nie? Teraz popłynę za Menelaos. Przyjdź o dziesiątej. Opłyniemy rafy, potem cię wyrzucę koło Menelaos w po wrotnej drodze do Benitses.

Zapewniłem go żywo, że będę o dziesiątej. Potem zebrałem siatkę i butelki, gwizdnąłem na Rogera i szybko podałem tyły w obawie, by Taki nie zmienił zdania. Kiedy znalazłem się w bezpiecznej odległości, poza zasięgiem jego głosu, zwolniłem, i zacząłem się zastanawiać, jak mam namówić rodzinę w całości, a matkę w szczególności, aby pozwolono mi wypłynąć na morze o dziesiątej wieczór.

Wiedziałem, że matka ustawicznie się trapi moją upartą odmową odbywania, jak inni, sjesty w czasie upalnych godzin dnia. Wy tłumaczyłem jej, że to najlepsza pora na chwytanie owadów i różnych innych żyjątek, ale ona wciąż nie chciała uznać wagi tego argumentu. Rezultat był taki, że wieczorem, akurat kiedy działo się coś ciekawego (na przykład w czasie słownych utarczek między Leslie'em i Lanym), matka mówiła denerwująco:

– Czas, kochanie, żebyś już szedł do łóżka. Przecież ty nie sypiasz w czasie sjesty.

Obawiałem się, że taką właśnie usłyszę odpowiedź, kiedy zgłoszę projekt nocnych połowów. Dochodziła zaledwie trzecia, wiedziałem, że cała moja rodzina leży nieruchomo za zamkniętymi żaluzjami, a dopiero gdzieś około wpół do szóstej obudzi się, by zacząć sennie jak ospałe muchy pomrukiwać na siebie.

Wróciłem jak najszybciej do willi. O sto jardów od domu ściągnąłem koszulę z grzbietu i owinąłem słoiki pełne skarbów tak, żeby najmniejszy brzęk nie zdradził mojej obecności. Potem pod karą śmierci zabroniłem Rogerowi czekać i wreszcie wkradliśmy się po cichutku do domu. Jak cienie wsunęliśmy się do mego pokoju. Roger przysiadł, zdyszany, na środku podłogi i przyglądał się ze zdumieniem, jak ściągam ubranie i włożę do łóżka. W gruncie rzeczy wcale nie pochwalał tak niestosownego zachowania. Przecież mieliśmy przed sobą całe popołudnie, zapowiadało się ryle cudownych przygód, a tu ja szykuję się do spania. Zaskomlił na próbę, ale uciszyłem go tak ostro, że spuścił uszy, podkulił pod siebie kusy ogon, wpełznął pod łóżko i położył się z rozpaczliwym westchnieniem. Wziąłem książkę i próbowałem się na niej skupić. Półprzymknięte żaluzje sprawiały, że pokój wyglądał jak chłodne, zielone akwarium, ale w rzeczywistości upał był nieznośny, czułem, jak pot spływa mi strumyczkami po żebrach. Cóż oni, na litość boską, myślałem, przekładając się z boku na bok w zwilgotniałej już pościeli, cóż oni takiego widzą w sjeście? Co im ona daje? Właściwie tajemnicą jest dla mnie, jak oni w ogóle mogą zasnąć. W tym momencie zapadłem w nieświadomość.

Obudziłem się o wpół do szóstej i wytoczyłem, zaspany, na werandę, gdzie moja rodzina piła herbatę.

– Wielkie nieba! – zakrzyknęła w zdumieniu matka. – Czyś ty spał?

Odparłem najbardziej nonszalancko, jak potrafiłem, że postanowiłem odbyć sjęstę, aby się przygotować na wieczór.

– Czemu? Co się dzieje, synku?

Wyjaśniłem obojętnie, że wypływam o dziesiątej z rybakiem, który mnie zabiera na nocny połów, ponieważ pewne stworzenia wychodzą z kryjówek tylko w nocy, wobec czego nadarza się świetna sposobność, by je schwytać.

– To nie znaczy, ufam – złowróźnie zaczął Larry – że będą się tu trzepały po podłodze ośmiornice i węgorze. Lepiej zabroń mu jechać, mamó. Nim się zdążymy obejrzeć, cały dom będzie śmierdział jak sklep rybny.

Odpowiedziałem żywo, że nie zamierzam przynosić moich okazów do domu, tylko włożę je do specjalnej skalnej sadzawki.

– Dziesiąta to dosyć późno, kochanie – powiedziała matka. – A o której wrócisz?

Zełgałem odważnie, że najprawdopodobniej gdzieś około jedenastej.

– Tylko ubierz się ciepło – prosiła matka, która zawsze uważała, że chociaż noce są ciepłe i balsamiczne, ja na pewno skończę z ciężkim zapaleniem płuc, jeśli nie będę nosił swetra.

Przyrzekłem uroczyście, że otulę się ciepło, wypilem herbatę i spędziłem jeszcze podniecającą, miłą godzinę na szykowaniu sprzętu. Siatka na długim kiju, długi bambus zakończony potrójnym hakiem do przyciągania interesujących kęp zielska, osiem słoików po dżemie z szerokimi otworami, kilka puszek i pudełek na muszle czy kraby. Upewniwszy się, że matki nie ma w pobliżu, włożyłem pod spodnie kostium kąpielowy, a na dno worka z ekwipunkiem wcisnąłem ręcznik, bo byłem przekonany, że po niektóre okazy będę musiał nurkować. Obawy matki o ciężkie zapalenie płuc wzrosłyby stokrotnie, gdyby wiedziała, co zamierzam zrobić.

Wreszcie, za kwadrans dziesiąta, zarzuciłem worek na plecy i z latarką w dłoni ruszyłem przez gaj oliwny. Na wyiskrzonym gwiazdami niebie wisiał blady, plamisty sierp księżyca rzucający mdłe światło. W ciemnych wgłębieniach pośród korzeni drzew jarzyły się niby szmaragdy świetliki, słychać było puchacze nawołujące się z mroku: „toink, toink, toink”.

Na plaży przykucnięty w swej łodzi czekał Taki i ćmił papierosa. Zapalił już latarnię, która syczała gniewnie i rozsiewała wokół zapach czosnku rzucając na płytką wodę pod dziobem jaskrawy krąg białego światła. Widziałem od razu, że przynęciła już chmurę stworzeń. Babki i ślizgi wychynęły ze swych norek i przycupnęły na pokrytych zielskiem występach skalnych odymając się i przetykając, niby grono widzów w teatrze czekających, aż kurtyna pójdzie w górę. Kraby nadbrzeżne biegały tam i z powrotem, i zatrzymywały się od czasu do czasu, by uszczknąć delikatnie jakąś roślinkę i wepchnąć do paszczy, a wszędzie wokół toczyły się trochusy wleczone przez małe kraby pustelniki o cholerycznym wyglądzie, które zajmowały muszle w miejsce ich prawowitych właścicieli.

Ułożyłem ekwipunek łowiecki na dnie łodzi i usiadłem z westchnieniem zadowolenia. Taki odbił od brzegu i na pych, jednym wiosłem poprowadził łódź przez płytkie wody, między rabatami wstążkowych wodorostów, które z szelestem ocierały się o burtę. Kiedy byliśmy już na głębokiej wodzie, włożył oba wiosła w dulki i wiosłował stojąc. Posuwaliśmy się bardzo powoli, a Taki wpatrywał się pilnie w jasny krąg o promieniu dwunastu stóp oświetlający dno morskie. Wiosła skrzypiały melodyjnie, Taki podśpiewywał coś pod nosem. Wzdłuż jednej burty łodzi leżał bardzo długi drąg zakończony pięcioma straszliwymi hakami. Na rufie stała mała butelka oliwy z oliwek, niezbędny ekwipunek rybaka, gdyby bowiem zerwał się lekki wiatr i zmarszczył toń wody, skropienie jej oliwą przyniosłoby czarodziejski spokój i wygładziło sfałdowaną powierzchnię. Powoli, ale uparcie posuwaliśmy się w kierunku trójkątnej sylwetki Pondikonissi, ku miejscu, gdzie znajdowały się rafy. Kiedy podpłynęliśmy do nich, Taki przestał na chwilę wiosłować i spojrzał na mnie.

– Będziemy je przez pięć minut opływać – wyjaśnił – żebyś mógł złapać to, co tu jest. Potem obwiozę cię naokoło, żebyś ty z kolei mógł złapać to, co ci trzeba.

Chętnie się na to zgodziłem, bo byłem bardzo ciekaw, jak Taki poluje ciężkim trójzębem. Powolutku przesuwaliśmy się po wodzie wokół największej rafy, a światło ukazywało dziwne

skały podwodne pokryte różowymi i purpurowymi wodorostami przypominającymi pierzaste dęby. Zaglądając tak w głębinę człowiek czuł się jak pustułka płynąca gładko na rozpostartych skrzydłach ponad wielobarwnym jesiennym lasem. Nagle Taki przestał wiosłować i łagodnie zanurzył wiosła w wodzie, wyhamowując. Łódź utrzymała się, a on ujął trójząb.

– Spójrz – szepnął wskazując na piaszczyste dno pod wielkim występem podwodnej skały – skorpeny.

Na pierwszy rzut oka nie zobaczyłem nic, potem nagle zrozumiałem, co pokazuje. Na dnie leżała ryba długości mniej więcej dwóch stóp z ogromnym ornamentem z ostrych kolców, przypominającym grzbiet smoka, i wielkimi płetwami piersiowymi, które rozłożyła na piasku. Miała niebywale szeroki łeb o złotych oczach i nadąsanych, odętych wargach. Ale najbardziej mnie zdumiała jej barwa, ryba bowiem strojna była we wszystkie odcienie czerwieni od szkarłatu do ciemnego wina, tu i ówdzie podkreślonej i wypunktowanej kolorem białym. Kiedy tak leżała na piasku, wydawała się niebywale pewna siebie, strojna i przy tym ogromnie niebezpieczna.

– Bardzo dobre jedzenie – oświadczył Taki, co mnie zdumiało, gdyż ryba wyglądała na szczególnie trującą.

Powoli i delikatnie zanurzał trójząb w wodzie zbliżając ostrza cal za calem ku rybie. Oprócz zrzędnego syku latarni, nie rozlegał się żaden dźwięk. Powoli, nieubłaganie, trójząb zsuwał się coraz niżej. Wstrzymałem oddech. Przecież ta ogromna ryba o złotych cętkowanych oczach musi dostrzec nadchodzącą zagładę. Nagle uderzenie ogonem, myślałem, wznoszący się wir piasku – i zniknie. Ale nic podobnego, leżała w dalszym ciągu przelękając miarowo i uroczyście. Kiedy trójząb znajdował się już tylko o stopę od ryby, Taki znieruchomiał. Zobaczyłem, jak zsuwa delikatnie dłoń po rękojeści harpuna. Na sekundę zamarł w bezruchu, a mnie się wydawało, że upływa wieczność; potem nagle, tak szybko, że nie dostrzegłem jego ruchu, wbił zręcznie pięć zębów harpuna w nasadę łba wielkiej ryby. Podniósł się wir piasku z krwią, a ryba miotła się i skręcała na harpunie zwijając ciało tak, że kolce jej grzbietu uderzały o drzewce. Ale Taki wbił ostrze zbyt umiejętnie, by mogła uciec. Przekładając szybko ręce wyciągnął kij: ryba ukazała się nad powierzchnią, mignęła nad burtą – i już była w łodzi, szarpiąc się i waląc ogonem. Przynurzałem się do chłopaka, by mu pomóc przy ściąganiu zdobyczy z harpuna, ale odepchnął mnie szorstko.

– Musisz uważać – powiedział. – Skorpeny to strasznie parszywe ryby.

Przyglądałem się, jak pomagając sobie piórem wiosła zsuwa rybę z harpuna, a ona – chociaż praktycznie biorąc powinna już nie żyć – w dalszym ciągu wije się, miota i próbuje wbić kolce grzbietowe w bok łodzi.

– Popatrz – mówił Taki. – Teraz rozumiesz, dlaczego nazywa my te ryby skorpenami? Gdybyś wiedział, co to za ból, kiedy ukłuje człowieka takim kolcem. Święty Spirydionie!

Musiałbyś natychmiast jechać do szpitala.

Żonglując zręcznie wiosłem i harpunem podniósł skorpenę i wrzucił do pustej puszki po nafcie, gdzie nie mogła nikomu zrobić krzywdy. Chciałem koniecznie usłyszeć, dlaczego mówi, że ryba nadaje się do jedzenia, jeśli jest jadowita.

– Och – odparł Taki – to tylko kolce. Trzeba je odciąć. Mięso ma słodkie, słodkie jak miód. Dam ci ją, zabierzesz ją ze sobą do domu.

Znowu pochylił się nad wiosłami i skrzypliwie sunęliśmy wokół skraju rafy. W pewnej chwili znowu przestał wiosłować. W tym miejscu dno morskie było piaszczyste, tu i ówdzie rosły tylko kępki młodych wstążkowych wodorostów. Znowu zatrzymał łódź i ujął harpun.

– Spójrz – powiedział. – Ośmiornica.

W żołądku uczułem skurcz podniecenia, ośmiornice bowiem oglądałem jedynie martwe, w sklepach w mieście. Byłem przekonany, że wyglądają zupełnie inaczej niż żywe. Ale chociaż wypatrywałem oczy, wydawało mi się, że na dnie nie ma absolutnie niczego.

– Tam, tam – Taki delikatnie wsuwał harpun w głąb wody, sygnalizując kierunek. – Nie widzisz? Gdzieś ty oczy podział? Tam, tam! Przecież prawie jej dotykam.

Wciąż jeszcze nic nie widziałem. Wsunął harpun jeszcze głębiej.

– Jeszcze nie widzisz, głuptasie? – chichotał. – Przecież mam ją tuż pod harpunem.

I nagle zobaczyłem. Patrzyłem na nią cały czas, ale była taka szara, piaskowa, że wziąłem ją za kawałek morskiego dna. Leżała na piasku w splocie ramion, a spod łysej kopulastej głowy spoglądały na nas z beznadziejnym wyrazem oczy, niesamowicie ludzkie.

– Duża – szepnął Taki.

Przesunął nieco harpun w rękę, ale ruch okazał się nieostrożny. Nagle ośmiornica z płowopiaskowej przybrała uderzającą barwę jaskrawo opalizującej zieleni. Strzyknęła strumieniem wody ze swego lejka i poderwała się jak odrzutowiec z morskiego dna w wirze piasku. Kiedy tak mknęła przez wodę, ciągnąc za sobą ramiona, wyglądała jak spuszczonej z uwięzi balon.

– Ach, *gammoto!* – zawołał Taki.

Rzucił harpun na dno łodzi i chwyciwszy wiosła ruszył za kilwaterem ośmiornicy. Ta jednak miała widać niezachwianą wiarę w swoją umiejętność maskowania, ponieważ przycupnęła ponownie na dnie morskim o jakieś trzydzieści pięć stóp dalej.

Taki podpłynął ku niej, zatrzymał łódź i znowu zanurzył ostrożnie harpun w wodę. Tym razem nie ryzykował i nie zrobił nieostrożnego ruchu. Kiedy zęby harpuna znajdowały się o stopę od łba skazanej na zagładę ośmiornicy, zacisnął mocniej uchwyt i pchnął. Srebrny piasek zagotował się natychmiast obłokiem, a ramiona ośmiornicy młóciły, uderzały i owijały się wokół harpuna. Z ciała stworzenia trysnęło czernidło i zawisło jak drżąca zasłona z czarnej koronki czy wijący się nad piaskiem dym. Taki chichocząc z zadowolenia szybkim ruchem wciągnął harpun.

Kiedy ośmiornica znalazła się w łodzi, sięgnęła do burty i przyssała się do niej dwoma przyssawkami ramion. Taki szarpnął mocno i ramiona oderwały się z szorstkim młaśnięciem, jakby ktoś zdzierał ze skóry przylepiec, tylko tysiąc razy głośniej. Szybkim ruchem chwycił oślizłe krągłe ciało i zręcznie zdjął je z zębów harpuna. Potem, ku mojemu zdumieniu, podniósł tę wijącą się głowę Meduzy i przysunął do twarzy, tak, że jej ramiona okręcały mu się wokół czoła, policzków i szyi, a przyssawki zostawiały białe ślady na jego ciemnej skórze. Wybrał uważnie właściwe miejsce i nagle zatopił zęby głęboko w ciele ośmiornicy, zacisnął i szarpnął w bok, tak jak to czyni terier, skręcając szczurowi kark. Widać przegryzł jakiś ważny ośrodek nerwowy, gdyż ramiona ośmiornicy natychmiast osunęły się bezwładnie z głowy Takiego i tylko ich koniuszki zwijały się lekko i podkurczały. Taki wrzucił ośmiornicę do puszki razem ze skorpeną, splunął przez burte, sięgnął ręką do wody i nabrawszy jej w dłoń, wypłukał usta.

– Przyniosłeś mi szczęście – uśmiechnął się do mnie, ocierając twarz. – Nieczęsto się zdarza, żebym złapał i ośmiornicę, i skorpenę.

Widać jednak owo szczęście wyczerpało się na ośmiornicy, chociaż bowiem okrążyliśmy rafy kilkakrotnie, nie złapaliśmy nic więcej. Widzieliśmy głowę mureny, wielkości łba średniego psa, wychylającą się z dziury w rafie – wyglądała bardzo złośliwie i niebezpiecznie. Kiedy jednak Taki zniżył harpun, węgorz gładko i z ogromną godnością wycofał się z płynnym wdziękiem w głąb rafy i nie zobaczyliśmy go więcej. Ja, ze swojej strony, byłem bardzo rad, jako że, wedle moich obliczeń, musiał mieć ze sześć stóp długości, a szamotanie się w ledwo oświetlonej łodzi z tak ogromnym węgorzem – nawet dla mnie, zapalonego przyrodnika, było mało nęcące.

– No cóż – wzruszył filozoficznie ramionami Taki. – Teraz zajmijmy się twoim połowem.

Wyłynęliśmy na największą rafę i Taki wysadził mnie z ekwipunkiem na jej płaskim grzbiecie. Uzbrojony w siatkę obchodziłem rafę skrajem, a Taki wiosłował o kilka stóp dalej oświetlając różaną urodę rafy. Tyle tu było stworzeń, że z rozpaczą stwierdziłem, iż wszystkich nie złapię.

Były więc kruche ślizgi zdobne złotem i szkarłatem, malutkie rybki wielkości połowy zapalki, o wielkich czarnych oczach i ciałach koloru skrzynek pocztowych i jeszcze inne, tej samej wielkości, ale barwy, która była połączeniem głębokiego błękitu pruskiego i bladej farbki. Były też krwiste rozgwiazdy i purpurowe węzowidła o długich, cienkich, kolczastych ramionach, ustawicznie zwijających się i rozwijających. Te trzeba było bardzo ostrożnie podnosić w siatce, za najmniejszym bowiem wstrząsem z wesołą rozrzutnością pozbywały się swoich ramion. Były też nakrytki, które, odwrócone do góry nogami, ukazywały zgrabne krezy z muszli, otulające je od spodu do połowy tak, że w całości stworzenie to wyglądało jak workowaty, rozdeptany filcowy kapeć na bardzo zartretyzmowaną nogę. Były i porcelanki, niektóre białe jak śnieg, inne bladokremowe, delikatnie ożebrowane, gęsto upstrzone purpurowo-czarnymi cętkami. Były też

chitony, niektóre długie na dwa i pół cala, które przywierały do szpar w skałach i wyglądały jak gigantycznych rozmiarów stonogi. Widziałem małą matkę wielkości pudełka od zapalek i niemal spadłem ze skraju rafy próbując ją schwytać, lecz ku mojej rozpaczy umknęła. Po półgodzinnym zaledwie łowach stwierdziłem, że wszystkie słoiki, puszki i pudełka mam zapchane po brzegi różnymi stworzeniami, i zrozumiałem, że, aczkolwiek niechętnie, muszę jednak zaprzestać dalszych łowów.

Taki podwiózł mnie pocziwie do mojej ulubionej zatoki, przyglądał się z rozbawieniem, jak ostrożnie opróżniam słoiki, wkładając okazy do skalnej sadzawki. Potem zawiózł mnie z powrotem na molo pod Menelaos. Tutaj przeciągnął sznurek przez skrzela martwej już teraz skorpeny i wręczył mi ją, mówiąc:

– Powiedz matce, żeby ją ugotowała z ostrą papryką, oliwą, kartoflami i dynią. Ryba jest bardzo słodka.

Podziękowałem mu za rybę i za to, że tyle mi okazał cierpliwości.

– Przyjdź jeszcze kiedyś na połów – zapraszał. – Będę tutaj w przyszłym tygodniu. Pewno we środę lub w czwartek. Jak przyjadę, dam ci znać.

Podziękowałem mu i powiedziałem, że bardzo będę go wyglądał. Odepchnął łódź i ruszył napych przez płytkie wody w kierunku Benitses.

Krzyknąłem za nim:

– Bądź szczęśliwy!

– *Pasta calo* – odkrzyknął. – Idź ku dobremu.

Odwróciłem się, zmęczony, i poczłapałem pod górę. Stwierdziłem z przerażeniem, że dochodzi wpół do trzeciej. Matka jest już przekonana, że albo utonałem, albo pożarł mnie rekin, albo przydarzyło mi się coś równie strasznego. Miałem jednak nadzieję, że skorpena ją ułagodzi.

Gaj mirtowy

Mniej więcej o pół mili na północ od naszego domu gaj oliwkowy zaczynał się przerzedzać i teren obniżał się w płytkie wgłębienie, gdzie na powierzchni pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu akrów nie rosły już oliwki. Ciągnął się tutaj wielki zielony gaj krzewów mirtowych i suchych, rosnących wśród kamieni traw zdobnych w dziwaczne kandelabry ostów jarzających się kolorem indygo i w ogromne puszyste cebule morskie. Był to jeden z moich najulubieńszych terenów łowieckich, żyły tu bowiem nieprzebrane ilości owadów. Siadywaliśmy z Rogerem w cieniu nabrzmiałym wonią mirtu i przyglądaliśmy się procesji mijających nas istot. W pewnych porach dnia na gałązkach panował taki ruch jak na głównej ulicy miasta.

Roiło się tam od modliszek, długich niekiedy na trzy cale, o jasnozielonych skrzydłach. Kołysały się na cienkich nogach w gęstwie mirtowej, złożywszy okrutnie kolczaste ramiona chwytne w pełnej hipokryzji postawie modlitewnej, a ich małe, szpiczaste główki o wylupiastych oczach koloru słomy obracały się ciągle, na wszystko zwracając uwagę, niby kościste, zgorzkniałe stare panny na koktajlu. Jeśli jakiś bielinek kapustnik czy perłowiec przysiadł na lśniących mirtowych liściach, modliszka zbliżała się doń z największą ostrożnością, niemal niezauważalnie, przystając co pewien czas, by zakołysać się chwilę na nogach, wmawiając w motyla, że w gruncie rzeczy to tylko poruszane wiatrem liście.

Widziałem kiedyś, jak modliszka podkradała się i wreszcie zaatakowała pazia królowej, który wygrzewał się zamyślony w słońcu, poruszając delikatnie skrzydłami. W ostatniej jednak chwili zrobiła fałszywy krok i zamiast złapać motyla, jak zamierzała, za odwłok, chwyciła go za skrzydło. Wyrwany zniemacka z zamyślenia, tak silnie zatrzepotał skrzydłami, że uniósł ją trochę z liścia. Jeszcze chwila tego trzepotu i ku wściekłości modliszki motyl odleciał nieco krzywym lotem, z wyrwanym sporym kawałkiem skrzydła. Modliszka usiadła z filozoficznym spokojem i pożarła wyszarpany kęs zdobyczy.

Pod niezliczonymi kamieniami leżącymi pośród ostów mieszkały zdumiewająco różnorodne istoty, choć ziemia była spieczona słońcem i tak gorąca, że dałoby się niemal usmażyć na niej jajko. Mieszkały tu stworzenia, na których widok cierpła mi skóra. Płaskie pareczniki, niektóre długości dwóch cali, z gęstymi frędzlami długich szpiczastych nóg wzdłuż każdego boku, tak płaskie, że potrafią się wcisnąć w najmniejszą szparkę, poruszały się z niebywałą prędkością, sprawiając wrażenie, że nie biegną, a ślizgają się po ziemi. Nazywały się *Scutigerae*, a nie umiałbym wymyślić nazwy równie odpowiedniej i lepiej się kojarzącej z wyjątkowo paskudnym sposobem poruszania się tego stworzenia po ziemi.

Gdzieniegdzie pośród kamieni znajdowały się otwory wywiercone w twardej ziemi, wielkości półkoronówki albo i nawet większe, podbite jedwabiem i otoczone trzycalową kryzą pajęczyny. Były to jamy tarantul, wielkich, tłustych pajaków czekoladowej barwy, w płowe

i cynamonowe cećki. Z rozprostowanymi nogami ledwo się mieściły na spodku do kawy, a korpusy miały jak połówka orzecha włoskiego. Odznaczały się ogromną siłą, były zręczne i okrutne w łowach, nadto okazywały szczególny rodzaj wrogiej inteligencji. Na ogół polowały nocą, czasami jednak można je było zobaczyć w dzień pośród ostów, kroczące szybko na swych długich nogach w poszukiwaniu zdobyczy. Zobaczywszy człowieka natychmiast zmykały i po chwili już ich nie było widać pośród mirtów, pewnego dnia jednak zobaczyłem tarantulę tak pochłoniętą tym, co robiła, że udało mi się podejść do niej blisko.

Znajdowała się o kilka stóp od swojej jamki, wspięta na wysokość połowy łądygi niebieskiego ostu. Machała przednimi nogami i rozglądała się wkoło – przypominała nieodparcie myśliwego, który wlaź na drzewo i wypatruje zwierzyny. Robiła to przez pięć minut, a ja, przykucnąwszy, czekałem, co będzie dalej. W pewnej chwili zlazła ostrożnie z łądygi ostu i zdecydowanym krokiem ruszyła przed siebie. Zdawać by się mogło, że coś dojrzała ze swego nadziemnego stanowiska, ale ja, rozglądając się wokół po ziemi, nie widziałem żadnego żyjątka, zresztą miałem wątpliwości, czy tarantula może mieć tak dobry wzrok. Ale pająk wciąż maszerował energicznie naprzód, aż dotarł do dużej kępy łąz Hioba, pięknej, drżącej trawy, której kwiatostan przypomina małe plecione chałeczki. Podeszedłszy bliżej, zrozumiałem nagle, do czego zmierza tarantula, bowiem pod delikatną fontanną białej trawy znajdowało się gniazdko skowronka. Leżały w nim cztery jajka. Z jednego z nich właśnie wykluwało się malutkie, różowe, puszyste pisklę, szamocząc się ze skorupką jajka.

Nim zdołałem coś zrobić, by je uratować, tarantula wlaźła już na brzeg gniazda. Majaczyła tam przez chwilę, potworna, przerażająca, a potem szybko przyciągnęła do siebie drżącego pisklaka i zatopiła mu w karku swe długie, zakrzywione szczękoczułki. Malec wydał dwa cichutkie, niemal niedosłyszalne piski i z szeroko otwartym dziobkiem miotał się we włochatych objęciach pająka. Potem jad zaczął działać, pisklę na jedną krótką chwilę zesztyniało, potem zwisło bezwładnie. Pająk czekał nieruchomy, aż jad zrobi swoje, potem zawrócił i pomaszerował niosąc w szczękach martwego ptaszka. Wyglądał jak osobliwy, długonogi wyżeł, który przynosi pierwszą w sezonie kuropatwę. Nie zatrzymując się ani razu doszedł z powrotem do swej jamki i zniknął w jej wnętrzu niosąc bezwładne, wzruszające ciało.

Ta scena zdumiała mnie z dwóch powodów: po pierwsze – nie przypuszczałem, że tarantula zdolna jest zaatakować coś aż tak dużego jak pisklę, po drugie – nie mogłem zrozumieć, skąd pająk wiedział, gdzie jest gniazdko, a musiał przecież wiedzieć, szedł bowiem do celu bez wahania, najkrótszą drogą. Odległość od ostu do gniazda wynosiła około trzydziestu pięciu stóp, jak to później zmierzyłem, a byłem pewny, że żaden pająk nie może mieć tak bystrego wzroku, by z podobnej odległości dojrzeć dobrze zamaskowane gniazdko i pisklę. Pozostawało tylko powonienie, a tu znowu – chociaż wiedziałem, że zwierzęta zdolne są wyczuć delikatne zapachy, niedostępne naszemu stepionemu wężowi – rozumiałem, że trzeba by nie było jakiego

nosa, by w bezwietrzny dzień zwęszyć na trzydzieści pięć stóp pisklę skowronka. Doszedłem więc do jedyne go rozwiązania, tego mianowicie, że podczas swoich wędrówek pająk odkrył gniazdko i systematycznie sprawdzał, czy młode już się wylęły. To wytłumaczenie wcale mnie nie zadowalało, zakładało bowiem proces myślenia u pająka, a byłem przekonany, że takie założenie jest błędne. Nawet Teodor, moja wyrocznia, nie potrafił znaleźć zadowalającego wytłumaczenia tej zagadki. Wiem tylko, że owa konkretna para skowronków nie wychowała tamtego roku ani jednego pisklęcia.

W gaju mirtowym fascynowały mnie jeszcze inne stworzenia – były to larwy mrówkolwa. Dorosły mrówkolew bywa różnych rozmiarów i wygląda na ogół dosyć bezbarwnie. Przypomina okropnie niechlujną głupawą ważkę. Ma skrzydła nieproporcjonalne w stosunku do tułowia i macha nimi rozpaczliwie, jakby musiał się zdobywać na najwyższy wysięk, by nie spaść i nie rozbić się o ziemię. Zresztą są to pocziwe, niezdarne zwierzaki i nikomu nie wyrządzają szkody, ale nie można tego samego powiedzieć o ich larwach. Czym drapieżna larwa ważki dla stawu, tym larwa mrówkolwa na suchych piaszczystych terenach pośród krzewów mirtowych. Jedy nym śladem pobytu tych larw były szeregi dziwnych lejkowatych zagłębień na sypkiej, miękkiej, łatwej do kopania ziemi. Kiedy pierwszy raz zauważyłem te wgłębienia, mocno się zastanawiałem, kto mógł je zrobić. Przypuszczałem, że to może myszy podkopywały się pod korzenie czy coś takiego, i nie zdawałem sobie sprawy, że na dnie każdego lejka siedzi jego budowniczy, przyczajony na piasku, sprężony, groźny jak potrzask. Potem zobaczyłem mechanizm tej konstrukcji i po raz pierwszy zdałem sobie sprawę, że to jest nie tylko mieszkanie larwy, ale również gigantyczna pułapka.

Na przykład idzie sobie mrówka (zawsze mi się wydawało, że mrówki nuca sobie pod nosem, kiedy się krzątają przy robocie) – może jedna z tych czarnych, małych, pracowitych mrówek, albo jedna z czerwonych, dużych, samotnych, co to objają się wszędzie z czerwonym odwłokiem wycelowanym w niebo jak działo przeciwlotnicze. Bez względu na to, do jakiego należy gatunku, znajduje się przypadkiem na skraju jednego z tych lejków i natychmiast stwierdza, że jest na pochyłym zboczu i że zaczyna się zsuwać w dół. Wobec tego zawraca i stara się wyleźć z lejka, ale ziemia czy piasek osuwają się małymi lawinami spod jej nóg. Pierwsza z lawin, która dotrze na dół, jest dla larwy sygnałem, że należy wkroczyć do akcji. Wędrowniczka zaczyna być nagle rażona, jak z karabinu maszynowego, piaskiem czy ziemią, którą larwa w niewiarygodnym tempie wyrzuca łbem z dna lejka. Mrówka, której grunt usuwa się spod nóg i która ponadto znajduje się pod ostrzałem ziemi czy piasku, traci równowagę i stacza sromotnie na dno lejka. Tam spod piasku wynurza się natychmiast głowa larwy – spłaszczony łeb o dwóch ogromnych zakrzywionych jak sierpy kleszczach. Te zaciskają się na ciele nieszczęsnej mrówki i larwa znowu znika pod piaskiem wciągając miotającą się,

szamoczącą ofiarę do grobu. Uważałem, że larwy mrówkolwa wykorzystują w nieuczciwy sposób głupkowate i śmiertelnie poważne mrówki, wykopywałem więc zawsze owe larwy bez najmniejszych skrępowań, zabierałem do domu i czekałem, aż się przepoczwarzą w małych klatkach z muślinu, a jeśli się wykluł jakiś nowy gatunek, zostawiałem go w mojej kolekcji.

Pewnego dnia rozpętała się fenomenalna burza – błyskawice na granatowoczarnym niebie tworzyły srebrne ozdoby. Potem przyszedł deszcz: wielkie, tłuste, ciężkie krople, ciepłe jak krew. Kiedy burza minęła, obmyte niebo spoglądało jasnym błękitem jak jajka płochacza. Wilgotna ziemia rozsyłała cudownie bogate, niemal gastronomiczne wonie keksu czy śliwek, a pnie oliwek parowały, gdy słońce wysuszało z nich wodę, i drzewa wyglądały, jakby się paliły. Lubiliśmy z Rogerem te wiosenne burze. Strasznie było przyjemnie taplać się po kałużach, czując jak ubranie coraz dokładniej przemaka w ciepłym deszczu. Na dodatek Roger miał jeszcze jedną rozrywkę – obszczekiwanie błyskawic. Kiedy deszcz ustał, poszliśmy przez gaj mirtowy, gdzie postanowiłem zajrzeć na wszelki wypadek, by stwierdzić, czy burza nie wywabiła czasem jakichś stworzeń, które normalnie kryłyby się przed upałem. I rzeczywiście, na gałęzi mirtu zobaczyliśmy dwa tłuste ślimaki barwy miodu i bursztynu, które sunęły gładko ku sobie prowokująco machając czułkami. Wiedziałem, że normalnie środek lata to dla ślimaka okres snu letniego. Powinien się przyczepić do właściwej gałęzi, zamknąć otwór muszli ścianką wapienną cienką jak papier i wycofać się głęboko w zwoje muszli, chroniąc wilgoć ciała przed zaciekłym żarem słońca. Widać fantastyczna burza obudziła te dwa ślimaki i nastroiła wesoło i romantycznie. Przyglądałem się, jak sunęły ku sobie, aż zetknęły się czułkami. Potem przerwały i długo, z powagą patrzyły sobie w oczy. Jeden z nich zmienił pozycję tak, aby móc się przysunąć do boku drugiego. Kiedy stanęły równolegle, nastąpiło coś, co kazało mi zwątpić w świadectwo własnego wzroku. Z boku jednego ślimaka – i jednocześnie z boku tego drugiego – wyskoczyło coś, co wyglądało jak malutka krucha biała strzała, każda na białym cienkim sznurku. Strzałka jednego ślimaka przeszła bok drugiego ślimaka i zniknęła, podczas gdy strzałka ślimaka drugiego zrobiła to samo na ślimaku pierwszym. Stały tak bok w bok połączone małymi białymi sznurkami i trwały jak dwa cudaczne żaglowce zespolone linami. Było to bardzo dziwne, ale miały nastąpić rzeczy jeszcze dziwniejsze. Otóż owe sznurki zaczęły się powoli skręcać i skracać, a tym samym przestrzeń między ślimakami zaczęła się coraz bardziej zmniejszać. Wpatrywałem się w nie z tak bliska, że niemal szturchałem je nosem i doszedłem do niewiarygodnego wniosku, że każdy ze ślimaków za pomocą jakiegoś mechanizmu w swoim ciele wchłania swój sznurek, przyciągając w ten sposób drugiego ślimaka, aż wreszcie ich ciała ścisnęły się mocno ze sobą. Wiedziałem, że muszą kopulować, ale ciała ich były tak ściśle złączone, że nie mogłem dojrzeć samego mechanizmu tego aktu. Przez jakieś piętnaście minut trwały tak w uniesieniu, jeden obok drugiego, a potem, bez skinienia głową, bez choćby „dziękuję”, ruszyły w przeciwnych kierunkach, przy czym na ciele obydwu nie było

najmniejszych śladów strzałek czy sznurków, nie okazywały też żadnego zadowolenia z tak udanego romansu.

Byłem ogromnie zaintrygowany zachowaniem pary ślimaków i wprost nie mogłem się doczekać najbliższego czwartku, kiedy Teodor miał przyjść na herbatę. Natychmiast opowiedziałem mu wszystko. Teodor słuchał, bujając się lekko na palcach i kiwając potakująco głową, gdy ja obrazowo opisywałem, czego byłem świadkiem.

– Widzisz – powiedział, kiedy skończyłem. – Byłeś... ehm... wiesz, miałeś ogromne szczęście, że to widziałeś. Ja podglądałem bardzo wiele ślimaków i nigdy mi się taka gratka nie trafiła.

Zapytałem, czy te małe strzałki i sznurki to dzieło mojej wyobraźni.

– Nic podobnego – odparł Teodor. – Tak właśnie wygląda rzeczywistość... Strzałki są zrobione z... ehm... substancji w rodzaju wapna, a kiedy przenikną do ciała ślimaka, to... ehm... wiesz, rozpuszczają się, znikają. Zdaje się, że istnieją pewne dowody na to, iż te strzałki wywołują wrażenie... łachotania i ślimakom to... ehm... widać sprawia przyjemność.

Zapytałem, czy słuszne jest moje przypuszczenie, że każdy ze ślimaków wciągał w siebie ten sznurek jak na kołowrocie.

– Tak, tak, to się zgadza – powiedział Teodor. – Najwidoczniej posiadają wewnątrz jakiś... ehm... mechanizm, który pozwala im wciągać z powrotem linę.

Powiedziałem, że to jest jedna z najdziwniejszych rzeczy, jakie w życiu widziałem.

– Tak, to prawda. Niezwykle ciekawe – przytaknął Teodor, a potem powiedział coś, co mi zatkało dech w piersiach. – Kiedy się ustawią bok w bok, wówczas... ehm... męska część ślimaka kopuluje z... ehm... żeńską częścią drugiego ślimaka i... ehm... jakby to powiedzieć... vice versa.

Dopiero po chwili zdołałem wchłonąć tę zdumiewającą informację.

– Czy mogę z tego wnosić – zapytałem ostrożnie – że każdy ślimak jest jednocześnie rodzaju męskiego i żeńskiego?

– Ehm... tak – odparł Teodor. – Hermafrodyty.

Oczy jego błysnęły ku mnie, kiedy pocierał kciukiem brodę. Lany, który zawsze robił minę męczennika podczas moich przyrodniczych dyskusji z Teodorem, był równie jak ja zdumiony ową niebywałą rewelacją na temat życia seksualnego ślimaków.

– Ty chyba żartujesz – zwrócił się do Teodora. – Chcesz powiedzieć, że każdy ślimak jest jednocześnie samcem i samicą?

– Owszem – przytaknął Teodor, po czym dorzucił skromnie: – Dziwne, prawda?

– Wielki Boże! – wybuchnął Larry – przecież to nieuczciwe! Takie obrzydliwe, oślizłe paskudztwa łązą po krzakach i uwodzą się jak szalone, mając na dodatek frajdę obu pici naraz. Czemu rasa ludzka nie została tak uprzywilejowana? Chciałbym bardzo wiedzieć.

– Widzisz, ale wtedy musiałbyś składać jaja – przypomniał mu Teodor.

– Prawda – przyznał Larry. – Ale jakaż by to była wspaniała wymówka towarzyska. „Przykro mi, nie mogę przyjść, bo muszę wysiadywać jajka”.

Teodor parsknął urywanym śmiechem.

– Ale ślimaki nie wysiadują swych jaj – wyjaśnił. – Zakopują je w wilgotnej ziemi i tak zostawiają.

– Wspaniała metoda wychowania dzieci – zauważyła nieoczekiwanie matka z głębokim przekonaniem. – Chciałabym móc was wszystkich zakopać w wilgotnej ziemi i zostawić.

– To bardzo przykre i niewdzięczne słowa – oburzył się Larry. – Na pewno wywołałaś u Gerry’ego kompleksy na resztę życia.

Ale jeśli ta rozmowa wywołała we mnie jakieś kompleksy, to w związku ze ślimakami, już bowiem planowałem wielkie łowy na ślimaki z Rogerem, po to, żeby kilkadziesiąt przynieść do domu, trzymać w puszkach i móc patrzeć do woli, jak strzelają do siebie miłosnymi strzałami. Choć jednak złapałem w ciągu następnych tygodni setki ślimaków, wsadziłem do puszek, obsypałem wszelkimi dobrodziejstwami i otoczyłem najczulszą troską (zrobiłem im nawet sztuczną burzę z pomocą konewki) – nie mogłem ich namówić na gody.

Po raz drugi widziałem ślimaki uprawiające tę dziwną grę miłosną, kiedy udało mi się zdobyć parę olbrzymich winniczków żyjących na kamienistych odkrywkach Góry Dziesięciu Świętych, a mogłem się tam dostać i zdobyć owe ślimaki tylko dlatego, że matka kupiła mi na urodziny to, czego moje serce pragnęło najbardziej: silne oślątko.

Odkąd przyjechaliśmy na Korfu, zdawałem sobie sprawę, jak wiele tu jest osłów – prawdę mówiąc cała gospodarka rolna wyspy opierała się głównie na nich – ale dopiero od ślubu Katarzyny zainteresowałem się nimi bliżej. Wiele oslic przyprowadziło ze sobą swoje małe, niektóre zaledwie kilkudniowe. Zachwyciły mnie ich bulwiaste kolana, wielkie uszy i chwiejny, niepewny krok i postanowiłem wówczas, że, niech się co chce dzieje, ja muszę mieć własnego osiołka.

Tłumaczyłem więc matce, podając jej szereg logicznych argumentów, że gdybym miał osła, który nosiłby mnie wraz z ekwipunkiem, wówczas mógłbym robić o wiele dalsze wyprawy. Czemu nie miałbym dostać osła na Boże Narodzenie, pytałem. Ponieważ, odpowiedziała matka, po pierwsze, osły są zbyt drogie, a po drugie, nie ma teraz żadnych oslich źrebiąt na sprzedaż. Ale jeśli osioł jest zbyt drogi – upierałem się – to czemu bym nie mógł dostać osła jako łączny prezent: gwiazdkowy i urodzinowy. Matka odparła, że pomyśli o tym, co, jak wiedziałem z gorzkich doświadczeń, znaczyło na ogół, że puści całą sprawę w niepamięć najszybciej, jak się tylko da. Kiedy zbliżały się moje urodziny, zacząłem znowu powtarzać w kółko wszystkie argumenty za nabyciem osiołka. Matka znowu odpowiedziała, że o tym pomyśli.

Pewnego dnia Costas, brat naszej służącej, pojawił się w gaju oliwnym tuż za naszym ogródkiem niosąc na ramieniu ogromną wiązkę długich trzciniowych prętów. Weszło

pogwizdując zaczął wykopywać dziury w ziemi i osadzać w nich sztywne trzciny, tak że utworzyły niewielki kwadrat. Zaglądałem do niego przez żywopłot z fukcji zastanawiając się, cóż on u licha robi, aż wreszcie gwizdnąłem na Rogera i poszedłem naokoło do Costasa.

– Buduję – oświadczył – domek dla twojej matki. Zdumiałem się. Po cóż mojej matce domek z trzciny? Czyżby postanowiła sypiać na dworze? Nie wydawało mi się to prawdopodobne.

– Po co – spytałem Costasa – potrzebny mamie trcinowy domek?

Spojrzał na mnie z ukosa.

– A kto tam wie? – wzruszył ramionami. – Może chce tutaj trzymać jakieś rośliny albo bataty na zimę?

Pomyślałem, że to również jest mało prawdopodobne, ale po półgodzinnym przyglądaniu się Costasowi znudziłem się i poszedłem z Rogerem na spacer.

Następnego dnia szkielec domku został ukończony, a Costas przeplatał go teraz wiązkami trzciny wypełniając ściany i dach. W dwa dni później domek był gotów, a wyglądał dokładnie tak, jak jedno z najwcześniejszych dzieł Robinsona Kruzoego w zakresie budownictwa. Matka, na moje pytanie, po co jej ten domek, odpowiedziała, że jeszcze nie wie, ale jest pewna, że się przyda. Musiałem się zadowolić tą mglistą odpowiedzią.

W przeddzień moich urodzin wszyscy domownicy zaczęli się zachowywać bardziej niż zwykle ekscentrycznie. Larry z przyczyn jemu tylko wiadomych chodził po domu pokrzykując: „Prrrr” i „wio!”. Ponieważ często padało mu na mózg, nie zwracałem na jego zachowanie szczególnej uwagi.

Margo przemykała się po domu przenosząc ukradkiem tajemnicze jakieś pakunki; raz natknąłem się na nią twarzą w twarz w hallu i stwierdziłem ze zdumieniem, że niesie naręcze kolorowych ozdóbek pozostałych z ostatnich świąt Bożego Narodzenia. Na mój widok wydała przerażony wrzask i rzuciła się do swego pokoju z miną tak zawstydzoną i speszoną, że stałem i gapiłem się na nią z otwartymi ustami.

Nawet Leslie i Spiro tknięci byli tą samą chorobą i ciągle coś tam szeptali sekretnie w ogrodzie. Z urywków rozmów, które mnie doleciały, nie mogłem się ani rusz zorientować, o co im chodzi.

– Na tyłku, na tyłku, uczciwie jak Pan Bóg na niebie – grzmiał Spiro. – Jak Pan Bóg na niebie, paniczu, robiłem to sam.

– No, jeśli jesteś tego pewny, Spiro – w głosie Leslie brzmiały wątpliwości – to dobrze, ale żebyśmy nie mieli połamanych nóg.

W tym momencie Leslie zobaczył, że jawnie podsłuchuję, i spytał wojowniczo, co tu, u diabła, robię, jak śmiem podsłuchiwać czyjeś prywatne rozmowy. Może bym tak poleciał na najbliższą skałę i skoczył na łeb? Odniosłem wrażenie, że rodzina nie jest do mnie życzliwie

usposobiona, zabrałem więc Rogera i poszliśmy do gaju oliwnego, gdzie do samego wieczora bezskutecznie próbowaliśmy schwytać zielone jaszczurki.

Tego wieczora, ledwie zgasilem lampę i wsunąłem się do łóżka, usłyszałem dochodzący z oliwnego gaju ochryply śpiew przy akompaniamencie szalonych wybuchów śmiechu. Kiedy głosy się zbliżyły, poznałem Lesliego i Larry'ego, jak również Spiro – każdy z nich śpiewał zupełnie inną piosenkę. Chyba musieli gdzieś się zabawić i zbyt tego popijać. Z oburzonych szeptów i szurań na korytarzu wnosiłem, że Margo i matka doszły do tego samego wniosku.

Tamci wpadli do domu śmiejąc się wprost histerycznie z jakiegoś dowcipu produkcji Larry'ego i zostali ostro uciszeni przez matkę i Margo.

– Proszę być cicho! – wołała matka. – Gerry się obudzi! Coście pili?

– Wino – odparł Larry z godnością. Potem czknał.

– Wino – powtórzył Leslie. – A potem tańczyliśmy i Spiro tańczył, i ja tańczyłem, i Lany tańczył. I Spiro tańczył, a potem Larry tańczył, a potem ja tańczyłem.

– Sądzę, że lepiej będzie, jak się natychmiast położysz – ucięła matka.

– A potem Spiro znowu tańczył – nie dawał za wygraną Leslie – i Larry tańczył...

– Dobrze, już dobrze, synku. Idź, na litość boską, do łóżka. Doprawdy, Spiro, nie powinienes być pozwalać im tyle pić.

– I Spiro tańczył – Leslie chciał, żeby matka dobrze zrozumiała.

– Zaprowadzę go do łóżka – oświadczył Larry. – Ja jeden jestem trzeźwy w tym towarzystwie.

Rozległ się odgłos chwiejnych kroków na kaflach, kiedy Larry i Leslie mocno objęci ruszyli zakosami przez korytarz.

– Teraz tańczę z tobą – doszedł nas głos Lesliego, kiedy Larry wciągał go do sypialni i pakował do łóżka.

– Bardzo mi przykro, pani Durrell – głos Spiro był nabrzmiały winem – ale nie dało rady im nie dać.

– Dostaliście? – zapytała Margo.

– Tak, panienko. Wszystko dobrze – mówił Spiro. – Jest u Costasa.

Po chwili Spiro wyszedł i usłyszałem jak matka i Margo układają się do snu. To tajemnicze zakończenie dnia ogromnie pasowało do jego niepojętej całości. Wkrótce jednak zapomniałem o zachowaniu mojej rodziny, leżałem tylko w ciemnościach i dumałem, jakie też będą te jutrzejsze prezenty, aż wreszcie zapadłem w sen.

Następnego ranka obudziłem się i leżałem chwilę zastanawiając się, co jest w tym dniu takiego szczególnego... Potem mi się nagle przypomniało. Moje urodziny! Leżałem, rozkoszując się poczuciem, że mam przed sobą długi dzień, kiedy to wszyscy będą znosić prezenty, a cała rodzina będzie musiała spełniać wszelkie moje żądania mieszczące się w granicach rozsądku.

Właśnie zamierzałem wyleźć z łóżka, żeby zobaczyć, jakie też dostanę prezenty, kiedy usłyszałem w hallu dziwny hałas.

- Trzymaj za łeb! Trzymaj za łeb! – doszedł mnie głos Lesliego.
- Uważaj, niszczysz moje ozdoby! – rozpaczła Margo.
- Diabli wzięli twoje ozdoby! – krzyczał Leslie. – Trzymaj za łeb.
- Dzieci, dzieci – mitygowała ich matka. – Nie kłóćcie się.
- Boże wielki! – mówił z obrzydzeniem Lany. – Cały dom zagnojony!

Tej tajemniczej konwersacji towarzyszył dziwny stukot, jakby ktoś odbijał piłeczkę pingpongową o kafle podłogi w hallu. Cóż u licha, zastanawiałem się, wymyśliła znowu moja rodzina? Normalnie o tej porze leżą w półśnie szukając nieprzytomnym wzrokiem rannej filiżanki herbaty. Usiadłem na łóżku gotów biec do nich i dołączyć się do zabawy, kiedy drzwi rozwarły się gwałtownie i do mojego pokoju wpadł galopem osiołek strojny w festony z kolorowych bibulek – pozostałości gwiazdkowych – z trzema ogromnymi piórami wetkniętymi zręcznie między wielkie uszy, a u jego ogona wisiał uczepiony Leslie, wrzeszcząc:

- Wio, sukinsynu!
- Synku, synku, co to za słownik – napominała go matka, stając, podniecona, w progu.
- Niszczysz ozdoby! – wrzeszczała Margo.
- Im szybciej to bydlę stąd wyjdzie, tym lepiej – wołał Lany. – Cały hall zagnojony!
- Przestraszyłeś go – mówiła Margo.

– Nic nie zrobiłem – oburzył się Lany. – Pchnąłem go trochę. Osiołek zahamował nagle przy moim łóżku i spojrzał na mnie olbrzymimi brązowymi oczami. Wydawał się nieco zdumiony. Otrząsnął się tak silnie, że wypadły mu zatknięte między uszami pióra, a potem niezwykle zręcznie rąbnął Lesliego w goleń tylnym kopytkiem.

- O Boże! – wył Leslie podskakując na jednej nodze. – Złamał mi, cholera, nogę!
- Leslie, doprawdy, nie widzę powodu do używania takich słów – obruszyła się matka. –

W dodatku w obecności Gerry'ego!

– Im szybciej wyprowadzicie stąd to zwierzę, tym lepiej – mówił Larry – inaczej cały dom będzie cuchnął jak ryszotok.

- Zniszczyłeś mi ozdoby – żaliła się Margo – a tyle czasu poświęciłam, żeby go ubrać.

Ale ja już nie zwracałem uwagi na rodzinę. Osiołek podszedł do skraju mojego łóżka, przez chwilę wpatrywał się we mnie pytająco, a potem wydał cichy gardłowy chichot i wsunął mi w wyciągnięte dłonie szary pysk miększy od wszystkiego, co tylko mogłem sobie wyobrazić: kokonów jedwabników, nowo narodzonych szczeniąt, kamyczków morskich czy aksamitnej skóry rzekotki. Leslie zdjął spodnie i klnąc siarczyście oglądał siniaka na goleniu.

- Podoba ci się, synku? – spytała matka.

Czy mi się podoba! Nie mogłem wykrztusić słowa.

Osiółek był ciemnobraunatny, niemal śliwkowy, z ogromnymi uszami jak kwiaty kalii; miał białe skarpetki nad malutkimi polerowanymi kopytkami zgrabnymi jak buty stepującego tancerza. Wzdłuż grzbietu biegł mu szeroki czarny krzyż, który dumnie świadczy, że zwierzę tej rasy niosło Chrystusa do Jerozolimy (i od tego czasu stało się jednym z najbardziej oczernianych stworzeń domowych), a każde z wielkich błyszczących oczu otoczone było regularnym białym kręgiem, na dowód, że osiołek jest rodem ze wsi Gastouri.

– Pamiętasz oślicę Katarzyny, tę, która ci się tak bardzo podobała? – spytała Margo. – To jest jej córeczka.

Ta wiadomość sprawiła, że osiołek wydał mi się jeszcze cenniejszy. Stał jakby uciekł z cyrku, i żuł systematycznie kawałek gwiazdkowych ozdób, kiedy ja wyskoczywszy z łóżka z błędnym wzrokiem narzucałem ubranie. Gdzie, pytałem nieprzytomnie matkę, będę mógł ją trzymać? Oczywiście, nie mogę jej trzymać w domu wobec faktu, który Lany tak mocno podkreślał, tłumacząc matce, że gdyby chciała, mogłaby już wyhodować w hallu dobre zbiory kartofli.

– Właśnie dla niej jest ten domek, który zbudował Costas – wyjaśniła matka.

Nie posiadałem się z zachwytu. Cóż to za szlachetna, zacna, wielkoduszna rodzina! Jak zręcznie utrzymywali wszystko przede mną w tajemnicy! Jak ciężko się napracowali, by przystroić osiołka w te ozdoby. Powoli i delikatnie, jakby był z kruchej porcelany, wyprowadziłem mego rumaka przez ogród do gaju oliwnego, otworzyłem drzwi trzcinowej chatki i wprowadziłem zwierzę do środka. Chciałem wypróbować chatkę, bo Costas słynął ze złej roboty. Ale była cudowna. Akurat dla mojej oślicy. Wyprowadziłem ją znowu i przywiązałem do oliwki na długim sznurze, a potem trwałem pół godziny jak w transie podziwiając ją z każdej strony, gdy spokojnie pasła się na trawie. Wreszcie posłyszałem, jak matka woła mnie na śniadanie i westchnąłem z satysfakcją. Bez cienia wątpliwości, wyzbyty wszelkich stronniczych uczuć, doszedłem do wniosku, iż jest to najpiękniejszy osiołek na całej wyspie Korfu. Postanowiłem, że będzie się nazywać Sally, ot, tak sobie. Pocałowałem ją szybko w jedwabisty pyszczek i pobiegłem na śniadanie.

Po śniadaniu Larry, ku mojemu zdumieniu, zaofiarował się wspaniałomyślnie, że jeśli chcę, nauczy mnie jeździć. Powiedziałem że nic mi nie wiadomo, iż on sam opanował tę sztukę.

– Jasne, że tak – oświadczył nonszalancko Lany. – Kiedy byliśmy w Indiach, zawsze galopowałem sobie na tym lub owym. Czyściłem konie, szczotkowałem karmiłem i w ogóle. Trzeba mieć pojęcie o tym, co się robi.

Tak więc uzbrojeni w koc i kawał taśmy poszliśmy do gaju oliwnego, zarzuciliśmy kocyk na grzbiet Sally i przymocowaliśmy odpowiednio. Przyglądała się tym przygotowaniom z zainteresowaniem, ale bez entuzjazmu. Z pewnymi trudnościami – Sally bowiem uparła się, żeby chodzić w kółko na malutkiej przestrzeni – udało się Larry’emu wsadzić mnie na jej

grzbiet. Potem założył jej kantar oraz sznurkowe wodze.

– A teraz – powiedział – steruj nią jak łódką. Jak będziesz chciał, żeby szła szybciej, trzepnij ją obcasami w żebra.

Jeśli na tym polega sztuka jeździecka, pomyślałem, jest to najłatwiejsza rzecz na świecie. Szarpnąłem wodzami i wbiłem obcasy w żebra Sally. Pech chciał, że na drodze mojego upadku stanął wielki, wyjątkowo bujny krzak jeżyn. Kiedy się z niego wygrzebywałem, Sally przyglądała mi się z wyrazem zdumienia.

– Może – zamyślił się Lany – powinienes mieć kij, wtedy mógłbyś się jej trzymać nogami, żeby nie spaść.

Wyciął mi krótki kijek i ponownie wsadził na Sally. Tym razem mocno objąłem nogami jej beczkowaty brzusek i stuknąłem ją z całej siły kijkiem. Bryknęła kilka razy z oburzeniem, ale trzymałem się jej jak rzep i ku mojej radości po pół godzinie kłusowała posłuszenie między oliwkami, reagując właściwie na pociągnięcia wodzy. Lany leżał pod oliwką, palił papierosa i przyglądał się moim postępom. Kiedy mogło się zdawać, że opanowałem już sztukę jeździecką, podniósł się i wyjął scyzoryk z kieszeni.

– A teraz – oświadczył, kiedy zsiadłem z Sally – pokażę ci, jak trzeba ją pielęgnować. Przede wszystkim musisz ją codziennie szczotkować. Kupimy ci szczotkę w mieście. Poza tym, musisz zawsze sprawdzić, czy ma czyste kopytka. To trzeba robić co dzień.

Zapytałem, zaciekawiony, jak się czyści osłowi kopyta.

– Pokażę ci – oświadczył nonszalancko Lany.

Podszedł do Sally, pochylił się i podniósł jej zadnią nogę.

– O, tu, wewnątrz – mówił wskazując ostrzem scyzoryka wgłębiony spód kopytka – zbiera się masa gnoju. To może doprowadzić osła do najrozmaitszych chorób, kopyto gnije i w ogóle. Bardzo jest ważne, żeby je utrzymywać w czystości.

Mówiąc to wbił ostrze scyzoryka w kopyto Sally. Nie zdawał sobie jednak sprawy z tego, że osły na Korfu nie są kute, a kopytka oślego źrebięcia jest w dodatku miękkie i delikatne. Sally zareagowała więc tak, jakby Lany dźgnął ją rozżarzoną pogrzebaczem. Wyrwała mu kopyto z dłoni i, kiedy zdumiony wyprostował się i obrócił, wykonała śliczny piruet i kopnęła go zręcznie obiema zadnimi nogami w podbrzusze. Lany usiadł ciężko, twarz mu zbladła, złożył się jak scyzoryk i wydawał dziwne gulgotliwe dźwięki. Przestraszyłem się okropnie, ale nie o niego, tylko o Sally, byłem bowiem pewny, że jak tylko dojdzie do siebie, ukarze ją w jakiś okropny sposób. Szybko odwiązałem sznurek Sally, trzepnąłem ją kijem po zadzie i spoglądałem, jak kłusuje między oliwkami. Potem poleciałem do domu i zawiadomiłem matkę, że Larry miał wypadek. Cała rodzina łącznie ze Spiro, który właśnie się pojawił, pognęła do gaju oliwnego, gdzie Larry wciąż się skręcał wydając głośne charczące-jęczące dźwięki.

– Larry, kochanie – mówiła przejęta matka – coś ty takiego zrobił?

– Zaatakowano mnie – tłumaczył Larry pomiędzy jednym a drugim charknięciem – bez powodu... oszalały osioł... pewno wściekły... mam pęknięty wyrostek...

Leslie ujął go pod jedno ramię, Spiro pod drugie i tak przetaszczyli go powoli do domu, a matka i Margo biegały nerwowo wokół nich, z bezradnym współczuciem. Kiedy moja rodzina przeżywała tak ciężki kryzys, należało zachować całą przytomność umysłu, inaczej wszystko by przepadło. Pobiegłem szybko naokoło domu do drzwi kuchennych, gdzie, zadyszany, ale z niewinną miną zawiadomiłem naszą służącą, że mam zamiar spędzić cały dzień na dworze, więc czy mogłaby dać mi coś do jedzenia. Włożyła do papierowej torby pół bochenka chleba, trochę cebuli, oliwek i kawałek zimnego mięsa. Wiedziałem, że moi przyjaciele na wsi dadzą mi owoce. Wziąłem prowiant i pobiegłem do gaju oliwnego szukać Sally.

Znalazłem ją wreszcie o pół mili dalej, pasącą się na skrawku soczystej trawy. Po kilku próbach udało mi się wreszcie wdrapać na jej grzbiet, a potem, okładając ośliczkę kijem po zadzie, zmusiłem ją, by szybko pokłusowała najdalej jak tylko się dało od naszej willi.

Musiałem wrócić na herbatę, ponieważ miał przyjść Teodor. Po powrocie znalazłem Larry'ego okutanego w koce. Leżał na kanapce i obrazowo opisywał Teodorowi cały wypadek.

– I naraz, bez najmniejszego powodu, odwróciła się do mnie, ślina ciekła jej z pyska, powiadam ci, szarża Lekkiej Brygady – przerwał, by rzucić mi straszne spojrzenie, bo właśnie w tej chwili wszedłem do pokoju. – Ach, więc jednak zdecydowałeś się na powrót. I cóż, jeśli wolno spytać, zrobiłeś z tym czworonożnym potworem?

Odpowiedziałem, że Sally cała i zdrowa poszła spać do stajni i, na szczęście, nie wykazuje żadnych objawów choroby po owym wypadku. Lany przeszył mnie wzrokiem.

– Słyszę to z prawdziwą radością – oznajmił sardonicznie. – Fakt, że ja tu leżę z rozwaloną w trzech miejscach śledzioną, nie ma oczywiście żadnego znaczenia.

– Przyniosłem ci... ehm... wiesz... taki mały... ehm... prezent – powiedział Teodor i wręczył mi kasetę kolekcjonerską na owady, taką samą, jak jego własna, z próbkami i piękną muślinową siatką. Nie mogłbym wymarzyć czegoś piękniejszego, więc dziękowałem mu bez końca.

– Powinieneś chyba również pójść i podziękować Katarzynie, synku – powiedziała matka. – Ona nie bardzo chciała się pozbyć Sally.

– Słyszę to ze zdumieniem – oznajmił Lany. – Powinna chyba Panu Bogu dziękować, że się pozbyła tego bydłęcia.

– Lepiej nie chodź teraz dziękować Katarzynie – wtrąciła Margo. – Jej czas się zbliża.

Zaintrygowany tym niezwykłym określeniem spytałem, co to znaczy, że się czyjś czas zbliża.

– Będzie miała dziecko, synku – wyjaśniła matka.

– Dziw – wtrącił Larry – że nie urodziła na weselu.

– Larry, kochanie – napominała go matka. – Nie przy Gerry’ m.

– Mówię szczerą prawdę – upierał się Lany. – W życiu nie widziałem bardziej ciężarnej panny młodej w welonie.

Powiedziałem, że chyba lepiej zrobię, jak pójdę podziękować Katarzynie, zanim jeszcze urodzi dziecko, bo potem będzie bardzo zajęta. Matka zgodziła się, acz niechętnie, i następnego ranka dosiadłem Sally i ruszyłem przez gaj oliwny w kierunku Gastouri. Roger biegł za nami i dawał upust radości w zabawie, którą wymyślili sobie z Sally, mianowicie rzucał się co pewien czas i delikatnie szczypał ją w pięty, warcząc przy tym zajadle, na co Sally odpowiadała płochliwymi wierzgnięciami i próbowała kopnąć go w zębra.

Wreszcie znaleźliśmy się przed niskim białym domkiem, gdzie na płaskim skrawku ziemi przed drzwiami stały w krąg zardzewiałe puszeki pełne kwiatów. Ku wielkiemu memu zdziwieniu stwierdziłem, że nie jestem tu dzisiaj jedynym gościem. Przy małym stoliku siedziało kilku starszych jegomościów, pochylonych nad szklaneczkami wina, ruszając w rozmowie ogromnymi, poplamionymi nikotyną wąsikami. Kuzynki i krewne Katarzyny stały tłumem w progu domu lub zaglądały chciwie przez jedyne okienko, przez które do wnętrza dostawało się światło – i klinowały oba otwory. Wszystkie gadały gestykułując energicznie.

Z wnętrza domu dochodziły wciąż przeszywające okrzyki, przeplatane wołaniem o pomoc do Wszehmocnego, do Najświętszej Pani i Świętego Spirydiona. Z tego wrzasku i zamieszania wywnioskowałem, że przyszedłem akurat w środku awantury rodzinnej. Takie familijne właśnie zdarzały się często wśród wieśniaków, a ja je ogromnie lubiłem, bowiem każda kłótnia, choćby najpospolitsza, prowadzona była z ponurą zawziętością, póki nie wyciśnięto z niej wszystkich dramatycznych możliwości; obrzucano się nawzajem obelgami w gajach oliwnych, a mężczyźni niekiedy nawet gonili się z kijami. Przywiązałem Sally i skierowałem się ku frontowym drzwiom zaciekawiony, o co też może być awantura. Ostatnia, jaką pamiętałem w tych okolicach, trwała kolosalnie długo (trzy tygodnie), a zapoczątkował ją pewien mały chłopiec, który powiedział swemu kuzynowi, że jego dziadek oszukuje w kartach. Przepchnąłem się i przewierciłem energicznie przez korek ludzi blokujących wejście i wreszcie dostałem się do środka, gdzie stwierdziłem ze zdumieniem, że cały pokój zapchany jest krewnymi Katarzyny ściśniętymi jak śledzie w beczce czy publiczność na meczu futbolowym. Dość wcześnie w życiu odkryłem, że w podobnej sytuacji najlepiej opuścić się na czworaki i pełzać. Zrobiłem to teraz, i w ten sposób udało mi się przebić do pierwszego szeregu krewnych otaczających wielkie małżeńskie łoże.

Tutaj dopiero mogłem stwierdzić, że to, co się dzieje, jest o wiele bardziej interesujące niż awantura rodzinna. Katarzyna leżała na łóżku; miała sukienkę z taniego perkaliku podciągniętą pod brodę nad wielkimi, nabrzmiałymi piersiami. Dłonie zacisnęła mocno na poręczy wielkiego mosiężnego łóżka, wielki pękaty brzuch trząsł się i napinał, jakby prowadził jakieś samodzielne

życie, ona zaś co chwila podciągała nogi i wrzeszczała, przewracając głowę z boku na bok, a pot oblewał jej skronie. Tuż obok, przy łóżku, siedziała osoba kierująca widać całą akcją – mała, brudna, zasuszona wiedźma, która w jednym ręku trzymała wiadro wody źródlanej. Co pewien czas moczyła w niej kłęb brudnych szmat i ocierała twarz i uda Katarzyny. Przy łóżku na stoliku stał dzbanek wina i szklanka, a stara za każdym razem, gdy skończyła owe ablucje, wlewała kropelkę wina do szklanki i wmuszała w Katarzynę. Potem napełniała szklankę i wysuszała ją sama, zapewne bowiem w roli akuszerki musiała dbać zarówno o swoje siły, jak położnicy.

Gorąco pogratulowałem sobie w duchu, że nie zwlekałem po drodze i nie dałem się znieść różnym ciekawym rzeczom. Gdybym na przykład zatrzymał się i sięgnął do tego, co wydawało mi się niemal na pewno gniazdem sroki, spóźniłbym się i stracił to niezwykle pasjonujące widowisko. Dziwne, ale byłem tak przyzwyczajony do ostrych chłopskich krzyków oburzenia z najbardziej błażej przyczyny, że właściwie nie kojarzyłem cienkich wrzasków Katarzyny z bólem. Twarz miała bladą, wymiętą i starą, ale ja automatycznie przypisałem dziewięćdziesiąt procent tych okrzyków – przesadzie. Od czasu do czasu, gdy wydała głośniejszy krzyk i błagała świętego Spirydiona o pomoc, wszyscy krewni wrzeszczeli ze współczuciem i również błagali świętego o interwencję. Trudno sobie wyobrazić tę kakofonię; trzeba to słyszeć, by uwierzyć, że coś podobnego jest możliwe.

Nagle Katarzyna jeszcze mocniej zacisnęła ręce na mosiężnej poręczy, a mięśnie jej brązowych ramion naprężyły się z całej siły. Skręciła się, podciągnęła i rozłożyła szeroko nogi.

– Idzie! Idzie! Chwała świętemu Spirydionowi! – zakrzyknęli chórem krewni, a wówczas zauważyłem, że spośród splątanej, zbitej gęstwy włosów łonowych Katarzyny wynurza się jakiś krągły biały przedmiot, niby czubek jajka. Nastąpiła chwila przerwy, Katarzyna naprężyła się znowu i z jękiem złapała oddech. Potem w zachwyconym oczarowaniu zobaczyłem, jak nagle wyskakuje z Katarzyny główka dziecka, niby królik z kapelusza, a dalej różowe, ruszające się, kurczliwe ciało. Twarz i członki miało pomarszczone i różowe jak płatki róży. Ale najbardziej zaintrygowała mnie mikroskopijność noworodka i to, że jest tak doskonale uformowany. Położna przydreptała do Katarzyny i pokrzykując modlitwy i wskazówki chwyciła noworodka pomiędzy jej okrwawionych ud. W tym momencie, ku mojej okropnej irytacji, krąg krewnych przesunął się ku łóżu rodzącej, by jak najszybciej sprawdzić płęć noworodka, straciłem więc następną część przedstawienia, przede mną bowiem widniały jedynie dwa wielkie i nabite zady dwóch potężnych ciotek położnicy.

Nim zdążyłem przedrzeć się ponownie między ich nogami i fałdzistymi spódnicami do pierwszego rzędu, położna – ku powszechnemu zachwytowi, który natychmiast wyraził się w okrzykach – oznajmiła, że noworodek to chłopak, i odcięła pępowinę ogromnym i bardzo starym scyzorykiem, wyjętym z kieszeni spódnicy. Jedna z ciotek wypłynęła do przodu i razem z położną podwiązała pępowinę. Potem ciotka ujęła tę wrzeszczącą i skręcającą się różową

kroplę życia, a położna zanurzyła w wiadrze kłęb szmat i zaczęła obmywać noworodka. Następnie napełniła winem szklanekę, dała parę łyków Katarzynie, potem nabrała płynu w usta i przez bezzębne dziąsła zaczęła skrapiać winem główkę dziecka kreśląc przy tym nad malutkim ciałkiem znaki krzyża. Wreszcie przytuliła noworodka do łona i odwróciła się gwałtownie w stronę tłumu krewniaków:

– Chodźcie, chodźcie! – krzyczała piskliwie. – Dokonało się. Przybył. Idźcie, idźcie!

Ze śmiechem, gadając w podnieceni, krewni wypłynęli z malutkiego domku i natychmiast zaczęli pić wino i gratulować sobie nawzajem, jakby szczęśliwe przyjście dziecka na świat było ich osobistą zasługą. W małym, dusznym pokoiku, przesyconym mocnym zapachem czosnku i potu, leżała na łóżku wyczerpana Katarzyna i robiła słabowite wysiłki, by spuścić sukienkę i zasłonić swą nagość. Podeszedłem do łóżka i spojrzałem na nią.

– Yasu, mój ty Gerry – powitała mnie bladą karykaturą swe go zwykłego promiennego uśmiechu. Wydawała się niewiarygodnie stara w tym łóżku. Pograttulowałem jej elegancko syna, a potem podziękowałem za osiołka. Uśmiechnęła się ponownie.

– Idź na dwór – powiedziała. – Tam ci dadzą wina. Wyszedłem z malutkiej izby i pospieszyłem za położną, ogromnie ciekaw, jaki będzie następny etap jej pielęgnarskich poczynań. W izbie na tyłach domu rozłożyła na małym stole kawałek białego lnianego płótna i złożyła na nim dziecko. Potem wzięła przygotowane uprzednio płótno, zwinięte jak wielki szeroki bandaż, i z pomocą jednej czerstwiejszej i bardziej trzeźwej ciotki zaczęła bandażować malutkie ciało dziecka, przerywając często, by się upewnić, że rączki są dobrze przybandażowane do boków, a nóżki zupełnie wyprostowane. Powoli i metodycznie zabandażowała noworodka sztywno jak gwardzistę. Leżał tak i tylko głowa wystawała mu z tego kokona. Bardzo mnie to zaintrygowało, zapytałem więc położną, czemu zabandażowała dziecko.

– Dlaczego? Dlaczego? – Siwe rzęsy trzepotały nad zamglonymi kataraktą oczyma, którymi wpatrywała się we mnie srogo. – Dlatego, że jeśli nie zbandażujesz dziecka, to będzie miało krzywe ręce i nogi. Kości ma kruche jak skorupka jajka. Jak się go nie zbandażuje, ręce i nogi wyrosną mu krzywe, albo kości mu się połamią, kiedy będzie kopał nóżkami czy machał rączkami – przecie to kruche jak węgle drzewne.

Wiedziałem, że w Anglii nie bandażuje się niemowląt, i zastanawiałem się, czy to dlatego, że my, Anglicy, mamy twardsze kości. Bo przecież inaczej, myślałem, na Wyspach Brytyjskich byłoby masę kalek. Zanotowałem sobie w pamięci, że przy najbliższej okazji mam omówić z Teodorem ten medyczny problem.

Wychyliłem na cześć noworodka kilka szklaneczek wina i zjadłem ogromną kiść winogron, a potem wdrapałem się na grzbiet Sally i ruszyłem powoli do domu. Doszedłem do wniosku, że za nic w świecie nie zamieniłbym tego ranka na coś innego. Ale kiedy rozpamiętywałem minione wydarzenia jadąc wolnym kłusem przez cętkowany cień gaju oliwnego, najbardziej

mnie zdumiewał fakt, że coś tak pięknego i doskonałego mogło dojrzeć i wydobyć się z wnętrza czegoś, co dla mnie było starą kobietą. To tak, myślałem sobie, jakby się otworzyło starą, brązową, kolczastą skorupę kasztana i znalazło wewnątrz piękne, lśniące trofeum.

Część trzecia

Kontokali

Gościnność jest i dzisiaj, podobnie jak w czasach antycznych świętym obowiązkiem na tych wyspach, i to obowiązkiem najsumienniejszym wypełnianym.

PROF. ANSTEAD

Dżungla pigmejska

Był to ciepły wiosenny dzień, błękitny jak skrzydło sójki, a ja czekałem z utęsknieniem na Teodora, mieliśmy bowiem zrobić sobie wspólnie piknik nad leżącym o kilka mil jeziorkiem, jednym z naszych ulubionych terenów łowieckich. Dnie spędzane z Teodorem były dla mnie pasjonująco ciekawe, ale jego musiały ogromnie męczyć, gdyż od chwili przyjazdu do chwili pożegnania bezustannie zasypywałem go pytaniami.

Wreszcie dorożka zastukotała na podjeździe i wysiadł z niej Teodor ubrany, jak zwykle, najbardziej jak tylko można sobie wyobrazić nieodpowiednio na wyprawę: elegancki tweedowy garnitur, wypucowane półbuty i szary kapelusz filcowy zatknięty na bakier. Jediną fałszywą nutą w tym portrecie mieszczaucha był sprzęt kolekcjonerski: pudło z różnymi próbkami i butelkami przerzucone przez ramię i przyczepiona do laski niewielka siatka z dyndającą wewnątrz butelką.

– Witaj – mówił z powagą ściskając mi dłoń. – Jak się czujesz? Widzę, że mamy... ehm... piękny dzień na wycieczkę.

Ponieważ o tej porze roku piękne dni ciągnęły się bez końca, nie było w tym nic szczególnego, Teodor jednak zawsze pamiętał, by podkreślać urodę dnia, jakby to bogowie łowców motyli obdarzyli nas owym specjalnym przywilejem. Szybko braliśmy małe kamienne butelki płynu imbirowego przygotowanego przez matkę, i zarzucaliśmy na plecy węzełek z jedzeniem oraz mój ekwipunek łowiecki, nieco większy niż Teodora, gdyż byłem ogromnie zachłanny i chciałem być przygotowany na każdą ewentualność.

Potem gwizdaliśmy na Rogera i ruszaliśmy przez obłany słońcem gaj oliwny, posiekany pasmami cienia – a przed nami ciągnęła się cała wyspa, roziskrzona, pachnąca wiosną. W tym okresie gaj oliwny mienił się od kwiatów: bladych zawilców o zarumienionych końcach płatków, jakby piły wino, piramidalnych storczyków, które wyglądały jak zrobione z różowego lukru, i żółtych krokusów, tak tłustych, lśniących i woskowych, że, zdawało się, można by je zapalić jak świecę, gdyby im przyłożyć zapaloną zapałkę. Wędrowaliśmy po kamienistych, wyboistych drózkach wśród oliwek, a potem prawie milę szliśmy drogą wysadzaną wysokimi, starymi cyprysami, pokrytymi warstwą kurzu, niby setki ciemnych pędzli do farb pokrytych kredową bielą. Wreszcie skręciliśmy z drogi i po sforsowaniu wierzchołka niewielkiego wzgórza stawaliśmy nad leżącym u jego stóp jeziorem. Miało ze cztery akry powierzchni i brzeg kosmaty od trzciny, a wody zielone od roślinności.

Tego właśnie dnia, kiedy schodziliśmy ze wzgórza do jeziora, wyprzedzałem Teodora o parę kroków. Nagle stanąłem jak wryty patrząc ze zdumieniem na ścieżkę przede mną. Skrajem jej meandrował do jeziora malutki strumyk. Był on tak mały, że nawet wczesne, wiosenne słońce wystarczyło, by go wysuszyć, i tylko środkiem smużyła się strużka wody. W łożysku tego

strumienia, potem w poprzek ścieżki i dalej w kierunku łożyska, leżało coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak gruba lina skręcona z tysięcy małych, zakurzonych wężyków. Krzyknąłem w podnieceniu na Teodora, a kiedy podszedł, pokazałem mu to zjawisko.

– Aha – broda mu się najeżyła, a w oczach zapaliło żywe zainteresowanie. – Tak, ehm... bardzo interesujące. Wracają.

Zapytałem, do jakiego gatunku węży należą te stworzenia i czemu podróżują w takiej procesji.

– Nie, nie – zaprzeczył Teodor. – To nie są węże. To są młode węgorze i zapewne podróżują do... ehm... do tego jeziora.

Zafascynowany przysiadłem przy długiej kolumnie węgorzyków wijących się uparcie poprzez kamienie, trawę i kłujące osty. Skórkę miały wyschniętą i pokrytą kurzem. Były ich chyba miliony. Któż by się spodziewał, że znajdzie w takim suchym, pylistym miejscu wijące się węgorze?

– Cała... ehm... historia węgorza – mówił Teodor usadawiając się na wygodnym kamieniu i kładąc na ziemi swój ekwipunek – jest bardzo dziwna. Widzisz, w pewnych okresach dorosłe węgorze opuszczają stawy czy rzeki, czy miejsca, gdzie żyły i... ehm... ruszają ku morzu... Robią to wszystkie węgorze europejskie i amerykańskie. Przez długi czas pozostawało tajemnicą, dokąd one zmierzają. Uczeni wiedzieli jedynie, że ehm... te węgorze nigdy nie wracają, ale że w końcu młode węgorzyki wrócą i zarybią te same strumienie i rzeki. Dopiero po wielu, wielu latach ludzie odkryli, co się naprawdę dzieje.

Przerwał i w zamyśleniu drapał się po brodzie.

– Wszystkie węgorze najpierw docierały do morza, a potem płynęły przez Morze Śródziemne do Atlantyku i Atlantykiem aż do Morza Sargassowego, które, jak wiesz, znajduje się u wybrzeży Ameryki Południowej. Węgorze... ehm... amerykańskie mają, rzecz jasna, krótszą drogę, ale płyną do tego samego miejsca. Tam odbywa się tarło, składanie ikry, po czym węgorze giną. Larwa węgorza po wylęgnięciu jest bardzo interesująca... wiesz... ehm... ma kształt listka, jest zupełnie przezroczysta i w niczym nie przypomina dorosłego węgorza, do tego stopnia, że przez długi czas klasyfikowano ją jako odmienny rodzaj. No więc te larwy powoli ruszają w tym kierunku, skąd przybyli ich rodzice, a kiedy dopłyną do Morza Śródziemnego czy brzegów Północnej Ameryki wyglądają już tak.

Tu Teodor przerwał, znowu potarł brodę i delikatnie wsunął koniec laski pomiędzy ruszającą się kolumnę węgorzyków, aż zaczęły się wic z oburzenia.

– Wydaje się, że mają... ehm... wiesz, ogromnie silny instynkt powrotny – mówił Teodor. – Sądzę, że jesteśmy o jakieś dwie mile od morza, a mimo to te młode węgorzyki wędrują lądem, żeby się dostać z powrotem do tego samego jeziora, z którego pochodzą ich rodzice.

Przerwał, rozejrzał się bystro wokół i pokazał mi coś laską.

– To niebezpieczna podróż – stwierdził i w tym momencie dojrzałem pustułkę, która jak czarny krzyż leciała tuż nad linią młodych węgorzyków i na naszych oczach zniżyła się nagle, a potem poderwała w górę unosząc w zaciśniętych szponach wijący się kłębek.

Idąc dalej wzdłuż sznura wędrujących węgorzy – jako że zmierzaliśmy w tym samym kierunku – widzieliśmy jeszcze inne drapieżniki przy robocie. Na nasz widok spłoszyła się gromada srok i kawek i kilka sójek, a kątem oka dostrzegliśmy również rudą smugę lisa niknącego w mirtowych krzakach.

Nad jeziorem mieliśmy ustalony tryb działania. Najpierw zastanawialiśmy się, gdzie położyć nasz ekwipunek i jedzenie, która oliwka będzie w południe rzucać najlepszy, najgłębszy cień. Po podjęciu decyzji w tej materii, układaliśmy w wybranym miejscu nasze manatki, po czym uzbrojeni w siatki i kasety schodziliśmy do jeziora. Tu łaziliśmy uszczęśliwieni aż do południa, powoli i w skupieniu niby dwie czaple, zajęte łowieniem ryb, zanurzając siatki w wodę zdobną w roślinne ornamenty. Tutaj Teodor był w swojej roli bardziej niż gdziekolwiek indziej. Kiedy tak stał, a wokół niego bzykały groty wielkich szkarłatnych ważek, potrafił wyczarować z głębin jeziora dziwy, o jakich Merlinowi się nie śniło.

W tych spokojnych, winnozłocistych wodach leżała pigmejska dżungla. Na dnie jeziora grasowały straszliwe larwy ważki, drapieżniki równie groźne jak tygrysy, i sunęły cal za caliem po złogach milionów zeszlorocznych liści... Czarne kijanki, śliskie i lśniące jak krople lukrecji, baraszkowały w płytkiej wodzie niby stada tłustych hipopotamów w afrykańskiej rzece. Przez zielone lasy wodorostów przesuwwały się trzepotliwe gromady mikroskopijnych stworzeń niby jakieś egzotyczne ptaki, a w korzeniach leśnych wiły się traszki i pijawki, jak ogromne węże w mroku, wyciągając się błagalnym gestem, wiecznie nienasycone. Gdzie indziej znowu larwy chruścika w obszarpanych kurteczkach z gałązek i śmieci, nieprzytomne jak niedźwiedzie świeżo przebudzone ze snu zimowego, pęłzały przez oblane słońcem góry i doliny miękkiego czarnego blocka.

– O, proszę, to wcale interesujące. Widzisz tę larwę? To jest larwa émy żwirówki. Sądzę zresztą, że masz ją w swojej kolekcji. Co? No więc nazywają ją również émą „znaku porcelany”, bo ma znaki na skrzydłach – przypominają ponoć bardzo wiernie znakowania porcelany... no wiesz, takiej bardzo drogiej porcelany. No więc ta éma jest interesująca, ponieważ należy do nie licznych, które mają larwy wodne. Larwy leżą pod wodą tak długo, dopóki nie są gotowe do... ehm... przeobrażenia. Ale ten gatunek jest szczególnie interesujący, bo ma dwa rodzaje samic. Samiec, rzecz jasna po przeobrażeniu, ma skrzydła i lata, i tak samo... ehm... tak samo jedna z samic. Ale samica drugiego rodzaju nie ma po przeobrażeniu skrzydeł i dalej żyje pod wodą, a pływa za pomocą nóg.

Teodor zrobił kilka kroków wzdłuż brzegu po błocie, które pod wpływem wiosennego słońca wyschło już i popękało w najrozmaitsze wzory. Z małej wierzby wypadł zimorodek jak

błękitna petarda, a na środek jeziora spłynęła rybołówka i ślizgała się wdzięcznie na skrzydłach w kształcie sierpów. Teodor zanurzył ostrożnie siatkę w porośłą zielskim wodę i przesuwał ją tam i z powrotem, delikatnie, jakby głaskał kota. Potem podniósł siatkę i poddał znajdującą się w niej buteleczkę szczegółowym oględzinom używając do tego szkła powiększającego.

– Aha. Kilka oczlików. Dwie larwy komara. O, tu coś ciekawe go. Popatrz, ta larwa chruścika zrobiła sobie panczyk z malutkich spiralnych muszli ślimaczych. Jest... wiesz, wyjątkowo ładna. O, popatrz. Tu mamy... tak, tu mamy kilka wrotków.

Starając się rozpaczliwie sprostać tej lawinie wiadomości, zapytałem, co to są wrotki, i zajrzałem do małej buteleczki przez szkło powiększające. Przyglądałem się tym wijącym się i pokrętnym stworom, a Teodor mówił:

– Dawniej przyrodnicy nazywali je kołomyjki lub kołowrotki, z powodu tych cudacznym członków, wiesz. Wykonują nimi te kie dziwne ruchy, przypominające... ehm... mechanizm koła wrotka. Kiedy przyjdiesz do mnie następnym razem, położę ci kilka z nich pod mikroskopem. To naprawdę niezwyklej urody stworzenia. Te tutaj to oczywiście samice.

Zapytałem, czemu to są oczywiście samice.

– To właśnie jest u wrotków ciekawe. Samice składają nie zapłodnione jajka. To znaczy... ehm... składają jajka nie... ehm... wchodząc w kontakt z samcem. To znaczy... ehm... trochę tak jak kury... Różnica polega na tym, że z jajka wrotka wykluwa się następna samica, która z kolei zdolna jest złożyć więcej jajek, z których... ehm... z których znowu wylęgają się samice. Ale w pewnych wypadkach samica składa mniejsze jajko, z którego wylęga się samiec. Jak zobaczysz, kiedy pokażę ci je pod mikro skopem, samica posiada... ehm... jakby to powiedzieć... ciało całkiem skomplikowane... przewód pokarmowy i tak dalej. Tymczasem samiec nie ma w ogóle nic. Właściwie jest... ehm... jakby to powiedzieć... pływającym woreczkiem spermy.

Ta wiadomość o skomplikowanym życiu osobistym wrotka wręcz odebrała mi mowę.

– Jeszcze jedna związana z nimi ciekawostka – ciągnął Teodor, dorzucając od niechcenia następną niebywałą informację. – W niektórych okresach, kiedy... wiesz... lato jest upalne i staw potrafi wyschnąć, wrotki zstępują na dno i otaczają się... jakby twardą skorupą. To jest rodzaj życia utajonego, ponieważ staw wysycha czasem na... ehm... powiedzmy siedem czy osiem lat, a one będą tak po prostu leżały w pyle. Ale jak tylko spadnie pierwszy deszcz i woda napelni staw – wrotki natychmiast wracają do życia...

Ruszyliśmy dalej przeciągając siatki po baloniastych masach żabiego skrzesku i sznurach ropuszego skrzesku ciągnących się jak naszyjniki.

– Spójrz tutaj... weź na chwilę szkło powiększające i po patrz... wyjątkowo piękna hydra.

Za szkłem ożył mi nagle malutki fragmencik zielska, do którego przyczepiona była długa, smukła, kawowej barwy kolumna z wijącą się na czubku gęstwą niezwykle eleganckich czułków. Kiedy tak patrzyłem, pękaty i poważny oczlik, niosąc dwa wielkie i widać bardzo

ciężkie worki pełne różowych jajeczek podpłynął zadyszany szarpnięciami zbyt blisko wijących się ramion hydry. Został natychmiast porwany. Szarpnął się gwałtownie kilka razy, nim otrzymał śmiertelne ukąszenie. Wiedziałem, że jeśli się przyglądać dostatecznie długo, można by zobaczyć, jak oczlik zostaje powoli i systematycznie wchłaniany i przesuwa się w formie zgrubienia w dół kolumny hydry.

Wreszcie upał i położenie słońca dawały nam znak, że czas na lunch, wracaliśmy więc ku naszemu oliwkom, siadaliśmy i popijając przy posiłku płyn imbirowy słuchaliśmy, jak grają senne cytry świeżo wyległych w tym roku cykad, a synogarlice tureckie gruchają łagodnie, pytająco.

– W języku greckim – mówił Teodor żując systematycznie kanapkę – ta synogarlica nazywa się *dekaoctura*, osiemnaście, wiesz? Istnieje legenda, że kiedy Chrystus niósł swój krzyż na Kalwarię, żołnierz rzymski, widząc, że skazaniec jest wyczerpany, zlitował się nad Nim. Przy drodze siedziała stara kobieta, która sprzedawała... ehm... wiesz, mleko, i ten rzymski żołnierz podszedł do niej i spytał, ile kosztuje kubek. Odpowiedziała, że osiemnaście monet. Żołnierz miał tylko siedemnaście. Prosił... no, wiesz, tę kobietę, żeby mu dała kubek mleka dla Chrystusa za siedemnaście monet, ale ona z chciwości nie ustępowała. A kiedy ukrzyżowali Chrystusa, ta stara kobieta została zamieniona w synogarlicę i skazana na powtarzanie do końca swoich dni: *decaocto, decaocto, osiemnaście, osiemnaście*. Jeśli kiedykolwiek zgodzi się powiedzieć: *dekaepta*, siedemnaście, odzyska ludzki kształt, a kiedy powie *dekaennaea*, dziewiętnaście – przyjdzie koniec świata.

W chłodnym cieniu oliwek, wśród rozsypanych liści wysuszonych zeszłorocznym słońcem – o barwach przechodzących od orzechowego brązu do bananowej żółci – gospodarzyły malutkie mrówki, czarne i błyszczące jak kawior. Na leżącym za nami wzgórzu pasły się kozy, przodownik podzwaniał żałobnie dzwonkiem. Słysząc było suchy, ostry odgłos, gdy kozy idąc gryzły po drodze każdą, bez wyjątku, napotkaną roślinę. Kozioł-przodownik podszedł i przyglądając się nam zmartwionymi żółtymi oczami, parsknął obłokami przesiąkniętego tymiankiem oddechu.

– One nie powinny... wiesz, być puszczane bez opieki – mówił Teodor popychając delikatnie laską szyję kozy. – Kozy są największymi niszczycielami przyrody.

Przodownik beknął sardonicznie i ruszył dalej, a za nim jego niszczycielski oddział.

Leżeliśmy jeszcze z godzinę, drzemiąc i trawiąc, i patrzyliśmy przez splecione gałęzie oliwek na niebo upstrzone malutkimi białymi chmurkami jak niebieska oszroniona szyba upstrzona odciskami dziecięcego palca.

– No cóż – Teodor dźwigał się wreszcie na nogi – myślę, że chyba powinniśmy... wiesz... zobaczyć, co nam może zaoferować tamten brzeg jeziora.

I tak znowu ruszaliśmy, krok za krokiem, w powolny obchód brzegu. Nasze próbówki, butelki i słoiki zaczynały się roić od mikroskopijnych żyłatek, a moje pudełka, puszki i torby

pełne były żab, małych żółwi słodkowodnych i żuków.

– Wydaje mi się – mówił wreszcie niechętnie Teodor, spoglądając na zachodzące słońce – wydaje mi się... wiesz... że chyba trzeba wracać.

Zarzucaliśmy więc z wysiłkiem nasze bardzo już teraz ciężkie kasety na ramiona i na obolałych nogach wlekliśmy się do domu, a Roger, z jęczorem wywieszonym jak różowy sztandar, dreptał statecznie przed nami. Po przyjeździe do domu przekładaliśmy nasze trofea do obszerniejszych pomieszczeń. Potem odpoczywaliśmy z Teodorem i omawialiśmy plon całego dnia, wypijając mnóstwo gorącej, ożywczej herbaty i pożerając złociste grzanki z roztopiającym się masłem, prosto z matczyne piecyka.

Akurat podczas samotnej, bez Teodora, wyprawy nad jezioro, schwytałem przypadkowo stworzenie, które od dawna już pragnąłem poznać. Wyciągnąwszy siatkę z wody przeglądałem splecione zielska i niespodziewanie odkryłem siedzącego na spodzie pająka. Byłem zachwycony, ponieważ czytałem już o tym dziwnym stworzeniu, które musi być niewątpliwie najniezwyklejszym gatunkiem pająka na świecie, prowadzi bowiem cudaczną podwodną egzystencję. Miał mniej więcej pół cala długości i był niewyraźnie znaczony, szaro i brązowo. Włożyłem go z triumfem do jednej z puszek i ostrożnie zaniosłem do domu.

Tu przygotowałem akwarium wysypane piaskiem i ubrane kilkoma zeschniętymi gałązkami i liśćmi wodorostów. Wsadziłem pająka na jedną z gałązek, które wystawały nad powierzchnię wody, i patrzyłem, co zrobi. Natychmiast zbiegł w dół po gałązce i zanurzył się w wodę, gdzie stał się jasny i cudownie srebrzysty, dzięki niezliczonym pęcherzykom powietrza, które wczepiły się mu we włoski na skórze. Spędził około pięciu minut biegając pod powierzchnią i badając wszystkie gałązki i zielska, nim wreszcie wybrał miejsce, gdzie postanowił zbudować sobie dom.

Otóż pająk wodny jest oryginalnym wynalazcą dzwonu nurkowego. Siedząc tuż przy akwarium patrzyłem, zafascynowany, jak to robi. Najpierw przeciągnął kilka dłuższych nitok jedwabiu między zielskiem a gałązkami. Miały one służyć jako liny cumownicze. Potem, zajmując pozycję mniej więcej w środku, zaczął prząść nieregularną, owalną, płaską sieć, całkiem zwyczajną, tylko z bardzo małych oczek. To zajęło mu około dwóch godzin. Kiedy skończył ku pełnej satysfakcji budowę swego domu, musiał zorganizować dostawę powietrza. W tym celu zaczął robić wypadki na powierzchnię wody, a za każdym razem kiedy wracał w głąb, ciało srebrzyło mu się od pęcherzyków powietrza. Zbiegał w dół, przysiadł pod siecią, po czym ściągał nogami z ciała banieczki powietrza, a te unosiły się i natychmiast wpadały w sieć, która przytrzymywała je od góry. Po kilku takich wypadach wszystkie małe banieczki zebrane pod siecią stopiły się w jedną dużą bańkę. Pająk wciąż dodawał powietrza do owej bańki, ta powiększała się coraz bardziej i zaczynała swą siłą wypychać sieć w górę, aż wreszcie pająk osiągnął to, czego chciał. Przycumowana na mocnej uwierzy między gałązkami i zielskiem

wisiała struktura w kształcie dzwonu, pełna powietrza. Był to teraz dom pająka, w którym mógł mieszkać wygodnie, bez konieczności składania częstych wizyt na powierzchni, gdyż powietrze w dzwonie, jak wiedziałem, uzupełniane było tlenem wydzielanym przez rośliny, a dwutlenek węgla wydalany przez pająka przesączał się przez jedwabiste ściany jego domu.

Siedziałem tak, podziwiając to niezwykle mistrzowskie dzieło, i zastanawiałem się, jakim sposobem protoplasta pająka wodnego (który postanowił zostać pająkiem wodnym), zdołał wymyślić tę genialną metodę życia pod powierzchnią. Ale obyczaj mieszkania w prywatnej łodzi podwodnej domowej roboty nie jest jedyną niezwykłą cechą tego pająka. Odwrotnie niż u większości stworzeń tego gatunku, samiec jest dwa razy większy od samicy, a po godach nie zostaje pożarty przez żonę, jak to się na ogół dzieje w małżeńskim pożyciu pająków. Sądząc po rozmiarach mój pająk był samicą, wydawało mi się też, że brzuch ma dosyć wzdęty. Oczekując szczęśliwego rozwiązania troszczyłem się bardzo, aby dostawała dużo dobrego jedzenia. Uwielbiała tłuste zielone dafnie i chwyciła je niezwykle zręcznie w ich podwodnym locie, ale ulubione jej jadło stanowiły świeżo wyklute małe traszki, które, chociaż były łupem dość okazałych rozmiarów, nigdy jej nie odstraszały. Po schwytaniu tego, co jej akurat wpadło w łapy, zanosila zdobycz do swego dzwonu i tam zjadała wygodnie i w spokoju.

Nadszedł wreszcie wielki dzień, kiedy zobaczyłem, że pajęczyca robi dobudówkę do swego domu. Nie śpieszyła się z robotą, która zajęła jej dwa dni. Potem, pewnego ranka, zajrzawszy do akwarium, stwierdziłem z radością, że w dzieciennym pokoju leży kulka jajek. Po odpowiednim okresie wylęgły się z nich miniaturowe sobowtóry matki. Wkrótce miałem tak wiele pająków wodnych, że nie wiedziałem, co z nimi zrobić; stwierdziłem z gniewem, że matka, kompletnie pozbawiona uczuć macierzyńskich, odżywia się swymi małymi. Musiałem więc przenieść dzieci do innego akwarium, ale kiedy podrosły, zaczęły się pożerać nawzajem, więc zatrzymałem wreszcie tylko dwa o najbardziej inteligentnym wyglądzie, a resztę zaniósłem do jeziora i wypuściłem.

W tym właśnie okresie, kiedy zajmowałem się pająkami wodnymi, przyjechał nareszcie Sven Olson. Ku wielkiej konsternacji matki, Lany nabrał zwyczaju zapraszania bez uprzedniego z nią porozumienia całych hord pisarzy, malarzy i poetów na pobyt do naszego domu. Sven Olson był rzeźbiarzem. Otrzymaliśmy mgliste ostrzeżenie o zagrażającej nam wizycie, ponieważ bombardował nas wciąż sprzecznymi depeszami o swoich poruszeniach. Doprowadzały matkę do prawdziwej rozpacz, bo musiała wciąż na nowo szykować mu łóżko. Właśnie piliśmy spokojnie we dwójkę z matką herbatę na werandzie, kiedy ukazała się dorożka, podjechała pod dom i stanęła. Siedział w niej olbrzymi mężczyzna łudzaco podobny do Człowieka Neandertalskiego. Ubrany był w biały podkoszulek, szerokie pumpy w jaskrawą kratę i sandały. Na olbrzymiej głowie nasadzony miał wielki, szerokoskrzydły słomkowy kapelusz. Dwie dziury po obu stronach główki kapelusza świadczyły, że owo nakrycie głowy winno zdobić koński łeb.

Wysiadł dostojnie z dorożki niosąc wielką i mocno sponiewieraną walizkę oraz akordeon. Wyszliśmy z matką, by go powitać. Na nasz widok zerwał kapelusz i skłonił się ukazując olbrzymią czaszkę całkowicie pozbawioną owłosienia z wyjątkiem dziwnego wystrzępionego kaczego kuperka u nasady głowy.

– Czy pani Durrell? – spytał utkwivszy w matce wielkie, niebieskie jak u dziecka oczy. – Bardzo mi przyjemnie panią po znać. Nazywam się Sven.

Mówił nienaganną angielszczyzną niemal bez cienia akcentu, ale głos miał niezwykły, falował bowiem pomiędzy głębokim, soczystym barytonem i drżącym falsetem, jakby Sven, mimo swego wieku, dopiero przechodził mutację. Wyciągnął do matki wielką, białą, podobną do szufli dłoń i znowu się skłonił.

– Bardzo jestem rada, że wreszcie udało się panu do nas przyjechać – oświadczyła matka z uśmiechem, a nieszczerze. – Proszę, niech pan wejdzie i napije się z nami herbaty.

Wniósł swoją walizkę i akordeon, po czym usiedliśmy wszyscy na werandzie i piliśmy herbatę przyglądając się sobie nawzajem. Nastąpiła długa, długa chwila milczenia, podczas której Sven żuł grzanki i od czasu do czasu uśmiechał się czule do matki, a ona odpowiadała mu uśmiechem i rozpaczliwie szukała w myślach jakichś tematów do intelektualnej rozmowy. Sven połknął kawałek grzanki i zakaszłał gwałtownie. Oczy napelniły mu się łzami.

– Uwielbiam grzanki – wykrztusił – po prostu uwielbiam. Ale zawsze mi się potem tak robi.

Poiliśmy go całymi kubłami herbaty, aż wreszcie paroksyzm kaszlu minął. Siedział, pochylony do przodu, złożony na kolanach ogromne dłonie, które wydawały się białe jak marmur na ohydnych tle tych kratkowanych pumpów, i wbijał w matkę pytający wzrok.

– Czy pani – zapytał wreszcie z zadumą – nie ma czasami zamiłowań muzycznych?

– No cóż – matka była zaskoczona i przerażona, przypuszczała bowiem, że jeśli powie „tak”, Sven poprosi, żeby zaśpiewała. – Lubię muzykę, rzecz jasna, ale... nie umiem grać.

– Sądzę – ciągnął nieśmiało Sven – że nie życzyłaby sobie pani, bym jej coś zagrał?

– Och, oczywiście, bardzo proszę – zawołała matka. – Koniecznie! Będę bardzo rada.

Sven uśmiechnął się do niej czule i promiennie, podniósł akordeon i rozpiął rzemienie. Rozciągnął go jak gąsienicę, a instrument wydał dźwięk podobny do końcowego akordu ryku osła.

– Jest w nim – powiedział Sven głaszcząc miłośnie instrument – jest w nim trochę morskiego powietrza.

Oparł wygodniej akordeon o swą szeroką pierś, starannie rozstawił na klawiszach palce jak serdelki, zamknął oczy i zaczął grać. Była to bardzo skomplikowana i niezwykła melodia. Na brzydkiej twarzy Svena rozlał się wyraz takiego uniesienia, że miałem ochotę ryczeć ze śmiechu i musiałem zagryźć policzki, by się pohamować. Matka siedziała z twarzą zastygłą w uśmiechu zimnej uprzejmości jak światowej sławy dyrygent, którego zmuszono do słuchania czyjegos

recitalu na fujarce. Wreszcie melodia zakończyła się ostrym, zgrzytliwym akordem. Sven westchnął z rozkoszą, otworzył oczy i uśmiechnął się do matki.

– Bach jest taki piękny – oświadczył.

– O, tak – przytaknęła matka ze źle udanym entuzjazmem.

– Cieszę się, że pani go lubi. W takim razie zagram pani coś jeszcze.

I tak przez następną godzinę siedzieliśmy z matką w tej matni, a Sven grał utwór za utworem. Za każdym razem, kiedy matka najmniejszym drgnięciem zdradziła chęć ucieczki, Sven podnosił w górę ogromną dłoń, jakby wstrzymywał jakiś wyimaginowany ruch pojazdów, i mówił figlarnie: – Jeszcze tylko jeden – a matka z nikłym uśmiechem opadała znowu na krzesło.

Dużą więc ulgą był dla nas widok reszty rodziny wracającej z miasta. Lany i Sven odtańczyli dziki taniec rycząc jak bawoły i ściskając się namiętnie, po czym Lany zaciągnął Svena do swego pokoju, gdzie zamknęli się na kilka godzin, a do nas dochodziły tylko od czasu do czasu wybuchy śmiechu.

– Jaki on jest? – zapytała Margo.

– Nie bardzo wiem, kochanie – odparła matka. – Grał nam od chwili przyjazdu aż do teraz.

– Grał? – zdumiał się Leslie. – Grał? W co?

– Grał na katarynce, czy jak to się nazywa – odparła matka.

– Wielki Boże – zawołał Leslie. – Ja tego nie znoszę! Mam nadzieję, że nie będzie grywał po całym domu.

– Ależ skąd, kochanie, na pewno nie będzie – odparła matka spieszenie i bez przekonania.

Właśnie w tej chwili Lany ukazał się na werandzie.

– Gdzie jest akordeon Svena? – zapytał. – On chce mi coś zagrać.

– O Boże! – jęknął Leslie. – Macie! Nie mówiłem?

– Mam nadzieję, kochanie, że on nie będzie grał cały czas – mówiła matka. – Mieliśmy to już przez godzinę i w rezultacie głowa mi pęka z bólu.

– Oczywiście, że nie będzie grał przez cały czas – burknął wyraźnie zirytowany Larry, biorąc akordeon. – Chce mi tylko coś zagrać. A co on wam grał takiego?

– Taka dziwna muzyka – odparła matka. – Jakiegoś kompozytora... może wiesz, jakiego... ma coś wspólnego z drzewami.

Reszta dnia była, mówiąc najogólniej, męcząca. Okazało się, że Sven ma niewyczerpany repertuar, a kiedy podczas kolacji uparł się, że pokaże nam, jak wyglądały posiłki w szkockiej fortecy, i maszerował naokoło stołu grając jedną z najbardziej niemelodyjnych szkockich melodii, zobaczyłem, że wytrzymałość całej rodziny się kończy. Nawet Larry przybrał nieco zamyślony wyraz twarzy. Roger, który nie znał się na udawaniu i w stosunkach z istotami ludzkimi był ogromnie bezpośredni, dał wyraz temu, co myśli o grze Svena, podnosząc łeb

w górę i wyjąc melancholijnie; robił to dotychczas jedynie na dźwięk hymnu narodowego.

Ale po trzech dniach pobytu Svena uodporniliśmy się jakoś na ten akordeon, a sam Sven oczarował nas wszystkich. Biła od niego niewinna dobroć i nie można się było na niego za nic gniewać, tak jak nie można się gniewać na dziecko za moczenie pieluszek. Szybko podbił serce mojej matki, bowiem, jak stwierdziła, był zamiłowanym kucharzem i nosił przy sobie ogromny, oprawny w skórę notes, w którym notował przepisy kulinarne. Spędzali wspólnie w kuchni całe godziny ucząc się nawzajem różnych sposobów przyrządzania ulubionych potraw, a w rezultacie mieliśmy jedzenie tak wspaniałe i w takiej obfitości, że wszyscy zaczęliśmy odczuwać niestrawność i kłopoty z wątrobą.

Pewnego ranka, mniej więcej w tydzień po przyjeździe, Sven wszedł do pokoju, który nazywałem dumnie moją pracownią. W naszej obszernej willi mieliśmy taki nadmiar pokoi, że udało mi się nakłonić matkę, by mi jeden odstąpiła, i właśnie tam trzymałem wszystkie moje zwierzaki i okazy.

W owym czasie miałem już całkiem okazałą menażerię. Był więc puchacz Ulisses, który całymi dniami siadywał na lambrekinie nad oknem udając zmurszały pień oliwki i od czasu do czasu z wyrazem obrzydzenia wypluwał kulkę niestrawionego pokarmu na rozłożoną pod nim gazetę. Ilość psów wzrosła do trzech, dostałem bowiem od zaprzyjaźnionej rodziny wieśniaczej na urodziny dwa kundły, które ze względu na swoje niezdyscyplinowane zachowanie zostały nazwane Zbój i Szachraj. Pokój wypełniały szeregi różnych słoików po dżemach: jedne zawierały okazy w spirytusie metylowym, inne – mikroskopijne stworzenia żyjące. Poza tym miałem sześć akwariów, w których znajdowały się różne traszki, żaby, węże i ropuchy. W szeregach gablotek mieściła się kolekcja motyli, żuków i ważek. Ku mojemu zdumieniu Sven okazał głębokie i niemal pokorne zainteresowanie tymi zbiorami. Zachwycony, że ktoś okazuje entuzjazm dla tak drogiej memu sercu menażerii, pokazałem mu ze szczegółowym komentarzem wszystko, a nawet – każąc wpierw przysiąc, że nic nie powie – kilka czekoladowej barwy skorpionów, które przesmuglowałem do domu bez wiedzy mojej rodziny. Największe wrażenie zrobił na Szenie nurkowy dzwon pająka. Stał przed nim w milczeniu wpatrując się intensywnie swymi wielkimi niebieskimi oczyma w pajęczycę, która chwyciła pożywienie i zanosila do swego malutkiego domku. Sven okazał taki entuzjazm, że zapytałem, dość niepewnie, czy nie chciałby posiedzieć ze mną trochę w gaju oliwnym, żebym mógł mu pokazać niektóre z tych stworzeń w ich naturalnym otoczeniu.

– Jakiś ty miły – zawołał, a jego brzydka twarz rozjaśniła się w zachwycie. – Jesteś pewny, że nie będę ci przeszkadzał?

Zapewniłem go, że nie będzie przeszkadzał.

– Byłbym ogromnie rad – oświadczył Sven. – Ogromnie.

I tak aż do końca jego pobytu znikaliśmy po śniadaniu z domu i spędzaliśmy kilka godzin

w gajach oliwnych.

W ostatnim dniu pobytu Svena – wyjeżdżał wieczornym statkiem – urządziliśmy dla niego pożegnalny lunch i zaprosiliśmy Teodora. Zachwycony, że ma nowego słuchacza, Sven natychmiast dał Teodorowi półgodzinny recital bachowski na akordeonie.

– Ehm... – odezwał się Teodor, kiedy Sven skończył – a czy pan zna... ehm... inne melodie?

– Proszę tylko powiedzieć jaką, panie doktorze – Sven rozłożył szeroko dłonie – a ja ją panu zagram.

Teodor przez chwilę kołysał się na palcach.

– Czy pan może przypadkiem... ehm... zna taką piosenkę, która się nazywa: „W tym miasteczku jest tawerna”? – zapytał nieśmiało.

– Oczywiście – odparł Sven i natychmiast rozbrzmiały pierwsze tony piosenki.

Teodor śpiewał żywo, z uniesioną brodą i błyszczącym wzrokiem, a kiedy skończyli, Sven, nie robiąc przerwy, przeszedł do „Klementyny”. Matka, ośmielona filistyńskim stosunkiem Teodora do Bacha, zapytała, czy mógłby zagrać „Gdybym była ptaszkiem” oraz „Prząśniczkę”, które natychmiast wykonał po mistrzowsku.

Potem przyjechała dorożka, by go zawieźć na przystań, i Sven, ze łzami w oczach, brał nas po kolei czule w ramiona. Wgramolił się na tylne siedzenie ze swoim sakwojazem, ułożył akordeon jak skarb na kolanach i machał nam jak szalony, dopóki dorożka nie zniknęła na drodze.

– Cóż to za wspaniały mężczyzna – oświadczyła z przekonaniem matka, gdy weszliśmy do domu. – Ot, proszę, stara szkoła.

– Powinnaś mu to była powiedzieć – mruknął Lany wyciągając się na kanapie i sięgając po książkę. – Nic nie sprawia pedałowi większej przyjemności niż to, jak mu się powie, że jest wspaniałym mężczyzną.

– O czym ty mówisz? – matka włożyła okulary i spojrzała podejrzliwym wzrokiem na Larry’ego.

Lany odłożył książkę i spojrzał na matkę zdumiony.

– Homoseksualiści bardzo lubią słyszeć, jacy z nich są wspaniali mężczyźni – wyjaśniał cierpliwie, jak człowiek, który próbuje wytłumaczyć prostą sprawę zapóźnionemu w rozwoju dziecku.

Matka wpatrywała się w niego dalej, nie mogąc się zdecydować, czy to jeszcze jeden z jego niepojętych dowcipów.

– Przecież nie chcesz mi chyba wmówić – odezwała się wreszcie – że ten człowiek, to jeden z... jeden z...

– Wielki Boże, mamó, oczywiście, że jeden z „tych” – zirytował się Lany. – Stary, nieprzytomny pedał. Pognał jak szalony z powrotem do Aten tylko dlatego, że żyje tam

z czarującym siedemnastoletnim cypryjskim chłopcem, któremu nie ufa.

– Ty chcesz powiedzieć – Margo szeroko otworzyła oczy – że oni bywają o siebie zazdrośni?

– Oczywiście, że bywają – uciął Larry i wrócił do lektury.

– Nieprawdopodobne! – krzyknęła w oszołomieniu Margo. – Słyszysz, mamó? Oni naprawdę bywają o siebie zazdrośni...

– Margo! – uciszyła ją matka – nie będziemy w to wnikać. Chciałabym tylko wiedzieć, Larry, czemu go tutaj zapraszałeś, jeśli wiedziałeś, że ehm... on ma takie skłonności?

– A czemu bym go miał nie zapraszać? – zdziwił się Larry.

– Mógłbyś być przynajmniej pomyśleć o Gerrym – najeżyła się matka.

– O Gerrym? – zdumiał się Larry. – O Gerrym? A cóż on ma z tym wspólnego?

– Co wspólnego? Doprawdy, Larry, muszę się na ciebie gniewać! Ten człowiek mógłby mieć fatalny wpływ na małego, gdyby miał z nim częstą styczność.

Lany dźwignął się na kanapie do pozycji siedzącej i podniósł wzrok na matkę. Wydał cichy, rozpaczliwy jęk i odłożył książkę.

– Przez trzy ostatnie przedpołudnia – oznajmił – Geny dawał Svenowi lekcje przyrody w gaju oliwnym. Nie wydaje się, żeby komukolwiek z nich coś się z tego powodu stało złego.

– Co? – pisnęła matka. – Co ty mówisz?

Czułem, że nadeszła chwila, kiedy powinienem się wtrącić. Lubiłem przecież Svena. Wytłumaczyłem więc, jak to na początku swojego pobytu przyszedł do mojej pracowni i jak go zaraz zafascynowała moja zwierzęca kolekcja. Uważając, że jeden nawrócony więcej wart niż pół tuzina świętych, zaproponowałem mu wspólną wyprawę do gaju oliwnego, na moje ulubione tereny łowieckie. Tak więc co rano wyruszyliśmy do gaju i Sven, leżąc całymi godzinami na brzuchu, obserwował ruchliwe kolumny mrówek transportujących nasiona trawy albo gruszkowate ciała samic modliszek, które składały na kamieniach swe pienne kokony, albo zaglądał w głąb jamek pajaków zdunków, mrużąc: – Cudowne, cudowne! – tonem tak pełnym ekstazy, że robiło mi się ciepło w sercu.

– No cóż, kochanie – powiedziała matka – na przyszłość, kiedy będziesz chciał zaprosić na spacer któregoś z przyjaciół Larry’ego, porozum się ze mną uprzednio, bardzo proszę.

Mątwy i kraby

Co ranka, kiedy otwierałem oczy, obejmowałem wzrokiem pokój cały w tygrysiach prążkach od słońca, wlewającego się przez żaluzje. Jak zwykle, stwierdzałem, że psom udało się wdrapać – bez mojej wiedzy – na łóżko, gdzie leżały rozwalone w poprzek materaca zajmując o wiele więcej miejsca, niżby nakazywała sprawiedliwość, i spały spokojnym głębokim snem. Ulisses siedział przy oknie mrużąc oczy na słoneczne pręgi, z wrogą dezaprobatą. Z dworu dochodziło ochryple, szydercze pianie koguta i ciche gdakania kur (dźwięk równie kojący jak bulgotanie owsianki), które szukały pokarmu pod drzewami pomarańcz i cytryn, dalekie pobrzękiwanie kozich dzwonek, ostre ćwierkanie jaskółek pod okapem i gwałtowne wybuchy jęklowych błagalnych popiskiwań, świadczących o tym, że jedno z rodziców przyniosło kęs jadła swym pisklętom w gniazdku pod moim oknem. Odrzucałem wówczas prześcieradło i spychałem psy na podłogę, gdzie otrząsały się i przeciągały, ziewając, i ukazując języki jak egzotyczne liście. Potem podchodziłem do okna i otwierałem żaluzje. Wychylałem się przez parapet i wystawiając gołe ciało na promienie słońca drapałem w zamyśleniu drobne różowe cętki, ślady po pchłach moich psów, a oczy powoli przyzwyczajały mi się do światła. Potem spoglądałem daleko ponad srebrzystymi wierzchołkami oliwek w stronę plaży i niebieskiego morza odległego o pół mili. Właśnie na tej plaży rybacy zwykle ciągnęli sieć, a była to dla mnie zawsze wielka chwila, bowiem sieć wywlekana na brzeg z głębin błękitnej zatoki zawierała nieprzeliczone mnóstwo fascynujących żyjątek morskich, nieosiągalnych dla mnie w inny sposób.

Dojrzawszy małe łódki rybackie kołyszące się na wodzie, ubierałem się spiesźnie, chwyciłem ekwipunek i biegłem przez gaj oliwny do drogi i dalej, aż na plażę. Znałem większość rybaków z imienia, ale jeden z nich, wysoki, potężnie zbudowany młody człowiek z kasztanową czupryną był ze mną szczególnie blisko zaprzyjaźniony. Nie mógł się nazywać inaczej niż Spiro od świętego Spirydiona, wobec tego, chcąc go odróżnić od wszystkich pozostałych a znanych mi Spiro, nazywałem go Kokino, czyli rudy. Kokino bardzo lubił zdobywać mi okazy, a chociaż wcale się nimi nie interesował, ogromnie go cieszył mój nieukrywany entuzjazm.

Pewnego dnia przybiegłem na plażę, gdy sieć znajdowała się w połowie drogi. Opaleni na brąz rybacy ciągnęli ociekające liny – rozcapierzone palce nóg zapierali w piasek, holując ciężki włók coraz bliżej i bliżej do brzegu.

– Twoje zdrowie, *kyñe* – zawołał do mnie Kokino machając na powitanie szeroką piegowatą dłonią, a ruda czupryna łyskała mu w słońcu. – Dzisiaj zdobędziemy ci jakieś piękne stworzenia, bo rzuciliśmy sieć w nowym miejscu.

Przykucnąłem na piasku przy brzegu i czekałem cierpliwie, a tymczasem rybacy, dowcipkując i gawędząc, ciągnęli miarowo liny. W pewnej chwili wychyłała górna część włoka,

a w rozstępującej się wodzie zamigotały trzepotliwie ryby schwymane w pułapkę. Sieć wyciągnięta na piasek sprawiała wrażenie żywej istoty – pulsowała rybami z szorstkim, miarowym łomotem bijących daremnie rybich ogonów. Przyniesiono kosze, do których zaczęto wrzucać ryby, wyjmowane po kolei z sieci. Czerwone ryby, białe ryby, ryby w pasy barwy wina, skorpeny niby kwieciste gobeliny. Czasami zdarzała się ośmiornica albo mątwa łypiąca z przerażeniem swymi ludzkimi oczami. Kiedy cała zdatna do jedzenia zawartość sieci została skrętnie przerzucona do koszy, przychodziła kolej na mnie.

Na dnie sieci znajdowała się kupa kamieni i zielska – tu właśnie kryły się moje skarby. Kiedyś znalazłem płaski kamień, z którego wyrastało koralowe drzewko, nieskazitelnie białe. Wyglądało jak młoda brzoza w zimie, o nagich, pokrytych śniegiem gałęziach. Czasami trafiała się poduszkowata rozgwiazda, gruba jak gąbka i niemal równie duża, o ramionach nie takich jak zwykła rozgwiazda, tylko zaokrąglonych w kształt muszli. Te jasnopłowe rozgwiazdy znaczone były jaskrawoszkarałtymi cętkami. Kiedyś znalazłem dwa przedziwne kraby, które, po wciągnięciu szczypców i odnóży, wpasowywały się z nieskazitelną precyzją w brzegi owalnego pancerza. Kraby te były białe z rdzawoczerwonymi ornamentami na pancerzu, przypominającymi nieco orientalną twarz. Trudno by to uznać za barwy ochronne, sądzę więc, że owe kraby nie mogły mieć wielu wrogów, jeśli poruszały się po dnie morskim odziane w tak uderzający strój.

Tego właśnie ranka przerzucałem ogromny stos wodorostów, a Kokino włożywszy ostatnią rybę do kosza, podszedł, żeby mi pomóc. Znaleźliśmy zwykły zestaw kałamarnic wielkości pudełek od zapalek, iglicznie morskich, krabów pająkonogich i najrozmaitszych malutkich rybek, które mimo drobnych rozmiarów nie zdołały uciec przez oka sieci. Nagle Kokino wydał cichy pomruk ni to zdumienia, ni rozbawienia, wyjął coś ze splątanej gęstwy zielska i wyciągnął ku mnie na pełnej zgrubień dłoni. Ledwo mogłem własnym oczom uwierzyć – był to bowiem konik morski. Brązowawozielony, przemyślnie zbudowany, wyglądał jak cudaczna figurka szachowa, gdy tak leżał na dłoni Kokino chwytając powietrze dziwacznym wydłużonym pyszczkiem i gwałtownie zwijając i prostując ogonek. Chwyciłem go spieszenie i wrzuciłem do słoika z morską wodą, zanosząc w duchu modlitwę do świętego Spirydiona, żebym zdążył odratować konika. Z zachwytem stwierdziłem, że się ustawia we właściwej pozycji, zawieszony w słoiku, i że malutkie płetwy po obu bokach jego końskiego łebka trzepocą migotliwie. Zaczekałem tyle tylko, by stwierdzić, że na pewno nic mu nie jest, i rzuciłem się do przeglądania reszty zielsk z zapalem poszukiwacza złota, który przepłukuje piasek w łożysku, gdzie znalazł jeden złoty samorodek. Gorliwość moja została nagrodzona, po chwili bowiem miałem sześć koników morskich rozmaitych rozmiarów, wiszących w wodzie słoika. Uniesiony szczęściem pożegnałem spieszenie Kokino i pozostałych rybaków i pognałem do domu.

Tu postąpiłem bezceremonialnie z czternastoma padalcami i zabrałem ich akwarium, aby

ulożone w nim moje nowe trofea. Zdawałem sobie sprawę, że w słoiku, w którym uwięzione były koniki, nie na długo wystarczy tlenu, wobec tego, jeśli je chcę utrzymać przy życiu, muszę się spieszyć. Z akwariem w ramionach popędziłem na plażę, umyłem je ostrożnie, nasypałem piasku na dno i popędziłem z powrotem do willi; potem musiałem trzykrotnie biegać tam i z powrotem z wiaderkami, żeby napełnić akwarium odpowiednią ilością wody. Kiedy wlewałem ostatnie wiaderko, byłem zgrzany i spocony i zaczynałem się już zastanawiać, czy koniki warte są takiego wysiłku. Kiedy jednak włożyłem je do akwariów, wiedziałem już, że warte. Wbiłem w piaszczyste dno małą, rozwidloną, uschniętą gałązkę oliwną, a one, wypłusnąwszy ze słoja, wyprostowały się, potem zaś, niby stadko kucyków wypuszczonych na pastwisko, zaczęły opływać pędem ścianki akwariów machając płetwami tak szybko, że nie sposób było dostrzec tego ruchu, a każdy konik sprawiał wrażenie, jakby go popychał jakiś niewidzialny, ukryty wewnątrz, motorek. Kiedy już obgalopowały swoje nowe terytorium, skierowały się ku gałązce oliwnej, owinęły się miłośnie wokół niej ogonami i stanęły z powagą na baczność.

Koniki morskie podbiły natychmiast wszystkich. Były chyba jedynymi przyniesionymi przeze mnie do domu zwierzętami, które zdobyły sobie jednomyślną przychylność całej rodziny. Nawet Larry ukradkiem składał wizyty w mojej pracowni, żeby popatrzeć, jak balansują czy szybują w wodzie. Zabierały mi sporo czasu, gdyż stwierdziłem, że woda morska szybko robi się niedobra, musiałem więc kilka razy dziennie biegać do morza z wiaderkami, by miały świeżą i czystą. Bardzo to było męczące, ale dobrze, że to robiłem, inaczej bowiem nie stałbym się świadkiem pewnej niezwyklej sceny.

Jeden z koników, najwidoczniej już starszy, gdyż niemal zupełnie czarny, miał pokaźnych rozmiarów brzuszki. Przypisywałem to wyłącznie wiekowi konika, pewnego jednak ranka zauważyłem bieżącą wzdłuż brzuszka linię, jakby cięcie brzytwą. Patrzyłem i zastanawiałem się, czy to możliwe, żeby koniki morskie walczyły ze sobą, a jeśli tak, to czym zrobiły to cięcie, wydawały się bowiem takie bezbronne, i właśnie wtedy ku mojemu nieprawdopodobnemu zdumieniu cięcie się rozchyliło i z wnętrza wypłynęła malusieńka i krucha miniaturka konika morskiego. Wprost nie mogłem oczom uwierzyć, ale kiedy mały konik wydostał się z brzucha i zawisnął w czystej wodzie, dołączył się do niego drugi, a potem następny, i znowu następny, aż wreszcie dwadzieścia mikroskopijnych koniczków opływało swą ogromną rodzicielkę niby malutki obłoczek dymu. W strachu, że inne dorosłe koniki morskie pożrą te małe, szybko przygotowałem drugie akwarium i umieściłem w nim ową, jak to sobie z wzruszeniem wyobrażałem, matkę z potomstwem. Zaopatrywanie dwóch akwariów w świeżą wodę było dziełem godnym Herkulesa, a nawet cięższym, i ledwo już dyszałem, postanowiłem jednak wytrwać do czwartku, kiedy Teodor miał przyjść na herbatę, żeby mu pokazać tę zdobycz.

– Aha – mówił zaglądając do zbiorników z profesjonalnym zapalem – to doprawdy bardzo

interesujące. Teoretycznie można jakoby spotkać w tych okolicach koniki morskie, ale ja sam... ehmmmm... nigdy ich tu jeszcze nie widziałem.

Pokazałem Teodorowi matkę z chmarą malutkich dzieci.

– Nie – pokręcił głową Teodor. – To wcale nie jest matka, to ojciec.

Z początku sądziłem, że kpi sobie ze mnie, ale on wyjaśnił, że kiedy samica złoży jaja zapłodnione przez samca, ten ostatni zabiera je do specjalnej kieszeni wylęgowej na brzuchu, gdzie dojrzewają i wylęgają się. To, co wziąłem za szczęśliwą matkę, było w rzeczywistości szczęśliwym ojcem.

Po niedługim czasie przestałem nadążać z dostarczaniem świeżej wody i jedzenia mojej stajni morskich koników i z wielką niechęcią musiałem zabrać je nad morze i wypuścić.

Kokino nie tylko dawał mi ze swojej sieci okazy do kolekcji, ale pokazał mi także jedną z najbardziej oryginalnych metod łapania ryb, z jaką się w życiu zetknąłem.

Pewnego dnia zastałem go przy brzegu; wciągał właśnie do swej rozchwierutanej łódki napelnioną wodą morską bańkę po benzynie. Na dnie banki spoczywała wielka mątwa o sentymentalnym wyglądzie. Kokino przewiązał ją sznurkiem w miejscu, gdzie głowa stykała się z wielkim jajowatym ciałem. Zapytałem, dokąd się wybiera, a on odpowiedział, że wybiera się na połów mątów. Zdumiałem się, bo w łodzi nie było żadnych lin, sieci czy nawet harpuna. Na co więc zamierza łowić mątwy?

– Na miłość – odparł tajemniczo Kokino.

Uważałem, iż moim obowiązkiem jako przyrodnika jest poznawać wszelkie metody łapania zwierząt, poprosiłem więc Kokino, żeby mnie wziął ze sobą. Wypłynęliśmy na wiosłach na błękitną zatokę, aż wreszcie łódź zawisła nad kilkunastometrową głębią przejrzystej jak kryształ wody. Tu Kokino wziął koniec długiego sznura, do którego umocowana była mątwa, i obwiązał go starannie naokoło dużego palca u nogi. Potem podniósł mątwę i wrzucił do wody. Przez krótką chwilę unosiła się na powierzchni spoglądając na nas ku górze jakby z wyrazem niedowierzania, a potem, strzykając strugami wody, prysnęła w dół seria szarpnięć, ciągnąc za sobą sznurek, i wkrótce zniknęła w błękitnych głębinach. Sznurek stopniowo zsuwał się za burtę łodzi, wreszcie naprężył się na palcu Kokino. Rybak zapalił spokojnie papierosa i zwichrzył płomienną czuprynę.

– Teraz – wyszczerzył do mnie zęby w uśmiechu – zobaczy my, czego może dokonać miłość.

Zabrał się do wiosła i powoli, spokojnie, przesuwając łódź po powierzchni zatoki, zatrzymując się często i wpatrując z intensywnym skupieniem w przywiązany do palucha sznurek. Nagle wydał cichy pomruk, złożył wiosła wzdłuż burt niby skrzydła émy i chwyciwszy linkę zaczął ją wciągać do łodzi. Przechyliłem się przez burtę i wpatrywałem w przezroczystą wodę wyteżając wzrok w kierunku zakończenia napiętej czarnej linki. Wreszcie w głębi ukazała się niewyraźna

plama, a gdy Kokino szybciej zaczął wciągać sznur – ukazała się mątwa. Gdy znalazła się bliżej, zobaczyłem ze zdumieniem, że to niejedna mątwa, ale dwie złączone namiętym uściskiem. Kokino szybko doholował je do burty, a potem gwałtownym szarpnięciem liny wwindował do łodzi. Samiec mątwy tak był pochłonięty osobą swojej ukochanej, że nawet nagła zmiana otoczenia z wodnego na powietrzne nie zmartwiła go w najmniejszym stopniu. Tak mocno obejmował samicę, że Kokino zmitrężył sporo czasu, nim zdołał go od niej odkleić, i wrzucił do bańki z morską wodą.

Ogromnie mi się spodobał ten nowy sposób łowienia ryb, chociaż miałem niejasne uczucie, że to nie bardzo sportowa metoda. Tak jakby ktoś łapał psy chodząc z grzejącą się suką na długiej smyczy. W ciągu godziny złapaliśmy pięć samców mątów na stosunkowo niewielkiej przestrzeni zatoki. Zdumiony byłem, że tak ich tu dużo, rzadko bowiem spotyka się te stworzenia, chyba że się poluje na nie w nocy. Przez cały czas samica mątwy odgrywała swoją rolę z czymś w rodzaju stoickiej obojętności, ale mimo to uważałem, że powinna zostać nagrodzona, i wymogłem na Kokino, by ją wypuścił, co zrobił z jawną niechęcią.

Zapytałem, skąd wie, że samica jest w okresie nęcącym dla samców, na co wzruszył ramionami.

– Teraz pora – mruknął.

Wobec tego, pytałem, czy mógłbym skutecznie łowić na każdą samicę przywiązaną do sznurka?

– Tak – odparł Kokino. – Ale, widzisz, niektóre samice, tak jak niektóre kobiety, są bardziej pociągające niż inne i z takimi połowy są lepsze.

Poczułem zamęt w głowie na myśl, że musiałbym na przykład zrobić zestawienie porównawcze powabów dwóch samic mątów. Jaka szkoda, że nie można zastosować tej metody do innych zwierząt. Wrzucić na przykład do morza samicę konika morskiego na długiej nitce, a potem ją wciągnąć całą oblepioną roznamiętnionymi samcami. O ile mi wiadomo, Kokino był jedynym człowiekiem, który stosował tę metodę rybołówstwa, gdyż nie spotkałem innego rybaka, który by się imał tego sposobu, a ci, którym o nim wspomniałem, mówili nawet, że nigdy o czymś podobnym nie słyszeli i skłonni byli traktować moją opowieść z wyraźnym niedowierzaniem.

Postrzępiona linia brzegu koło naszej willi obfitowała w żyjątko morskie, a że woda była tu względnie płytka, łatwo mi przychodziło je chwycić. Udało mi się namówić Lesliego, żeby mi zrobił łódkę, która stanowiła ogromne udogodnienie w moich wyprawach. Owa łódź, niemal krągła, płaskodenna, z wielkim przechyłem na prawą burzę, zwała się Chatka-Chybatka i po ośle była najcenniejszym moim skarbem. Zastawiałem całe dno słoikami, puszkami, sieciami, zabierałem pakę jedzenia i podnosiłem żagiel na Chatce-Chybatce wraz z załogą złożoną ze Zbója, Szachraja, Rogera oraz Ulissesa, mego puchacza, jeśli miał po temu ochotę. Spędzaliśmy

całe upalne dni, bez najmniejszego powiewu, na przeszukiwaniu dalekich zatoczek i skalistych, zdobnych wodorostami archipelagów. Przeżyliśmy podczas tych wycieczek wiele dziwnych przygód. Raz zobaczyliśmy duży kawał dna morskiego wypełniony tłumem zajęcy morskich, stworzeń o jajowatych ciałach fioletowej barwy z porządnie zaplisowaną falbanką wzdłuż grzbietu i dwoma dziwnymi wypukłościami na głowie, istotnie niezwykle podobnymi do długich zajęczych uszu. Były ich całe setki – sunęły przez skały i piasek, i wszystkie kierowały się ku południowi wyspy. Nie dotykały się, nie wykazywały najmniejszego zainteresowania sobą nawzajem, przyjąłem więc, że nie był to spód godowy, tylko jakiś rodzaj migracji.

Innym znowu razem znalazła nas gromadka ociężałych, dostojnych i dobroduszných delfinów, gdy kołysaliśmy się na kotwicy w małej zatoczce. Zapewne przyciągnął je przyjazny zestaw kolorów Chatki-Chybatki – bieli i pomarańczowego – bo zaczęły bawić się wokół nas, skakać i chlupać, podpływały tuż-tuż do burty unosząc wyszczerzone w uśmiechu pyski i wzdychając do nas przez nozdrza głęboko i namiętnie. Jeden z młodszych, bardziej od reszty śmiały, dał nawet nurka pod łódkę – czuliśmy, jak szoruje grzbietem o płaskie dno Chatki-Chybatki. Chociaż byłem zafascynowany tym cudownym widokiem, musiałem jednocześnie tłumić bunt wśród załogi, która w najrozmaitszy sposób, typowy dla każdego, zareagowała na pojawienie się delfinów. Szachraj, który nigdy nie był waleczny, i teraz dał temu świadectwo, bo przysiadł, drząc cały, w dziobie łodzi i skomlał. Zbój doszedł do wniosku, że w jeden tylko sposób może uratować życie, a mianowicie, jeśli wyskoczy z łodzi i popłynie do brzegu, od czego musiałem go powstrzymywać siłą, podobnie jak Rogera, przekonanego, że gdybym tylko pozwolił mu rzucić się w morze między delfiny, rozszarpałby wszystkie sam, osobiście i w okamgnieniu.

Właśnie podczas jednej z takich ekspedycji natknąłem się na trofeum, które, pośrednio, zaprowadziło Lesliego na salę sądową. Cała rodzina wyjechała do miasta z wyjątkiem Lesliego, który dochodził do zdrowia po ciężkim ataku dyzenterii. Był to pierwszy dzień rekonwalescencji – chory leżał w saloniku na kanapce, słaby jak kociak i popijając herbatę z lodem czytał jakiś gruby podręcznik balistyki. Oznajmił mi w sposób nie budzący wątpliwości, że nie życzy sobie, bym się kręcił w pobliżu i był mu zawadą, wobec czego, jako że nie miałem ochoty jechać do miasta, zabrałem psy i wypłynąłem w morzu na mojej Chatce-Chybatce.

Wiosłując po zatoce zauważyłem na gładkiej powierzchni wody coś, co wziąłem za wielką łatę żółtawych wodorostów. Zawsze warto obejrzeć takie zielsko, bo kryje się w nim ogromna ilość różnych małych żyjątek, a czasem, przy łucie szczęścia, nawet i całkiem sporych stworzeń. Skierowałem się więc ku owemu zielsku, ale podpłynąwszy bliżej stwierdziłem, że to nie wodorosty, tylko coś, co przypomina żółtawego koloru skałę. Jaka jednak skała może pływać na głębokości dwudziestu stóp? Podpłynąwszy jeszcze bliżej stwierdziłem z niedowierzaniem i radością, że to duży żółw. Złożyłem wiosła i w pełnym napięcia podnieceniu czekałem, aż

Chatka-Chybatka tam zdryfuje. Rozciągnięty na wodzie żółw sprawiał wrażenie śpiącego głęboko. Należało go schwytąć, nim się zbudzi. Zarówno sieci, jak pozostały ekwipunek, jaki miałem w łodzi, nie były obliczone na chwytanie olbrzymiego żółwia, doszedłem więc do wniosku, że mam szansę tylko wtedy, jeśli skoczę do wody, złapię go i jakoś wciągnę do łodzi, nim zdąży się zbudzić. W podnieceniu nie przyszło mi nawet do głowy, że żółw tych rozmiarów jest bardzo silny i zapewne nie da się wciągnąć bez walki. Kiedy łódź znalazła się w odległości około sześciu stóp, wciągnąłem głęboko powietrze w płuca i skoczyłem. Postanowiłem dać nurka pod jego brzuchem tak, żeby odciąć mu odwrót, a zanurzając się w letnią wodę, zmówiłem krótki pacierz, by plusk go nie obudził, a jeśli już, to żeby był zbyt otepiały snem, by zdążył się porwać do szybkiej ucieczki. Dałem nurka głęboko, potem odwróciłem się na plecy i zobaczyłem zawieszono nade mną żółwia niby ogromną złotą gwineę. Rzuciłem się błyskawicznie ku niemu i schwytałem go mocno za przednie nogi, które wychylały się z pancerza jak zrogowaciałe sierpy. Ku mojemu zdumieniu nawet to go nie przebudziło, a kiedy wynurzyłem się zdyszany na powierzchnię, wciąż trzymając go za przednie nogi, i otrząsałem wodę z oczu, zrozumiałem, dlaczego tak się dzieje. Żółw nie żył od dłuższego już czasu, o czym świadczył zarówno zapach, jak stado malutkich rybek skubiących jego połuszczone członki.

I Byłem rozczarowany, ale że lepszy zdechły żółw niż żaden, z wysiłkiem przyciągnąłem jego ciało do burty Chatki-Chybatki i przywiązałem do łodzi za łapę. Psy były ogromnie zaintrygowane, widać wyobrażały sobie, że zdobyłem dla nich jakiś egzotyczny, wyborny przysmak. Ze względu na swój kształt Chatka-Chybatka nigdy nie była łodzią łatwą do sterowania, a teraz, mając na jednej burcie ciężar zdechłego żółwia, wykazywała ogromną skłonność do obracania się w kółko. Mimo to po godzinie wyczerpanego wiosłowania dotarliśmy wreszcie do pomostu, gdzie przywiązałem łódź i wytaszczyłem ciało żółwia na brzeg, by je dokładnie obejrzeć. Był to żółw szylkretowy, taki, z którego pancerza robi się oprawki do okularów i którego widuje się czasem wypchanego w witrynach sklepów optycznych. Miał masywny łeb, wielkie, pomarszczone podgardle z żółtej skóry i hakowato wygiętą górną szczękę, która nadawała mu jastrzębi wygląd. Pancerz był w kilku miejscach powgniatany, zapewne podczas sztormów na morzu czy też zębami przepływającego rekina, a tu i tam zdobiły go białe jak śnieg kępki malutkich skorupiaków. Płyta pancerza brzuszno, jasnożółta jak żonkil, była miękka i ustępliwa pod dotknięciem niby gruby, wilgotny karton.

Właśnie zrobiłem niedawno długą i fascynującą sekcję martwego żółwia słodkowodnego i wydawało mi się, że oto nadarza się cudowna okazja porównania wewnętrznej budowy żółwia morskiego z jego słodkowodnym bratem, poszedłem więc na górę, pożyczyłem taczki od ogrodnika, przewiozłem zdobycz do naszej willi i złożyłem uroczyście na werandzie od frontu.

Wiedziałem, że podniosłyby się sprzeciwy, gdybym zrobił sekcję żółwia wewnątrz domu, uważałem jednak, że nikt będący przy zdrowych zmysłach nie będzie oponował przeciwko

sekcji na frontowej werandzie. Przygotowałem więc notes, ułożyłem szeregiem piły, skalpele i brzytwy jak na sali operacyjnej, po czym zabrałem się do dzieła.

Stwierdziłem, iż miękka żółta tarcza brzuszna daje się łatwo zdjąć w porównaniu z tarczą brzuszną żółwia słodkowodnego, którą przepiłowywałem trzy kwadransy. Po podcięciu tarczy podniosłem ją, jak pokrywkę z garnka, i zobaczyłem obnażone przede mną wszystkie cudowne tajniki wewnętrznych organów żółwia, wielobarwne i niewątpliwie nieco woniejące. Tak pochłaniała mnie ciekawość, że nawet nie zwróciłem uwagi na ten zapach. Psy jednak, które zazwyczaj uważały świeże krowie łajno za idealne perfumy, dodające pikanterii ich życiu seksualnemu, teraz czmychnęły jak niepyszne, kichając gwałtownie. Stwierdziłem, ku wielkiej radości, że żółw jest samicą i że ma wewnątrz ogromną ilość niemal uformowanych jaj, wielkości piłeczek pingpongowych, miękkich, krągłych i pomarańczowych jak nasturcja. Było ich czternaście; wydobyłem je ostrożnie i ułożyłem w lśniącym lepkim szeregu na płytach kamiennych prowadzących do domu. Okazało się, że żółw ma kolosalne ilości jelit, postanowiłem więc wymierzyć dokładnie i zapisać długość tego zdumiewającego mechanizmu w moim zakrwawionym już notesie. Za pomocą skalpela odciąłem jelito od odbytnicy i zacząłem je wyciągać. Wydawało się nieskończone, ale po pewnym czasie miałem je już w całości na werandzie, ułożone w pętli i zawijasy niby pijana linia kolejowa. Częścią tego przewodu był żołądek, ohydny, szarawy worek wypełniony wodą jak balon. Zawierał niewątpliwie ostatni posiłek żółwia, pomyślałem więc, że w imię nauki winienem sprawdzić, co zwierzę spożywało przed swoim zejściem śmiertelnym. Wbiłem skalpel w wielki galaretowaty kopczyk i zrobiłem próbne cięcie. Natychmiast cały worek opadł sflaczały z ohydny przypominającym westchnieniem dźwiękiem, a z jego wnętrza wzbił się zapach, przy którym wszystkie inne zapachy bladły i traciły jakiegokolwiek znaczenie. Nawet ja, tak ze wszystkim pochłonięty badaniami, odchyliłem się i kaszląc musiałem się wycofać i poczekać, aż zapach osiadzie.

Wiedziałem, że przed powrotem rodziny z miasta zdążę uprzątnąć werandę, ale w podnieceniu całkiem zapomniałem o tym, że Leslie odbywa rekonwalescencję w saloniku. Zapach wnętrza żółwia, tak intensywny, że można go było niemal krajać nożem, wpłynął do wnętrza przez francuskie okno i owionął kanapkę, na której spoczywał mój brat. Mrożący krew w żyłach ryk, jaki się stamtąd dobył, był pierwszą zapowiedzią katastrofy. Nim zdążyłem zrobić cokolwiek sensownego, w oknie ukazał się Leslie zakutany w koce.

– Co to za cholerny smród? – zapytał chrapliwie. Potem wzrok jego padł na rozczłonkowanego żółwia i jego organy wewnętrzne pięknie ułożone na płytach chodnika, i oczy wyszły mu z orbit, a twarz przybrała barwę heliotropu. – Co to za świństwo?

Odparłem, nieco nieśmiało, że właśnie dokonuję sekcji żółwia. To samica, ciągnąłem spiesznie, mając nadzieję, że porwę Lesliego szczegółami. Tu oto widzi fascynujące jaja, które wyjąłem jej z brzucha.

– Niech diabli wezmą jej jaja! – zakrzyknął Leslie, co za brzmiało jak jakieś dziwne, średniowieczne przekleństwo. – W tej chwili zabieraj stąd to paskudztwo! Cały dom śmierdzi!

Powiedziałem, że już doprowadziłem sekcję niemal do końca i właśnie zamierzałem zakopać wszystkie części miękkie, a zachować jedynie szkielet i skorupę, które dołączę do moich zbiorów.

– Ani mi się waż! – wrzeszczał Leslie. – Masz zabrać w tej chwili całe to świństwo i wszystko zakopać. Potem możesz wrócić i porządnie wyszorować werandę.

Zwabiona krzykiem kucharka, Lugarecja, ukazała się we francuskim oknie koło Lesliego. Otworzyła usta, by spytać, o co ta rodzinna sprzeczka, kiedy uderzyła w nią woń zółwia. Lugarecja zawsze cierpiała na kilkanaście chorób naraz i pielęgnowała je troskliwie, tak jak niektórzy ludzie pielęgnują kwiatki w skrzynkach czy pekińczyki. W tym akurat czasie dolegał jej żołądek. W rezultacie sapnęła słabowicie kilka razy, jak ryba, wydała stłumiony okrzyk: „Święty Spirydionie!” i padła w ramiona Lesliego w dobrze udanym omdleniu.

I w tym właśnie momencie, ku mojemu przerażeniu, samochód wiozący resztę rodziny podjechał pod werandę i stanął.

– Jak się macie, moi kochani – mówiła matka wysiadając i podchodząc do schodków. – Jak wam minął ranek?

Nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, uprzedził mnie zółw. Matka wydała kilka dziwnych przypominających czkawkę okrzyków, wyciągnęła chusteczkę i przyłożyła do nosa.

– Co to za straszny zapach? – spytała niewyraźnie.

– To ten cholerny smarkacz! – ryczał Leslie z okna daremnie próbując oprzeć jęczącą Lugarecję o framugę.

Larry i Margo, którzy szli za matką, zobaczyli nagle pokrajanego zółwia.

– Co... – zaczął Larry, ale przerwał mu nagły atak kaszlu.

– Znów ten przeklęty smarkacz! – wycharczał.

– Tak, kochanie – przytaknęła matka. – Leslie mi to właśnie powiedział.

– Ohydne – mówiła Margo wachlując się chustką. – Wygląda jak wypadek kolejowy.

– A co to jest, kochanie? – spytała matka.

Wyjaśniłem, że jest to niezwykle interesujący zółw szylkretowy, samica, która miała jajka.

– Ale przecież nie musiałeś jej ćwiartować na ganku? – mówiła matka.

– Ten chłopak oszalał – zapewnił ją Larry z przekonaniem. – Cały dom śmierdzi, jak zapaskudzony statek wielorybiczny.

– Sądzę, że będziesz to musiał gdzieś zabrać – powiedziała matka. – Nie może być takich zapachów na werandzie.

– Każ mu zakopać to świństwo – wołał Leslie otulając się szczelnie w koce.

– Czemu go nie oddasz Eskimosom, może go zaadoptują! – podsunął Larry. – Dla nich

przecież tran, pędraki i różne takie świństwa to największy przysmak.

– Larry, jesteś obrzydliwy – pisnęła Margo. – Nie mogą przecież jadać takich rzeczy. Na samą myśl o tym robi mi się niedobrze.

– Chyba powinniśmy wejść do środka – powiedziała słabowitym głosem matka. – Może tam nie będzie tak bardzo pachniało.

– Jeśli jest jakaś różnica, to tylko na gorsze – wrzeszczał Leslie z okna.

– Gerry, kochanie, musisz to uprzątnąć – matka przechodziła ostrożnie pomiędzy wnętrznościami żółwia – i zdezynfekować płyty chodnika.

Rodzina weszła do domu, a ja zabrałem się do usuwania żółwia z werandy. Z wnętrza dochodziły mnie gniewne głosy.

– Przekleństwo z tym szczeniakiem – mówił Leslie. – Leżę sobie spokojnie i czytam, a tu nagle jak mnie nie chwyci za gardło!

– Obrzydliwe – zgodziła się Margo. – Nic dziwnego, że Lugarecja zemdłała.

– Najwyższy czas zmienić mu nauczyciela – twierdził Lany. – Wychodzisz z domu na pięć minut i nim zdążysz wrócić, już ci patroszy jakiegoś Moby Dicka.

– Jestem pewna, że nie chciał zrobić nic złego – uspokajała ich matka – tylko postąpił nieroztropnie, krając go na werandzie.

– Nieroztropnie! – szydził Lany. – Przez najbliższe pół roku będziemy się snuć po tym domu w maskach gazowych.

Władowałem szczątki żółwia na taczki i zawiozłem na szczyt pagórka za naszą willą. Tu wykopałem dół, wrzuciłem wszystkie miękkie części, a pancierz i szkielet położyłem przy zaprzyjaźnionym mrowisku, gdzie mrówki już kilka razy okazały się bardzo pomocne czyszcząc starannie szkielety. Największym stworzeniem, na jakie się dotąd porwały, była wielka zielona jaszczurka, ciekaw więc byłem, co też zrobią z żółwiem. Podbiegły do niego skwapliwie wymachując czułkami, zatrzymały się na chwilę, odbyły krótką naradę, po czym nastąpił zbiorowy odwrót. Widać nawet mrówki były przeciwko mnie. Wróciłem do willi przygnębiony.

Tu zastałem chudego, skamlącego człowieczka, którego najwidoczniej wino natchnęło duchem bojowym, bo wyklócał się o coś z Lugarecją na wciąż jeszcze woniejącej werandzie. Zapytałem, czego on chce.

– Powiada – wyjaśniła z szyderstwem w głosie Lugarecja – że Roger dusi mu kury.

– Indyki – poprawił mężczyzna. – Indyki.

– No, więc indyki – ustąpiła łaskawie Lugarecja.

Poczułem rozpacz w sercu. Jedno nieszczęście za drugim.

Wiadomo nam było, że Roger miał godny najwyższego potępienia zwyczaj duszenia kur. Na wiosnę i w lecie robił sobie niewinną rozrywkę goniąc jaskółki. Doprowadzały go do apoplektycznej wściekłości, gdy smykały mu tuż nad nosem i szybowały nisko nad ziemią,

niemał przy jego pysku, a on gonił je, szalał, jeżył sierść i zaszczekiwał się ze złości. Kury wiejskie chowały się zwykle w krzakach mirtu i zawsze, kiedy przebiegał mimo, wyskakiwały mu prosto pod nogi trzepocząc rozgłośnie skrzydłami i gdacząc nieprzytomnie. Roger był na pewno przekonany, że te kury to jakieś nieudaczne jaskółki, z którymi może się wreszcie zmierzyć i, mimo naszych okrzyków protestu, rzucał się na nie i dusił jednym kłapnięciem zębów, wkładając w tę czynność całą swą nienawiść do tych utrapionych wiosennych jaskółek. Żadne kary nie odnosiły skutku. Na ogół był to wyjątkowo posłuszny pies, z tym jednym jedynym wyjątkiem. Pozostawało nam płacić właścicielom za zabite kury, pod warunkiem, że dostarczą nam ciało ofiary – jako dowód zbrodni.

Ociągając się, wszedłem do domu, żeby zawiadomić zebraną tam rodzinę, iż Roger znowu działał.

– Chryste Panie – jęknął Leslie podnosząc się z trudem na nogi. – Ty i te twoje kretyńskie bydłeta!

– Ależ, kochanie – uspokajała go matka – przecież Gerry nic nie może na to poradzić, że Roger dusi kury.

– Indyki – poprawił ją Leslie. – Założę się, że będzie chciał za nie o wiele drożej.

– Czy wyszorowałaś już werandę, synku? – dopytywała się matka.

Lany zdjął wielką chustkę do nosa nasiąkniętą wodą kolońską, którą okrywał sobie twarz.

– A czy ten zapach świadczy, że on wyszorował werandę?

Zapewniłem ich spiesznie, że właśnie miałem to zrobić, i wyszedłem za Lesliem zobaczyć, jaki będzie rezultat jego rozmowy z właścicielem indyków.

– No więc – zaczął wojowniczo Leslie wkraczając na werandę – czego chcecie?

Jegomość płaszczyl się, uniżony, pokorny, obrzydliwy.

– Bądź szczęśliwy, *kyrie*, bądź szczęśliwy – powitał Lesliego.

– Bądź szczęśliwy – burknął Leslie tonem, który dowodził, że życzy owemu człeczynie wszystkiego, tylko nie tego. – Czego ode mnie chcecie?

– Moje indyki – jęczał przybysz. – Przepraszam, że cię trudzę, panie, ale moje indyki! Twój pies je podusił!

– A ile ich było?

– Pięć, *kyrie!* – jegomość z rozpaczą potrząsał głową. – Pięć moich najpiękniejszych indyków. Jestem biedny człowiek, *kyrie*, inaczej aniby mi w głowie nie powstało...

– Pięć – powtórzył Leslie, zdumiony, i przeniósł na mnie pytający wzrok.

Odpowiedziałem, że to całkiem możliwe. Jeśli bowiem pięć rozhisteryzowanych indyków wyskoczyło nagle z mirtowych krzaków, to wcale niewykluczone, że Roger podusił je wszystkie. Ten dobroduszny, przyjacielski pies był bezlitosnym mordercą, jak już się do tego zabrał.

– Roger to dobry pies – oznajmiła Lugarecja wojowniczo.

Przyłączyła się do nas na werandzie i najwyraźniej odczuwała do właściciela indyków taką samą odrazę jak ja. Poza tym w jej oczach Roger był niezdolny do złego.

– No cóż – mruknął Leslie filozoficznie – jak zabił pięć indyków, to zabił pięć indyków. Nic na to nie poradzimy. Takie jest życie. Gdzie są trupy?

Nastąpiła chwila milczenia.

– Trupy, *kyrie*? – zapytał przybysz niepewnie.

– Trupy, trupy – powtórzył niecierpliwie Leslie. – Rozumiecie, trupy zabitych indyków. Wiecie, że nie możemy płacić, jeśli nie pokażecie nam zabitych ptaków.

– Ale to niemożliwe – oznajmił zdenerwowany właściciel indyków.

– Co to znaczy: niemożliwe? – pytał Leslie.

– Nie jest możliwe, żebym przyniósł zabite ptaki, *kyrie* – oświadczył jegomość w przyływie natchnienia – ponieważ twój pies je zjadł.

To oświadczenie wywołało gwałtowną reakcję. Wszyscy wiedzieliśmy dobrze, że Roger jest trochę przekarmiony i bardzo wybredny. Potrafił zadusić kurę, ale nic by go nie mogło zmusić do zjedzenia jej potem.

– To kłamstwo, kłamstwo – krzyczała Lugarecja, a w oczach jej lśniły łzy przejęcia. – To dobry pies!

– Nigdy w życiu nie zjadł tego, co zadusił – wrzeszczał Leslie. – Nigdy w życiu!

– Ale moich pięć indyków – upierał się człeczyna. – Przecież on zjadł wszystkie pięć.

– A kiedy to było? – ryczał Leslie.

– Dziś przed południem, *kyrie* – mówił jegomość robiąc na piersi znak krzyża. – Widziałem to na własne oczy, zjadł wszystkie.

Przerwałem w tym miejscu, by powiedzieć, że Roger był całe przedpołudnie ze mną na Chatce-Chybatce i chociaż to pies bardzo inteligentny, nie mogę sobie wyobrazić, by potrafił zjeść kolosalną ilość indyków w zagrodzie tego człowieka i jednocześnie być ze mną na łodzi.

Leslie miał bardzo wyczerpujące przedpołudnie. Przecież chciał poleżeć w spokoju na kanapce ze swoim podręcznikiem balistyki, a najpierw o mało nie został zatruty na skutek moich badań naukowych w dziedzinie anatomii wewnętrznej żółwia, a teraz jeszcze musi stawić czoła małemu pijaczynie, który próbuje nas oszukać na pięć indyków. Jego zapalny charakter, nad którym nigdy nie panował w pełni, wziął górę nad wszystkim.

– Jesteś dwulicowy łgarz i oszust – wycharczał Leslie. Mały człowieczek cofnął się i zbladł.

– To ty jesteś dwulicowy łgarz i oszust – oznajmił z pijacką wojowniczością. – Ty jesteś łgarz i oszust. Pozwalasz, żeby twój pies dusił ludziom kury i indyki, a jak ludzie do ciebie przychodzą o odszkodowanie, to nie chcesz płacić! Sam jesteś oszust i łgarz.

Nawet jeszcze teraz rozsądek mógł wziąć górę, ale mały człowieczek popełnił fatalny błąd.

Splunął obficie i bryzgliwie pod nogi Lesliego. Lugarecja wydała piskliwy okrzyk przerażenia i złapała Lesliego za jedną rękę. Znajac temperament mego brata przytrzymałem go za drugą. Człowieczek, którego strach nagle jednak otrzeźwił, cofnął się. Leslie dygotał jak wulkan, a ja z Lugarecja wczepiliśmy się w niego silnie i zajadle.

– Ty świńsku gnoju! – ryczał Leslie. – Ty nieprawy synu syfilitycznej prostytutki!

Wspaniałe greckie przekleństwa toczyły się obficie, biologiczne i ordynarne, a człeczyna stawał się z bladego różowy, a z różowego czerwony. Najwidoczniej nie był świadom, że Leslie posiada taki zasób dorodnych greckich obraźliwych zwrotów.

– Jeszcze pożałujesz – wyjąkał. – Jeszcze pożałujesz! – znowu splunął z patetycznym wyzwaniem, potem zawrócił na pięcie i czmychnął ścieżką.

Zabrało nam trzy kwadransy, by wspólnym wysiłkiem całej rodziny, przy pomocy Lugarecji i kilku kieliszków brandy, doprowadzić wreszcie Lesliego do równowagi.

– Niech się pan nim nie denerwuje, *kyrie* Leslie – podsumowała wreszcie Lugarecja całą sprawę – bo wszyscy w całej wsi wiedzą, że to nicpoń. Niech się pan nie denerwuje.

Musieliśmy jednak dalej się denerwować, w rezultacie bowiem pijaczyna pozwał Lesliego do sądu za niepłacenie należności i obrazę.

Spiro, usłyszawszy o tym, wpadł we wściekłość. – Słowo daję, pani Durrell – mówił – dlaczego pani zawadza, żeby panicz Leslie zastrzelił tego łobuza?

– Nie sądzę, Spiro, by to mogło rozwiązać problem – tłumaczyła matka. – Chcielibyśmy tylko wiedzieć, czy ten człowiek ma jakąkolwiek szansę wygrania sprawy.

– Wygrania! – zakrzyknął szyderczo Spiro. – Ten sukinsyn nie ma żadnego wygrania! Niech się pani na mnie wypuści, już ja się z nim załatwię.

– Proszę, Spiro, żebyś nie robił nic pochopnie – tłumaczyła matka – bo to tylko pogorszy sprawę.

– Nie będę nic robił, pani Durrell, tylko się załatwię.

Przez kilka dni chodził z ponurą i tajemniczą miną, krzaczaste brwi ściągał w zmarszczone potworne skupienia, na pytania odpowiadał monosylabami. Pewnego dnia, mniej więcej na dwa tygodnie przed terminem rozprawy sądowej, pojechaliśmy wszyscy do miasta na sprawunki. Zmęczeni dokonanymi zakupami zasiedliśmy na szerokiej wysadzonej drzewami Esplanadzie i popijając gawędziliśmy z wieloma przechodzącymi znajomymi. W pewnej chwili Spiro, który rozglądał się wciąż ukradkiem, jak człowiek spodziewający się zewsząd ataku wroga, nagle zeszywniał. Wciągnął ogromny brzuch i pochylił się przez stół.

– Paniczu Leslie, widzi panicz tego, co ma siwe włosy?

– Tak, a o co chodzi? – spytał Leslie.

– To pan sąd – odparł Spiro.

– Jaki sąd? – zdumiał się Leslie.

– Ten, co nas będzie sądził. Niech panicz się z nim porozmawia.

– Myślisz, że to ma sens? – powątpiewał Lany. – Przecież jeśli uzna, że próbujesz wpływać na bezstronność sądu, to ci wlepi dziesięć lat albo i więcej.

– Ale skąd – zachnął się Spiro. – On nie wlepi panicza Leslie. Jemu jest za dobrze w głowie, żeby go wlepić, jak ja tu jestem.

– Ale mimo to, nie sądzisz, Spiro, że on się nieco zdziwi, jeśli Leslie zacznie z nim ni stąd, ni zowąd rozmawiać? – pytała zaniepokojona matka.

– Ale skąd – obruszył się Spiro. Rozejrzał się wokół, jakby się chciał upewnić, że nikt nie podsłuchuje, po czym pochylił się i szepnął: – On zbiera znaczki.

Wszyscy spojrzeli na niego ze zdumieniem.

– Chcesz powiedzieć, że jest filatelistą? – spytał Larry.

– Ale skąd, paniczu! – oburzył się Spiro. – To żonaty człowiek i ma dwoje dzieci. On nie taki!

Cała rozmowa stawała się jeszcze bardziej niezrozumiała niż wszystkie, które normalnie prowadziliśmy ze Spiro.

– A co wspólnego – pytał cierpliwie Leslie – ma jego zbieranie znaczków z moją sprawą?

– Ja panicza do niego przedstawię – oznajmił spokojnie Spiro po raz pierwszy ujawniając swój plan w całej makiawelskiej zawłości – a panicz mu obieca znaczki z Anglii.

– Ależ to jest przekupywanie sądu – zawołała Margo, wstrząśnięta.

– Nie żadne kupowanie – zapewnił ją Spiro. – On zbiera znaczki. On chce mieć znaczki.

– Przypuszczam, że jeśli spróbujesz go przekupić znaczkami, wlepi ci z pięćset lat ciężkich robót – tłumaczył logicznie Larry.

Zapytałem skwapliwie, czy, jeśli Leslie zostanie skazany, to go wyślą na Vido, gdzie jest kolonia karna na małej wysepce, leżącej pół mili od miasta na roziskrzonym morzu.

– Nie, nie, kochanie – matka była coraz bardziej zdenerwowana. – Leslie nie będzie zesłany na Vido.

Przyjąłem to z pewnym rozczarowaniem. Miałem już jednego przyjaciela więźnia, który odsiadywał na Vido karę za zamordowanie żony. Był tak zwanym „nienagannym”, więc pozwolono mu zbudować łódź i pływać na weekendy do domu. Podarował mi potworną czarnodziobą mewę, która była postrachem zarówno moich zwierząt, jak rodziny. Wydawało mi się, że chociaż bardzo fajnie jest mieć za przyjaciela prawdziwego mordercę, byłoby o wiele lepiej, gdyby Leslie został zesłany na Vido i przyjeżdżał do domu na weekendy. Mieć brata więźnia – to byłoby coś naprawdę oryginalnego.

– Nie wydaje mi się, żeby mogło się coś złego stać, jak do niego pójde i pogadam – powiedział wreszcie Leslie.

– Ja bym tam nie chodziła – oznajmiła Margo. – Pamiętaj, komu się noga powinie, temu nikt

ręki nie poda.

– Doprawdy, sędzę, że powinieneś uważać – powiedziała matka.

– Widzę już, widzę – rozkoszował się Lany. – Leslie zakuty w kajdany, Spiro zapewne też, jako współnik. Margo robi im na drutach ciepłe skarpetki na zimę, mama zaś wysyła paczki z żywnością i płynem przeciw wszom.

– Och, przestań, Lany – rozgniewała się matka. – Naprawdę nie ma z czego żartować.

– Pan nie ma nic do roboty, tylko iść i rozmawiać – przekonywał go Spiro z powagą. – Słowo daję, jak nie, to ja się nie załatwię.

Spiro nigdy nas dotąd nie zawiódł. Rady jego zawsze były słuszne, a nawet jeśli nie ze wszystkim zgodne z literą prawa, jakoś nie mieliśmy z tego powodu kłopotów.

– Dobra – podjął decyzję Leslie. – Ryzykujemy.

– Proszę cię, kochanie, uważaj – mówiła matka, gdy Leslie i Spiro wstawali i ruszali w kierunku sędziego.

Ten przywitał ich sympatycznie i przez następne pół godziny siedzieli popijając z nim kawę, a Leslie gadał swoją potoczystą, acz niezbyt gramatyczną greczyzną. Wreszcie sędzia wstał i odszedł pożegnawszy się z nimi bardzo serdecznie i z szacunkiem. Wrócili do naszego stolika, gdzie czekaliśmy w napięciu na wiadomości.

– Uroczy staruszek – oznajmił Leslie. – Ze świecą szukać drugiego tak miłego. Obiecałem mu zdobyć trochę znaczków. Czy znamy w Anglii kogoś, kto zbiera znaczki?

– Cóż, twój ojciec zbierał – powiedziała matka. – Był zapalonym filatelistą.

– Pani Durrell, niech pani nie mówi coś takiego! – zgorszył się szczerze Spiro.

Nastąpiła krótka przerwa, podczas której cała rodzina wyjaśniała mu znaczenie słowa filatelista.

– W dalszym ciągu nie widzę, jak ci to może pomóc – podjął Larry. – Nawet jeśli go zasypiesz najcenniejszymi znaczkami.

– Niech pana o to głowa nie pęka, paniczu Larry – mówił tajemniczo Spiro. – Powiedziałem, że go urządzę, to urządzę.

Przez kilka następnych dni Leslie, przekonany, iż Spiro potrafi wpłynąć na bezstronność sądu, pisał do wszystkich znajomych w Anglii i prosił o znaczki. W rezultacie przychodząca do nas poczta zwiększyła się trzykrotnie i praktycznie biorąc każdy wolny kąt w domu zavalony był znaczkami, które, za najłżejszym podmuchem wiatru fruwały po pokoju jak liście jesienne ku jazgotliwej, rozszczekanej radości psów. Wiele znaczków przybrało szybko bardzo zużyty wygląd.

– Chyba nie zamierzasz dać mu tych? – mówił pogardliwie Larry patrząc na stos wymiętoszonych, na wpół zeżartych znaczków, które przed pół godziną Leslie wyrwał z pyska Rogera.

– Znaczkę powinny być stare, no nie? – odparł wojowniczo Leslie.

– Może stare, ale na pewno nie tak uślinione, żeby facet dostał wścieklizny.

– Słuchaj, jeśli potrafisz znaleźć jakieś lepsze wyjście, to czemu nie znajdziesz?

– Mój drogi, mnie jest wszystko jedno. Ale jak sędzia zacznie latać po mieście i gryźć swoich kolegów, a ty będziesz gnął w greckim więzieniu, to nie miej do mnie pretensji.

– Ja cię proszę tylko o jedno: pilnuj swojego zakichanego nosa! – wrzasnął Leslie.

– Ależ, kochanie – uspokajała go matka – Larry chce ci pomóc.

– Akurat, pomóc! – warczał Leslie rzucając się ku nowej porcji znaczków, które wiatr właśnie zdmuchnął ze stołu. – Po prostu wtrąca się w nie swoje sprawy, jak zwykle.

– No cóż – matka poprawiła okulary na nosie – moim zdaniem w tym, co mówi Larry, jest trochę racji. Przecież niektóre z tych znaczków doprawdy wyglądają... na mocno używane...

– Chce znaczków i, do cholery, będzie miał znaczki – oznajmił Leslie.

I nieszczęsny sędzia otrzymywał znaczki zdumiewająco różnorodne pod względem rozmiaru, kształtu, koloru i stanu rozpadu.

Potem zdarzyło się coś jeszcze, co niezmiernie wzmogło ufność Lesliego w wygraną. Dowiedzieliśmy się, że ów właściciel indyków, którego Larry uparcie nazywał Indykopulos, był na tyle nieroztropny, że podał Lugarecję na świadka oskarżenia. Lugarecja była wściekła i chciała odmówić, ale przekonaliśmy ją wreszcie, by tego nie robiła.

– Pomyśleć tylko, że ten człowiek wzywa mnie na świadka, żebym była po jego stronie – mówiła. – Niech się pan nic nie martwi, paniczku Leslie. Już ja im powiem, co on zrobił, że pan musiał aż kląć i wyzywać go od...

Cała rodzina podniosła się jak jeden mąż i krzykliwie poinformowała Lugarecję, że tego właśnie nie wolno jej robić. Trzeba było pół godziny wbijać jej w głowę, co powinna mówić, a czego nie powinna. Pod koniec osłabiliśmy wszyscy, jako że Lugarecja, jak większość mieszkańców Korfu, nie była najmocniejsza w logice.

– No cóż, przy takim świadku oskarżenia – powiedział Larry – możesz chyba liczyć na karę śmierci.

– Ależ, kochanie, nie mów takich rzeczy – błagała matka. – To naprawdę wcale nie jest zabawne, nawet jako dowcip.

– To nie jest dowcip – zapewnił ją Larry.

– Bzdura – odparł niepewnie Leslie. – Na pewno wszystko pójdzie dobrze.

– Myślę, że byłoby o wiele bezpieczniej przebrać Margo za Lugarecję – zawyrokował nagle Lany. – Ze swoją biegłą i potoczystą greczyzną wyrządzi ci pewno mniej szkody niż Lugarecja.

– Racja – podnieciła się Margo po raz pierwszy uznając bystrość Larry'ego. – Czemu bym ja nie miała być świadkiem?

– Nie bądź idiotką – warknął Leslie. – Przecież ciebie przy tym nie było. Jakże mogłabyś

zeznawać?

– Byłam prawie przy tym. Byłam w kuchni.

– Tego ci tylko trzeba – zwrócił się do Lesliego Larry. – Margo z Lugarecja na ławie świadków i już nawet sędziego nie będzie potrzebny. Po prostu tłum cię zlincuje.

Kiedy zaświtał dzień sądu, matka zwołała rodzinę.

– Przecież to śmieszne, żebyśmy wszyscy jechali – oponował Larry. – Jeśli Leslie pcha się do więzienia, to jego sprawa. Nie rozumiem, dlaczego i nas w to wciągać. Poza tym właśnie dzisiaj mam ochotę pisać.

– Naszym obowiązkiem jest pojechać – oświadczyła stanowczo matka. – Musimy śmiało stawić wszystkim czoło. Nie chcę, by ludzie sądzili, że wychowałam gromadę przestępców.

Ubraliśmy się więc wszyscy odświętnie i siedzieliśmy, czekając, aż przyjedzie Spiro i zabierze nas do sądu.

– Niech paniczka o nic głowa nie pęka – mówił ponuro z miną dozorca w celi śmierci. – Wszystko pójdzie jak po płątku.

Ale wbrew temu Lany uparł się, żeby przez całą drogę do miasta recytować „Balladę o więzieniu w Reading” ku wściekłości Lesliego.

Sala sądowa mrowiała się od bezładnej gromady ludzi. Jedni popijali kawę z małych filiżaneczek, inni przerzucali jakieś stosy papierów, bezcelowo, ale za to z poświęceniem, zewsząd dochodziły gwary i śmiechy. Znajdował się tam również Indykopulos, wystrojony w odświętne ubranie i unikający naszego wzroku. Lugarecja z przyczyn sobie tylko znanych odziana była w czerń. Było to, jak podkreślał Larry, pociągnięcie nieco przedwczesne. Z żalobą należy się wstrzymać do wykonania wyroku.

– A teraz, paniczko Leslie – mówił Spiro – paniczka stanie tam, a ja tu, i ja tłumaczę paniczce.

– A po co? – zdumiał się Leslie.

– Bo paniczka nie mówi po grecku – oznajmił Spiro.

– Doprawdy, Spiro – zaoponował Larry. – Przyznaję, że to nie jest greka Homera, ale przecież całkiem zrozumiała.

– Paniczko Leslie – nachmurzył się z powagą Spiro – nie mówi po grecku.

Nim zdążyliśmy rozwikłać tę zagadkę, rozległo się szuranie nóg i wszedł sędziog. Usiadł, przebiegi wzrokiem po sali, zobaczył Lesliego i uklonił mu się z promiennym uśmiechem.

– Sędziog, którzy lubią wydawać wyroki śmierci, zawsze się tak zachowują – oznajmił Larry.

– Larry, kochanie, przestań – prosiła matka. – Zaczynam się denerwować.

Nastąpiła długa przerwa, podczas której ktoś, kto zapewne był pisarzem sądowym, odczytywał akt oskarżenia. Wezwano Indykopulosa, by zeznawał. Odegrał znakomitą scenę, był jednocześnie oburzony i uniozony, wojowniczy i pojednawczy. Zrobił wyraźne wrażenie na sędziog,

a ja zacząłem odczuwać podniecenie. Może mimo wszystko będę miał brata-więźnia. Potem przysła kolej na Lesliego.

– Jest pan oskarżony – oznajmił sędzia – o zniesławienie i spotwarzenie tego człowieka oraz usiłowanie pozbawienia go należnej mu zapłaty za stratę pięciu indyków, które zadusił pański pies.

Leslie bez wyrazu wpatrywał się w sędziego.

– Co on mówi? – zwrócił się do Spiro.

Spiro podciągnął brzuszek.

– On powiada, paniczu – głos jego rozległ się jak grzmot na sali sądowej. – On powiada, że panicz potwarzył i niesławił tego człowieka i chciał go oszukać na pieniądze za jego indyki.

– To śmieszne – stwierdził stanowczo Leslie.

Już odwracał się na pięcie, kiedy Spiro zatrzymał go podnosząc wielką dłoń. Zwrócił się teraz do sędziego.

– Kyrios zaprzecza oskarżeniu – oznajmił. – Ale i tak nie mógłby być winny, ponieważ nie mówi po grecku.

– Chryste – jęknął grobowo Larry. – Mam nadzieję, że Spiro wie, co robi.

– Co on mówi? Co on robi? – pytała nerwowo matka.

– Z tego, co widzę, zarzuca Lesliemu stryżek na szyję – odparł Larry.

Sędzia, który ryle razy pił kawę z oskarżonym, który tylekroć otrzymywał od niego znaczki i tyle razy rozmawiał z nim po grecku, teraz wpatrywał się w niego obojętnie. Nawet gdyby go nie znał osobiście, musiał wiedzieć, że Leslie włada jako tako tym językiem. Nic, co się działo na wyspie Korfu, nie mogło pozostać tajemnicą, a rzecz jasna, życie prywatne cudzoziemców budziło szczególne zainteresowanie. Wstrzymując oddech czekaliśmy, jak zareaguje na to sędzia. Spiro pochylił ogromną głowę jak byk szykujący się do ataku.

– Rozumiem – powiedział sucho sędzia.

Przez chwilę przerzucał bezcelowo jakieś papiery, wreszcie podniósł wzrok.

– O ile wiem – podjął – oskarżenie ma świadka. Może lepiej byłoby go przesłuchać.

Nadeszła wielka chwila dla Lugarecji. Wstała, złożyła ręce na piersi i wpatrywała się godnie w sędziego; policzki, zazwyczaj blade, teraz jej nieco poróżwiały, a ciepłe, wyraziste oczy żarzyły się płomieniem.

– Świadek nazywa się Lugarecja Condos i pracuje jako kucharka u tych państwa? – zapytał sędzia.

– Tak – odparła Lugarecja. – I nie mógłby pan sędzia znaleźć ze świecą lepszych, hojniejszych ludzi. No, przecież onegdaj dostałam sukienkę dla mnie i dla mojej córki, a zaledwie przed miesiącem czy dwoma poprosiłam *kyrios*...

Aha – przerwał jej sędzia. – Rozumiem. No cóż, to nie ma wielkiego związku ze sprawą.

O ile rozumiem, byłaś przy tym, jak ten człowiek przyszedł w sprawie indyków. Opowiedz mi własnymi słowami, co się wówczas stało. Lany jęknął.

– Jak ona im to opowie własnymi słowami, to już nic nie uratuje Lesliego – stwierdził.

– No więc – tu Lugarecja rozejrzała się po sali sądowej chcąc się upewnić, że skupia na sobie uwagę wszystkich – więc *kyrios* był bardzo chory. Bardzo, bardzo chory. Nawet obawialiśmy się, czy wyżyje. Ja ciągle mówiłam pani, że trzeba postawić banki, ale ona nie chciała o tym słyszeć...

– Czy świadek mógłby mówić o sprawie? – wtrącił sędzia.

– No więc – Lugarecja niechętnie porzuciła ulubiony temat choroby – to był pierwszy dzień, kiedy *kyrios* wstał i był jeszcze słaby. I wtedy ten człowiek – tu wskazała pogardliwie palcem Indykopulosa – przyszedł pijany jak bela i powiedział, że ich pies udusił mu pięć indyków. No, a ten pies nigdy w życiu nie zrobiłby czegoś podobnego, *kyrie* sędzio. Nikt na całym Korfu nie widział milszego, lepszego, szlachetniejszego psa niż ten.

– Pies nie jest tu oskarżony – napomniał ją sędzia.

– No więc – ciągnęła Lugarecja – kiedy *kyrios* powiedział, i słusznie, że musi zobaczyć te zabite indyki, nim zapłaci, ten człowiek oświadczył, że ich nie może pokazać, bo pies zjadł wszystkie pięć. A to już całkiem śmieszne, *kyrie* sędzia sam dobrze wie, bo jaki pies zeżre pięć indyków?

– Zdaje się, że byłaś wezwana jako świadek oskarżenia, co? – zauważył sędzia. – Podkreślam to, bo twoja wersja nie zgadza się z wersją oskarżyciela.

– Jego? – zapytała Lugarecja. – Jemu niech pan sędzia nie wierzy. To pijak i kłamca i wszyscy we wsi dobrze wiedzą, że ma dwie żony.

– Więc świadek powiada – sędzia próbował wyłowić coś z tego mętliku – że *kyrios* nie skłął go po grecku i nie odmówił zapłaty za indyki?

– Pewno, że nie – oburzyła się Lugarecja. – Lepszego, milszego, uczciwszego *kyrios*...

– Tak, tak, już dobrze – przerwał jej sędzia.

Przez chwilę siedział poważnie zamyślony, a my wszyscy czekaliśmy w napięciu, wreszcie podniósł wzrok i spojrzał na Indykopulosa.

– Nie mam żadnych dowodów – stwierdził – że ten Anglik zachowywał się tak, jak to przedstawiliście. Przede wszystkim nie mówi po grecku.

– Mówi, mówi – w głosie Indykopulosa brzmiała wściekłość. – Nazwał mnie...

– Proszę o spokój – przerwał chłodno sędzia. – Więc po pierwsze, jak powiedziałem, nie mówi po grecku. Po drugie, wasz własny świadek zaprzecza, by mu było cokolwiek wiadomo o podobnym incydencie. Wydaje mi się oczywiste, że próbowaliście naciągnąć oskarżonego na pieniądze za indyki, które w rzeczywistości nie zostały ani uduszone, ani zjedzone przez jego psa. Nie wy jednak stoicie przed sądem, wobec tego uznam tylko oskarżonego niewinnym

przestępstwa, a wy musicie pokryć koszty postępowania sądowego.

Rozpętało się piekło. Indykopolos porwał się na nogi, czerwony z wściekłości, krzycząc na cały głos, i wzywając pomocy świętego Spirydiona. Spiro ryczał jak bawół i objąwszy Lesliego całował go w oba policzki. To samo zrobiła rozplakana Lugarecja. Ułynęła dobra chwila, nim zdołaliśmy się wydostać z sali sądowej i w radosnym nastroju pójść na Esplanadę, gdzie zasiedliśmy pod drzewami, by to oblać.

Po chwili zobaczyliśmy przechodzącego koło nas sędziego, wstaliśmy więc wszyscy, by mu podziękować, prosząc, by usiadł przy naszym stoliku i napił się z nami. Odmówił skromnie, a potem wbił w Lesliego przenikliwe spojrzenie.

– Nie chciałbym, aby pan sądził, że na Korfu zawsze się w ten sposób wymierza sprawiedliwość, ale po wyczerpującej rozmowie ze Spiro i po dłuższych rozważaniach doszedłem do wniosku, że pańskie przestępstwo nie było tak wielkie, jak przestępstwo tego człowieka. Mam nadzieję, że to go oduczy na przyszłość oszukiwać cudzoziemców.

– Jestem panu ogromnie wdzięczny, panie sędzio – powie dział Leslie.

Sędzia skłonił się lekko i spojrzał na zegarek.

– Muszę już iść. Aha, i dziękuję bardzo za te znaczki, które mi pan wczoraj przysłał. Znalazłem wśród nich dwa dosyć rzadkie, które są nowością w moich zbiorach.

Uchylił kapelusza i poszedł przez Esplanadę.

Oliwkowa karuzela

Zbiory oliwek zaczynały się jeszcze przed majem. Owoce pęczniały i dojrzewały przez gorące dni, a potem spadały i leżały lśniąć w trawie niby pokos czarnych pereł. Kobiety wiejskie wychodziły gromadnie z puszkami i koszami na głowach. Świergocąc piskliwie jak wróble kucwały wokół pnia oliwki, zbierały owoce i wrzucały do koszy. Niektóre z tych drzew oliwkowych owocowały już od pięciuset lat i od pięciuset lat wieśniaczki kucwały wokół oliwkowych drzew takim samym kręgiem.

Była to wspaniała okazja do żartów i plotek. Przechodziłem od drzewa do drzewa, przyłączając się to do jednej, to do drugiej grupki, i przykucnąwszy, pomagałem zbierać lśniąć oliwki wysłuchując nowinek o wszystkich krewnych i znajomych zbieraczek. Od czasu do czasu brałem również udział w ich posiłku – łączywie pożerałem kwaśny, czarny chleb i malutkie płaskie ciasteczka owinięte w liście wina, a robione z zeszłorocznych suszonych fig. Kobiety śpiewały pieśni, a dziwne, jak te wiejskie głosy, tak ostre i chrypliwe w mowie, potrafią być żałośliwie słodkie, kiedy chórem wzbijają się w niebo. O tej porze roku spośród oliwkowych korzeni zaczynały właśnie wyskakiwać woskowożółte krokusy, zbrocza fioletowiały od kampanuli, kobiety zbite w gromadki pod drzewami wyglądały niby ruchome kwietne rabaty, pieśni zaś odbijały się echem wzdłuż naw prastarych oliwek, niosąc dźwięk tak słodki i melancholijny jak dzwonenie kozich dzwonek.

Kosze wypełnione z czubem owocami dźwigano w górę i długim rozgadany szeregami niesiono do prasy oliwnej. Prasa oliwna, ponury, posepny budynek, znajdowała się w dolinie, którą płynął mały, połyskliwy strumyczek. Prasą rządził Papa Demetrios, żyłasty starzec, poskręcany i przygięty jak drzewo oliwkowe, kompletnie łysy, za to z ogromnymi wąsiskami białymi jak śnieg, wyjąwszy żółte plamy od nikotyny. Fama głosiła, że są to najdłuższe wąsy na całej wyspie Korfu. Papa Demetrios był impetycznym, zrzędlwym staruszkiem, ale z jakichś powodów nabrał do mnie sympatii i zawsze potrafiliśmy świetnie się dogadać. Wpuszczał mnie nawet do swego sanktuarium – do prasy oliwnej.

Tu znajdowało się wielkie krągłe koryto, niczym ogrodowy basen z rybkami, a w nim zamocowany gigantycznych rozmiarów kamień młyński ze sterczącym drewnianym ramieniem. Do tego ramienia zaprzęgnięty był wiekowy koń, który z workiem na łbie, żeby nie dostać kołowacizny, chodził wokół koryta i poruszał w ten sposób wielki kamień, który obracając się miażdżył oliwki wsypywane do środka lśniąca kaskadą. Towarzyszył temu ostry, kwaśny zapach gniecionych owoców. Słysząc było tylko nieprzerwane ciężkie stąpanie końskich kopyt, dudnienie ogromnego kamienia i regularne kapanie oliwy, która wypływała z otworów w korycie, złota jak destylowane słońce.

W jednym kącie pomieszczenia wznosiło się wielkie, czarne, kruche usypisko odpadów

oliwkowych: zgniecione pestki, miąższ i skóra oliwek tworzyły czarne kruche bryły, podobne do szorstkich brył torfu. Wydawały intensywny, kwaśno-słodki zapach, niemal skłaniający do uznania owej masy za rzecz jadalną. Istotnie, dodawano ją do zimowej paszy dla bydła i koni, używano również jako wyjątkowo dobrego, choć nieco zbyt ostrego w zapachu paliwa.

Ze względu na wybuchowy temperament Papy Demetriosia wieśniaczki, które przynosiły oliwki, unikały go jak mogły, i jak najszybciej umykały z budynku. Skąd bowiem można wiedzieć, czy ktoś taki jak Papa Demetrios nie zauroczy człowieka. W rezultacie stary był samotny i chętnie mnie witał w swoim królestwie. Przynosiłem mu najświeższe miejscowe plotki: kto ostatnio rodził, czy na świat przyszedł chłopiec czy dziewczynka, kto do kogo się zaleca, a czasami nawet bardziej smakowite kąski, jak na przykład to, że Pepe Condos został aresztowany za szmugiel tytoniu. W zamian za moją działalność reporterską Papa Demetrios łapał mi różne okazy. Raz była to jaszczurka – jasnoróżowy gekon – innym razem modliszka czy też gąsienica zawisaka oleandrowca, malowana niby perski dywan w pręgi różowe, srebrne i zielone. I właśnie Papa Demetrios zdobył mi jednego z moich najmilszych ówczesnych ulubieńców: ropuszkę-grzebiuszkę, którą nazwałem Augustem Drapibrzuszką. Siedziałem z wieśniaczkami w gaju oliwnym pomagając im zbierać oliwki, kiedy nagle poczułem głód. Wiedziałem, że Papa Demetrios zawsze trzyma w prasie obfite zapasy jedzenia, poszedłem więc złożyć mu wizytę. Był promienny dzień z głośnym roześmianym wiatrem, który brzęczał w gaju oliwnym niby harfa. W powietrzu było coś podniecającego, więc biegłem całą drogę, a przy mnie pędziły psy, skacząc i szczekając. Zadyszany i spocony dotarłem do Papy Demetriosia, który siedział na dworze pochylony nad ogniem z oliwnych wytlóczyn.

– Aha – spojrzał na mnie groźnie – nareszcie przyszedłeś! Gdzieś ty się podziewał? Nie widziałem cię dwa dni. Pewno teraz, jak przyszła wiosna, nie masz już czasu na starego.

Wyjaśniłem mu, że miałem najprzeróżniejsze zajęcia, na przykład musiałem zbić nową klatkę dla moich srok, które właśnie napadły pokój Larry’ego, i życiu ich zagrażało niebezpieczeństwo, póki nie zmajstrowałem tej klatki.

– Aha – mruknął Papa Demetrios. – Hm... Chcesz kukurydzy?

Odparłem najbardziej jak umiałem nonszalancko, że niczego nie pragnę bardziej jak kukurydzy.

Wstał, pokuśtykał na kabłąkowatych nogach do prasy i wrócił niosąc wielką patelnię, kawałek blachy, butelkę oliwy i pięć kolb suszonej kukurydzy, złotobrazowej, przypominającej sztaby złota. Postawił patelnię na ogniu, nalał na nią nieco oliwy i zaczął czekać, aż zaczną mruczeć i skrzyć się, i dymić łagodnie na patelni. Potem chwycił kolbę kukurydzy i gwałtownie wykręcił ją zartretyzmowanymi dłońmi, jakby wyżywał mokry ręcznik, a złote ziarna posypały się na patelnię bijąc o nią jak deszcz o dach. Przykrył ją płaskim kawałkiem blachy, chrząknął, usiadł i zapalił papierosa.

– Słyszałeś o Andreasie Papoyakisie? – zapytał przeczesując palcami sumiaste wąsiska.

– Nie – odparłem. – Nic nie słyszałem.

– Ach! – westchnął z upodobaniem. – Ten głupi chłopak leży w szpitalu.

Powiedziałem, że bardzo mi go żal, bo lubiłem Andreasa. Był to wesoły, życzliwy ludziom, żywy chłopiec, który wciąż musiał robić coś nie tak jak trzeba. Powiadali o nim w wiosce, że gdyby mógł, toby jeździł tyłem na osle. A cóż za nieszczęście, zapytałem, spadło na Andreasa?

– Dynamit – odparł Papa Demetrios i czekał z uwagą na moją reakcję.

Wydałem przeciągły, zatrwożony gwizd i powoli pokiwałem głową. Papa Demetrios, pewny teraz mojej uwagi, rozsiadł się wygodniej.

– No więc, tak to się stało – zaczął. – Wiesz, że to szalony chłopak, ten Andreas. Głowę ma pustą jak gniazdo jaskółki w zimie. Ale to dobry chłopak. Nigdy nikomu nie zrobił nic złego. No więc, pojechał łowić ryby z dynamitem. Znasz tę małą zatoczkę, tam koło Benitses? No więc, popłynął tam łodzią, bo usłyszał, że miejscowy policjant pojechał dalej wzdłuż brzegu na cały dzień. No i, oczywiście, głupi chłopak nie pomyślał na wet, żeby się upewnić i sprawdzić, czy ten policjant naprawdę pojechał dalek brzegiem.

Cmoknąłem współczująco. Za połów z dynamitem dostawało się pięć lat więzienia i ciężką grzywnę.

– No więc – ciągnął Papa Demetrios – wsiadł do swojej łodzi i wiosłował wolno wzdłuż brzegu, kiedy zobaczył na płytkiej wodzie dużą ławicę makreli. Złożył wiosła i zapalił lont.

Papa Demetrios zrobił dramatyczną przerwę, zajął do kukurydzy, by sprawdzić, co tam się z nią dzieje, i zapalił następnego papierosa.

– I wszystko byłoby dobrze – podjął – ale akurat kiedy miał rzucić dynamit, ławica ruszyła, i jak sobie wyobrażasz, co ten idiota zrobił? Zaczął wiosłować z dynamitem w rękę. No i łup!

Powiedziałem, że nie sądzę, by wiele zostało z Andreasa.

– Och, zostało – stwierdził pogardliwie Papa Demetrios. – On nie potrafi zrobić nawet porządnego wybuchu. Miał taką małą laseczkę dynamitu, że tylko mu oberwało prawą dłoń. Ale tak czy inaczej, zawdzięcza życie policjantowi, który nigdzie nie pojechał z inspekcją. Andreas dowiosłował jakoś do brzegu, tam zemdlął z upływu krwi i pewno by umarł, gdyby ten policjant nie usłyszał wybuchu i nie zszedł na brzeg sprawdzić, kto łowi z dynamitem. Na szczęście przejeżdżał akurat autobus i policjant go zatrzymał, zabrali Andreasa i zawieźli do szpitala.

Ogromnie się przejąłem nieszczęściem tego miłego chłopaka. Ale ostatecznie udało mu się dobrze, że w ogóle żyje. Jak wyzdrowieje, to go pewno aresztują i ześlą na pięć lat na Vido.

– Nie – pokręcił głową Papa Demetrios. – Ten policjant powie dział, że jego zdaniem chłopak został dostatecznie ukarany, i że znał w szpitalu, że Andreas wpakował rękę w jakąś maszynę.

Kukurydza zaczęła teraz pękać, strzelając rozkosznie o dno blaszanej pokrywki, jakby ktoś

oddawał salwy z miniaturowej armatki. Papa Demetrios zdjął patelnię z ognia i podniósł pokrywkę. Każde ziarno kukurydziane leżało pęknięte niby żółto-biały obłoczek, chrupkie i smakowite. Papa Demetrios wyciągnął z kieszeni zwitek papieru i rozłożył na kolanie. Na papierze leżały grube ziarna szarej soli morskiej. Zanurzaliśmy w niej nasze kukurydziane obłoczki i chrupaliśmy z rozkoszą.

– Mam tu coś dla ciebie – oznajmił wreszcie stary, wycierając starannie wąsy wielką czerwono-białą chustką. – Jeszcze jeden paskudny zwierzak, do których tak się trzęsiesz.

Wepchnąłem w usta resztkę kukurydzy i otarłszy palce o trawę zapytałem chciwie, co to takiego.

– Zaraz przyniosę – oznajmił wstając. – Bardzo dziwne stworzenie. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś podobnego.

Czekałem niecierpliwie, on zaś poszedł do prasy i wrócił niosąc jakąś starą puszkę, zatkaną z wierzchu liśćmi.

– Masz – wręczył mi ją. – Uważaj, bo śmierdzi.

Wyciągnąłem liściany korek, zajrzałem do środka i stwierdziłem, że Papa Demetrios ma rację, bo śmierdziało czosnkiem jak w wiejskim autobusie w dzień targowy. Na dnie siedziała przycupnięta średnich rozmiarów ropuszka, o dość gładkiej, zielonawobrazowej skórce, olbrzymich bursztynowych oczach i gębie zastygłej w stałym, nieco kretyńskim uśmiechu. Kiedy sięgnąłem ręką do puszki, by ją wydobyć, wpakowała głowę między przednie łapy, wciągnęła wybałuszone oczy w czaszkę w ten dziwny, typowy dla ropuch sposób i wydała ostry, beklawy dźwięk, niby lilipucia owca. Wyjąłem ją z puszki, a ropuszka szamotała się gwałtownie wydzielając okropny czosnkowy zapach. Zauważyłem, że na obu tylnych nogach ma czarne rogowe narośle, łopатовate jak lemiesz. Zachwycony byłem tym nabytkiem, bo poświęciłem dotąd daremnie wiele czasu i energii próbując znaleźć ropuszki-grzebiuszki. Podziękowałem wylewnie Papie Demetriosowi, zaniósłem triumfalnie ropuszkę do domu i zainstalowałem w akwarium w moim pokoju.

Wsypałem około trzech cali ziemi i piasku na dno akwarium, a August – był to bowiem samiec – otrzymawszy imię i nową siedzibę, natychmiast zabrał się do budowania domku. Dziwacznymi ruchami tylnych łap, wyrzucanych do tyłu, szybko wykopał sobie dziurę, w której zniknął prawie cały, z wyjątkiem wybałuszonych oczu i uśmiechniętej gęby.

Wkrótce stwierdziłem, że August jest nieprzeciętnie inteligentnym stworzeniem i ma wiele sympatycznych cech charakteru, które ujawniały się w miarę jak się oswajał. Kiedy wchodziłem do pokoju, August wylazł ze swojej nory i robił rozpaczliwe wysiłki, by dostać się do mnie poprzez szkło akwarium. Jeśli go wyjąłem i położyłem na podłodze, skakał za mną po całym pokoju, a jeśli usiadłem, wdrapywał mi się z wysiłkiem po łydce na kolana, gdzie układał się w najrozmaitszych, bynajmniej nie dostojnych pozach, grzejąc się w ciepłe mego ciała, powoli

przymykał oczy, uśmiechał się do mnie i przełykał ślinę. Wtedy właśnie odkryłem, że lubi leżeć na wznak i uwielbia, jak mu masuję delikatnie palcem brzuszek. Właśnie to niezwykle zachowanie przyniosło mu przezwisko Drapibrzuszek. Stwierdziłem również, że gotów jest śpiewem prosić o jedzenie. Kiedy trzymałem dużą wijącą się glistę nad brzegiem akwarium, August wpadał w szal zachwyty, oczy coraz bardziej wylażyły mu z orbit, wydawał szereg cichych świńskich pochrząkiwań, a wreszcie ten dziwny beklawy okrzyk, jaki rzucił, kiedy go podniosłem za pierwszy raz. Kiedy w końcu dostał glistę, machał energicznie głową jakby dziękował, łapał glistę za jeden koniec i wpychał do gęby dużymi palcami. Każdego gościa częstowaliśmy takim recitalem i wszyscy zgodnie twierdzili, że nie spotkali jeszcze ropuszki posiadającej lepszy głos i repertuar.

W tym mniej więcej okresie Lany wprowadził do naszego domu Donalda i Maxa. Max był niezwykle wysokim Austriakiem o kędzierzawych blond włosach i blond wąsiku, który wisiał mu nad górną wargą niby elegancki motylek, miał też intensywnie niebieskie i zacne oczy, Donald był niski i błądy: jeden z tych Anglików, którzy na pierwszy rzut oka wydają się nie tylko niemi, ale całkowicie wyzbyci indywidualności.

Lany poznał przypadkiem tę niedobraną parę w mieście i z właściwym sobie szerokim gestem zaprosił na drinka. Przyjechali w stanie lekkiego zamroczenia rozlicznymi napojami alkoholowymi o drugiej nad ranem, lecz w tym czasie byliśmy już uodpornieni czy też prawie uodpornieni na znajomych Larry'ego.

Matka położyła się wcześniej, mocno zaziębiona, a reszta rodziny również rozeszła się do swoich pokoi. W całym domu nie spałem tylko ja, czekałem bowiem na Ulissesa, by wrócił do sypialni ze swojej nocnej wyprawy i pożarł kolację złożoną z mięsa i siekanej wątróbki. Leżałem więc i czytałem książkę, kiedy doszedł mnie z daleka niewyraźny odgłos rozchodzący się echem po gajach oliwnych. Z początku sądziłem, że to gromada wieśniaków wracających późno z wesela, i nie zwracałem na to uwagi. Potem kakofonia zaczęła przybierać na sile, a po stukaniu kopyt i brzęku uprzedziłem, że to jacyś zapóźnieni birbanci przejeżdżają w dorożce. Piosenka, jaką śpiewali, nie sprawiała wrażenia greckiej, więc zainteresowałem się, co to za jedni. Wylazłem z łóżka i wychyliłem się z okna usiłując coś dojrzeć przez gałęzie oliwek. W tym właśnie momencie dorożka skręciła z drogi na długi podjazd do naszego domu. Widziałem ją doskonale, bo ktoś, kto siedział na tylnym siedzeniu, najwidoczniej rozpalił w dorożce małe ognisko. Przyglądałem się zdumiony i zaintrygowany, a ognisko migotało i drżało między drzewami na drodze pod nasz ganek.

W tym momencie z nocnego nieba opadł Ulisses niby płynący bezgłośnie puch mlecza i usiłował usiąść na moim nagim ramieniu. Strząsnąłem go i poszedłem po jego talerzyk z jedzeniem, które zaczął pożerać, pogadując coś do siebie cicho i chrapliwie i łyskając na mnie swoimi gwiazdzistymi oczyma.

Tymczasem dorożka zbliżała się powoli, ale niewzruszenie i wreszcie podjechała pod nasz dom od frontu. Wychyliłem się przez okno i oniemiałem z zachwyty.

Na tylnym siedzeniu wcale nie paliło się ognisko. Siedziało tam dwóch jegomości, z których każdy – trzymał w ręku przeogromny srebrny lichtarz z zatkniętymi grubymi białymi świecami, takimi, co to się je kupuje zazwyczaj w kościele jako wotum dla świętego Spirydiona. Śpiewali głośnym duetem i fałszywie, ale bardzo zawadiacko piosenkę z „Dziewczęcia z gór”, starając się wtórować sobie nawzajem.

Porożka zatrzymała się przy schodkach prowadzących na werandę. – W siedemnastej wiośnie... – wzdychał bardzo brytyjski baryton.

– W siedemnastej wiośnie... – podjął drugi śpiewak z mocnym środkowoeuropejskim akcentem.

– Kochał się radośnie – oznajmił baryton wymachując jak szalony świecznikiem – w oczach jak bławatki.

– Jak bławatki – podjął środkowoeuropejski akcent nadając tym prostym słowom posmak tak lubieżny, że trudno sobie wyobrazić.

– A w dwudziestej czwartej... – ciągnął baryton – kochał nie nażarty...

– Nie na żarty... – przyznał żałośnie środkowoeuropejski.

– Oczy innej barwy – oznajmił baryton wykonując tak szalony gest swoim kandelabrem, że świece wypadły z tulejek i posypały się, skwiercząc, na trawę.

W drzwiach mojego pokoju stanęła Margo odziana w obłoki, koronki i coś, co się nazywało kremowym muślinem.

– Cóż to za straszne hałasy? – spytała chrapliwym, oskarżycielskim szeptem. – Wiesz, że mama źle się czuje.

Wyjaśniłem, że te hałasy nie mają żadnego związku ze mną, ale najwyraźniej przyjechali do nas goście. Margo wychyliła się z okna i spojrzała na dorożkę, w której obaj śpiewacy zaczęli następną strofkę piosenki.

– Przepraszam – zawołała stłumionym głosem – czy mogą panowie nie robić takiego hałasu? Moja matka jest chora.

Natychmiast w dorożce zapanowała cisza, po czym chuda jak tyka postać dźwignęła się niepewnie na nogi. Śpiewak, wzniosłszy w górę świecznik, popatrzał z powagą na Margo, wychylającą się z okna.

– Wykluczone, łaskawa pani – oznajmił grobowo. – Wykluczone przeszkadzać mamusia.

– Oczywiście – przytaknął mu zaraz angielski głos z wnętrza dorożki.

– Co to za jedni, jak myślisz? – spytała mnie przejętym szeptem Margo.

Odparłem, że dla mnie sprawa jest oczywista: to z pewnością znajomi Larry’ego.

– Czy panowie są znajomymi mojego brata? – pytała jedwabistym głosem Margo z okna.

– Niezwykle szlachetny człowiek – odparł ten wysoki wymachując cały czas świecznikiem.
– Zaprosił nas na drinka.

– Eeeem... chwileczkę, zaraz schodzę – powiedziała Margo.

– Patrząc panią z bliska będzie spełnieniem ambicji mego życia – oznajmił ten wysoki kłaniając się nieco niepewnie.

– Oglądać panią – poprawił go spokojny głos z głębi dorożki.

– Zejdę na dół – powiedziała do mnie Margo – wpuszczę ich do środka i przypilnuję, żeby byli cicho, a ty leć i obudź Larry’ego.

Wciągnąłem krótkie spodnie, porwałem bezceremonialnie Ulissesa, który z przymkniętymi oczyma trawił zjedzony posiłek, podszedłem do okna i wyrzuciłem na dwór.

– Niesamowitość – mówił wysoki mężczyzna śledząc wzrokiem Ulissesa, który płynął nad osrebrzonymi księżycem wierzchołkami oliwek. – Jak u Drakuli, co, Donald?

– Wypisz wymaluj – zgodził się Donald.

Pognałem korytarzem i wpadłem do pokoju Larry’ego. Trochę czasu zajęło mi otrząśnięcie go ze snu, bowiem, przekonany, że matka rozsiewa wokół niego bakterie kataru, zażył prewencyjnie pół butelki whisky przed pójściem do łóżka. Wreszcie otumaniony usiadł i spojrzał na mnie.

– Czego chcesz, do jasnej cholery? – zapytał. Wy tłumaczyłem mu, że przyjechali dorożką jacyś dwaj jego moście i powiadają, że zostali zaproszeni na drinka.

– Chryste! – jęknął Larry. – Powiedz im, że wyjechałem do Dubrownika.

Wyjaśniłem, że nie bardzo mogę to zrobić, jako że Margo już ich zwabiła do wnętrza, a nie wolno niepokoić matki, która jest przecież cierpiąca. Lany, jęcząc, wylażł z łóżka, włożył szlafrok i pantofle i razem zeszliśmy po skrzypiących schodach do saloniku, gdzie Max, kościsty, wysoki i dobroduszny mężczyzna, jak długi wyciągnięty na krześle, wymachiwał ku Margo kandelabrem, z którego wypadły wszystkie świece. Na drugim krześle siedział ponury i zgarbiony Donald, niby pomocnik przedsiębiorcy pogrzebowego.

– Twoje oczy jak bławatki – mówił Max kiwając ku Margo długim palcem. – Myśmy śpiewały o oczach jak bławatki, co, Donald?

– Myśmy śpiewali – poprawił Donald.

– Tak powiedziałem – odparł dobrodusznie Max.

– Powiedziałaś: myśmy śpiewały. Max zastanawiał się nad tym chwilę.

– Tak czy tak – zdecydował wreszcie – oczy były bławatki.

– Oczy były jak bławatki – poprawił Donald.

– Och, jesteście – przywitała nas Margo nieco zadyszczonym głosem. – To chyba twoi przyjaciele, Lany.

– Lany! – zakrzyknął Max podrywając się chwiejnie z niezdarnym wdziękiem żyrafy. –

Przyszliliśmy na zapraszanie.

– Jak to miło z waszej strony! – Lany przymusił swoje zmięte od snu oblicze do czegoś, co miało być ujmującym uśmiechem. – Czy możecie mówić trochę ciszej, bo moja matka jest chora?

– Mamusia – oznajmił Max z najgłębszym przekonaniem – to najważniejsza osoba na świecie.

Odwrócił się do Donalda, położył długi palec na wąsach i szepnął: – Ciiiiii – tak głośno, że Roger, który zdążył już zapaść w błogi sen, natychmiast porwał się na nogi i zaczął ujadać jak szalony. Zbój i Szachraj przyłączyli się wściekłym dwugłosem.

– Fatalne maniery – zauważył Donald. – Goście nie powinni drażnić psów swoich gospodarzy.

Max opadł na kolana i objął szczekającego Rogera długimi ramionami. Spojrzałem na to z pewnym strachem, wiedziałem bowiem, że Roger potrafi opacznie pojąć taki ruch.

– Cicho, pieseczek. – Max uśmiechnął się promiennie wprost w najeżony, wojowniczy pysk Rogera.

Ku mojemu zdziwieniu pies natychmiast przestał szczekać i zaczął jak szalony lizać mu twarz.

– Czy... tego... macie ochotę na drinka? – zapytał Lany. – Nie mogę was długo zatrzymywać, bo, moja matka jest chora.

– Bardzo uprzejmie z twojej strony – oświadczył Donald. – Bardzo uprzejmie. Muszę przeprosić za niego. Cudzoziemiec.

– To ja już pójdę do łóżka. – Margo zrobiła próbny ruch w kierunku drzwi.

– Nie pójdziesz – warknął Larry. – Ktoś nam przecież musi przygotować te drinki.

– Nie odchodź – prosił Max, który z Rogerem w ramionach spoczywał na podłodze spoglądając na nią żałośnie. – Nie zabieraj tych ocz z mojej orbity.

– Pójdę i przygotuję drinki – oświadczyła Margo bez tchu.

– Ja ci pomogę – oznajmił Max w jednej chwili odrzucając biednego, nie rozumiejącego co się dzieje Rogera i podrywając się na nogi.

Roger miał mylne wyobrażenie, że nowy przyjaciel zamierza spędzić resztę nocy tuląc go przy dogasającym ogniu, więc, ogromnie się zirytował, kiedy nim tak bezceremonialnie ciśnięto. Zaczął szczekać. Drzwi do salonu otworzyły się z trzaskiem i w progu stanął Leslie, całkiem nagi, z dubeltówką pod pachą.

– Co się tu dzieje, u ciężkiej cholery? – zapytał wojowniczo.

– Leslie, idź i włoż coś na siebie – prosiła Margo. – To są przyjaciele Larry’ego.

– O, Boże – jęknął Leslie. – Znowu?

Zawrócił i pomaszerował na górę.

– Drinki – zakrzyknął Max w uniesieniu, porywając Margo w ramiona i wirując z nią przy akompaniamencie niemal histerycznego szczekania Rogera.

– Bardzo bym chciał, żebyście się zachowywali nieco ciszej – mówił Larry. – Max, na litość boską...

– Fatalne maniery – stwierdził Donald.

– Pamiętaj o mojej matce – prosił Larry, jako że to słowo najwyraźniej poruszało jakąś strunę w duszy dryblasa.

Niemal natychmiast przestał tańczyć z zadyszaną Margo i stanął.

– Gdzie mamusia? – pytał. – Mamusia chora, prowadź mnie do niej, niech ją raduję...

– Ratuję – poprawił Donald.

– Jestem – odezwała się matka trochę przez nos, stając w progu. – Co się tu dzieje?

Była w nocnej koszuli, a z powodu przeziębienia zarzuciła na ramiona ogromny szal. Pod pachą trzymała swego pieska, Dodo – apatyczne, omdlewające, zadysane stworzenie.

– Przyszła mama w sam czas – ucieszył się Larry. – Chciał bym mamie przedstawić Donalda i Maxa.

Donald, po raz pierwszy okazując ożywienie, wstał, podszedł do matki, ujął jej dłoń i nachylił się nad nią w ukłonie.

– Jestem zaszczycony – oświadczył. – Przepraszam za to zamieszanie. Mój przyjaciel, rozumie pani. Z kontynentu.

– Miło mi pana poznać – oświadczyła matka, przywołując na pomoc wszystkie siły.

Na jej widok Max rozłożył szeroko ramiona i wpatrywał się w nią z uwielbieniem rycerza krzyżowego, który dojrzał właśnie Jerozolimę.

– Mamusia! – zaintonował dramatycznym głosem. – Oto jest mamusia!

– Dzień dobry panu – powiedziała matka, trochę niepewnie.

– Pani – upewniał się Max, żeby nie było żadnych wątpliwości – jest chora mamusia?

– Och, lekkie zaziębienie – machnęła ręką matka.

– Budziliśmy mamusia – Max chwycił się za piersi, a oczy wezbrały mu łzami.

– Zbudziliśmy lub obudziliśmy – poprawił Donald *sotto voce*.

Proszę. – Max otoczył mamę długim ramieniem i poprowadził do krzesła przy ogniu, gdzie usadowił ją najdelikatniej jak można. Przykucnął obok niej, ujął jej dłoń i spytał, zaglądając jej z powagą w oczy:

– Co chciała mamusia?

– Spać spokojnie do rana – oznajmił Leslie, który właśnie wrócił odziany bardziej konwencjonalnie: w spodnie od pizamy i sandały.

– Max – napomniął go surowo Donald. – Przestań monopolizować rozmowę. Przypomnij sobie, po co przyjechaliśmy.

– Prawda – uradował się Max. – Mamy cudowną wiadomość, Lany, Donald będzie pisarz.

– Musiałem się na to zdecydować – mruknął skromnie Donald. – Jak patrzę na was, którzy opływacie w luksusy... Honoraria jak woda... Doszedłem do wniosku, że muszę spróbować.

– To świetnie. – W głosie Larry'ego brak było entuzjazmu.

– Właśnie ukończyłem – mówił Donald – pierwszy rozdział, więc przyjechalśmy, żeby ci przeczytać.

– O, Chryste! – Lany był przerażony. – Słuchaj, Donald, nie teraz. O wpół do trzeciej rano moje zdolności krytyczne zanikają. Nie możesz tu tego zostawić, a ja przeczytam jutro?

– Jest krótki – Donald nie zwracał uwagi na słowa mojego brata wyciągając z kieszeni małą kartkę papieru – sądzę jednak, że zainteresuje cię styl.

Lany jęknął rozpaczliwie i wszyscy usiedliśmy wyczekująco, a Donald odchrząknął.

– Nagle – zaczął głębokim, wibrującym głosem – nagle, nagle, nagle oto on, a potem nagle, oto ona, nagle, nagle, nagle. I nagle spojrzął na nią, nagle, nagle, nagle i nagle ona spojrzała na nie go. Nagle otwarła ramiona, nagle, nagle, i on otworzył ramiona, nagle. I wtedy złączyli się nagle, i nagle, nagle, nagle poczuł ciepło jej ciała i nagle, nagle ona poczuła ciepło jego warg na swoich wargach, kiedy nagle, nagle, nagle osuwali się razem na łożo.

Nastąpiła długa przerwa, podczas której czekaliśmy na dalszy ciąg. Donald przełknął kilka razy ślinę, jakby ogarnęło go przemożne wzruszenie pod wpływem tego utworu, złożył starannie kartkę i wsunął z powrotem do kieszeni.

– Co o tym myślisz? – zapytał Larry'ego.

– Troszkę przykrótkie – stwierdził niezwykle ostrożnie Lany.

– No tak, ale co sądzisz o stylu? – dopytywał się Donald.

– Bardzo... em... interesujący. Tylko że to już było, sam się przekonasz.

– Nie mogło być – oświadczył Donald. – Przecież dopiero dziś wieczór przyszło mi do głowy.

– Na mój rozum nie powinien więcej pić – zauważył Leslie głośno.

– Cicho, kochanie – powiedziała matka. – A jaki to będzie miało tytuł?

– Myślałem – powiedział Donald z godnością – myślałem, żeby to nazwać „Księgą nagłości”.

– Bardzo zręczny i pasujący tytuł – przyznał Larry. – Wydaje mi się jednak, że twoich bohaterów można by nieco pogłębić psychologicznie, zanim ich splączesz na tym łożu.

– Może masz rację – przyznał Donald.

– Bardzo to było interesujące – oświadczyła matka kichając gwałtownie. – Sądzę, że teraz wszyscy powinniśmy się napić herbaty.

– Ugotuję herbatę mamusia – oświadczył Max podrywając się gwałtownie na nogi i znowu pobudzając psy do szczekania.

– Pomogę ci – przyłączył się do niego Donald.

– Margo, kochanie, może byś lepiej poszła razem z nimi i sprawdziła, czy znaleźli wszystko, co trzeba – zwróciła się do niej matka.

Kiedy cała trójka wyszła z pokoju, matka spojrzała na Larry'ego.

– I ci ludzie – powiedziała zimno – nie są, twoim zdaniem, ekscentryczni.

– Donald nie jest ekscentrykiem – bronił go Larry. – Jest tylko troszkę podchmielony.

– I nagle, nagle zrobił się pijany – zanucił Leslie dokładając drzewa do kominka i wkopując szczapy, by rozniecić ogień.

– Obydwaj są bardzo porządni faceci – bronił ich Larry. – Donald zrobił już zamęt w całym Korfu.

– Co to znaczy? – spytała matka.

– Wiesz, jak tutejsi wieśniacy uwielbiają wyciągać z każdego jego sekrety – tłumaczył Larry. – Ponieważ widać, że Donald ma pieniądze, a poza tym jest tak niewiarygodnie typowym okazem Anglika, doszli do wniosku, że musi pochodzić z wysokich sfer. Wobec tego zrobił sobie zabawę i każdemu opowiada inną historię. Z tego, co dotychczas wiem, był już najstarszym synem księcia, kuzynem biskupa Londynu i nieprawym synem lorda Chesterfielda. Nauki pobierał w Eton, Harrow, Oksfordzie i Cambridge, a ku mojej wielkiej radości dziś rano pani Papanopoulos zapewniała mnie, że kształcony był w Girton [żeński College w Cambridge].

W tym momencie do saloniku weszła Margo z wyrazem lekkiego oszołomienia na twarzy.

– Słuchaj, Larry, lepiej idź i zrób coś z nimi. Max przed chwilą rozpałał pod kuchnią pięciofuntówką, a Donald gdzieś zniknął i krzyczy: „kuku”, a my nie wiemy, gdzie jest.

Przeszliśmy więc całą gromadą do gigantycznej kuchni wykładanej kamiennymi płytami, gdzie imbryk zaczynał właśnie śpiewać na jednym z palenisk, a Max żałośnie kontemlował zwęglone resztki pięciofuntowego banknotu, które trzymał w dłoni.

– Doprawdy, Max – napomniała go matka. – Cóż ty wyprawiasz!

Max uśmiechnął się do niej promiennie.

– Nie szcędzi się wydatki na matki – oświadczył i wcisnął jej zwęglone resztki w dłoń... – Zachowaj to, mamusia, na pamiątkę.

– A kuku, a kuku! – dobiegło nas żałośliwe, odbijające się echem wołanie.

– To Donald – stwierdził dumnie Max.

– Gdzie on jest? – pytała matka.

– Nie mam pojęcia. Jak się chowa, to się uchowa na dobre. Leslie podszedł do kuchennych drzwi i otworzył je szeroko.

– Donald! – zawołał. – Gdzie jesteś?

– A kuku! – doszedł nas wibrujący głos Donalda z delikatnym, lekkim pogłosem.

– O, Chryste! – jęknął Leslie. – Ten kretyn wpadł do studni. W ogrodzie była wielka studnia,

głęboka na pięćdziesiąt stóp, wewnątrz której biegła gruba, okrągła, żelazna rura. Z pogłosu, jaki towarzyszył kukaniom Donalda, wnosiliśmy, że Leslie ma pewno rację. Pobiegliśmy natychmiast z lampą do studni i otoczywszy ją kołem spojrzeliśmy w głąb, w ciemności. Gdzieś w połowie rury, owinąwszy się wokół niej rękami i nogami, siedział Donald. Podniósł ku nam wzrok.

– A kuku! – zawołał skromnie.

– Donald, nie bądź taki głupi idiota – pochylił się nad studnią rozwścieczony do granic Lany. – Wyłaż w tej chwili na górę. Jak wpadniesz do wody, to się utopisz. Nie zmartwię się tym specjalnie, ale woda nam zaśmierdnie.

– Nie zaśmierdnie – zapewnił go Donald.

– Donald – zaczął Max. – Jesteś potrzebny. Tam na dole zimno. Chodź i miej herbatę z mamusia, będziemy omówili twoja książka.

– Żądacie tego ode mnie? – zapytał Donald.

– Tak, tak, żądamy – przytaknął Lany niecierpliwie.

Powoli i z ogromnym wysiłkiem Donald wdrapywał się po rurze, a my przyglądaliśmy się temu z zapartym tchem. Kiedy znalazł się na długość ramienia, Max i my wszyscy pochyliwszy się chwyciliśmy kto tam miał za co i wyciągnęliśmy go wreszcie na suchą trawę. Potem nasi goście zostali napojeni w domu ogromną ilością gorącej herbaty, aż wreszcie nabrali tak trzeźwego wyglądu, jak to tylko było możliwe po nieprzespanej nocy.

– Sądę, że teraz powinniście wracać do miasta – oznajmił stanowczo Larry. – Spotkamy się tam z wami jutro.

Odprawiliśmy ich na werandę. Przed schodkami stała dorożka, koń z rezygnacją spuścił łeb między hołoble. Dorożkarza nie było ani śladu.

– Czy przyjechał z nimi dorożkarz? – zwrócił się do mnie Larry.

Odpowiedziałem uczciwie, że nie zauważyłem, tak byłem urzeczony tymi świecznikami.

– Ja dorożkuję – oświadczył Max – a Donald zaśpiewuje.

Donald usadowił się ostrożnie na tylnym siedzeniu trzymając kandelabry, a Max usiadł na koźle. Strzelił z bata jak zawodowy dorożkarz, a koń wyrwany ze stanu śpiączki westchnął i ruszył aleją.

– Dobranoc! – wołał Max wymachując batem.

Zaczekaliśmy, aż zniknęła nam z oczu za oliwnymi drzewami, potem wróciwszy razem do domu z westchnieniem ulgi zamknęliśmy frontowe drzwi.

– Doprawdy, Lany, nie powinienes zapraszać ludzi o tej porze – napomniała go matka.

– Nie zapraszałem ich o tej porze – zdenerwował się Larry. – Po prostu przyjechali. Ja ich tylko zaprosiłem na drinka.

W tej chwili rozległo się dzikie łomotanie do drzwi frontowych.

– Mnie nie ma – oznajmiła matka i czmychnęła na górę z niezwykłym pośpiechem.

Lany otworzył drzwi, w progu stał dorożkarz.

– Gdzie *carrochino*? – wrzasnął.

– A gdzie ty się podziewał? – odkrzyknął Larry. – *Kyrios* zabrali dorożkę.

– Ukradli mi *carrochino*! – wrzeszczał dorożkarz.

– Nikt ci nic nie ukradł, ty głupi – Larry’emu było już tego za wiele. – Nie czekałeś na nich, więc zabrali dorożkę, żeby wrócić do miasta. Jeśli szybko pobiegiesz, to ich dogonisz.

Wzywając na pomoc świętego Spirydiona, dorożkarz rzucił się pomiędzy oliwkami ku drodze.

Postanowiwszy nie tracić ostatniego aktu dramatu, pobiegłem na dobry punkt obserwacyjny, skąd miałem otwarty widok na wjazd w naszą aleję oraz na kawał oświetlonej księżycem drogi do miasta. Koń wyjechał właśnie z alei i ruszył kłusem po drodze. Max i Donald śpiewali rozkosznie na dwa głosy. W tym właśnie momencie spośród drzew oliwnych wynurzył się dorożkarz i miotając przekleństwa puścił się za nimi biegiem.

Max, przestraszony, obejrzał się przez ramię.

– Wilki, Donald – zakrzyknął. – Trzymaj się! – Potem zaczął okładać zad nieszczęsnego konia, który, przerażony, przeszedł w galop. Ale był to taki galop, do jakiego jest zdolny jedynie koń dorożkarski na Korfu, na ryle szybki, by właściciel dorożki mógł dotrzymać mu tempa o jakieś dziesięć kroków z tyłu. Nieszczęsny dorożkarz biegł, krzyczał i zaklinał ich, niemal płacząc z wściekłości. Max, który postanowił za wszelką cenę uratować Donalda, okładał bezlitośnie konia batem, podczas gdy Donald wychylony z tylnego siedzenia, pokrzykiwał co pewien czas: „Pif-paf!” Tak zniknęli mi z oczu na drodze do Korfu.

Następnego dnia przy śniadaniu wszyscy byliśmy trochę zmęczeni, a matka surowo wyrzucała Larry’emu zapraszanie ludzi na drinki o drugiej w nocy. Właśnie w tym momencie pod drzwi podjechał samochód i na werandę, gdzie siedzieliśmy, wkroczył Spiro trzymając olbrzymią płaską paczkę owiniętą w szary papier.

– Dla pani – oznajmił.

– Dla mnie? – matka poprawiła okulary. – A cóż to może być takiego?

Ostrożnie odwinęła papier i naszym oczom ukazało się kolorowe jak tęcza pudło czekoladek, największe, jakie widziałem w życiu. Do pudła przypięty był mały bilecik, a na nim, nieco niepewnym pismem, słowa: „Przepraszamy za zeszłą noc – Donald i Max”.

Sowy i arystokracja

Nadeszła zima. Wszystko przesycone było wonią palonych gałęzi oliwnych. Powietrze, ziemia i morze miało w sobie ten cudowny zapach, który już zawsze będzie mi się kojarzyć z Korfu. Okiennice skrzypiały i waliły o mury domu pod naporem wiatru, który miotał ptakami i liśćmi po niskim ciemnym niebie. Płowe góry włożyły strzępiaste czapy śniegu, a wyżłobionymi w skałach dolinami płynął deszcz przemieniając je w pienne potoki pędzące chyżo ku morzu, pełne ziemi i śmiecia. Strumienie te wpadały do morza i wypływały znów jak żółte żyły na powierzchnię błękitnych wód, niosąc na fali cebule morskie, kłody drzewa, pogięte gałęzie, martwe żuki i motyle, kępy zrudziałej trawy i potarganych trzcin. Godzinami potrafiłem wpatrywać się w fale i niezwykłości, które na sobie niosły, inne z każdą falą. Burze wisiały nad zbiegającymi szczytami gór, wykwiwały i zamierały na niebie niby żółte paprocie.

Właśnie na początku zimy otrzymałem list:

WPan Gerald Durrell

Drogi Geraldzie,

Dowiedziałam się od naszego wspólnego przyjaciela, doktora Stephanidesa, że jesteś zapalonym przyrodnikiem i masz wiele oswojonych zwierząt. Chciałabym więc wiedzieć, czy miałbyś ochotę na białą sowę, którą robotnicy znaleźli u mnie przy rozbieraniu starej stodoły.

Niestety, sowa złamała skrzydło, ale poza tym cieszy się dobrym zdrowiem i doskonałym apetytem.

Jeśli chcesz mieć tę sowę, to proponuję, żebyś przyszedł do mnie na lunch w piątek i zabrał ją wracając do domu. Proszę o łaskawą odpowiedź. Najwygodniejsza dla mnie byłaby pora między za piętnaście pierwsza a pierwszą.

Z poważaniem hrabina Maurodaki

Ogromnie mnie ucieszył ten list, a to z dwóch powodów. Po pierwsze, zawsze marzyłem o płomykówce, bo o takim ptaku zapewne była mowa, a po drugie, tutejsze towarzystwo od lat próbowało bezskutecznie nawiązać stosunki towarzyskie z hrabiną. Była odludkiem w całym tego słowa znaczeniu. Nieopisanie bogata, mieszkała w olbrzymiej, bezplanowo zbudowanej willi weneckiej na szczerzej wsi i nie przyjmowała ani nie widywała nikogo z wyjątkiem ludzi pracujących w jej wielkim majątku. Znajomość z Teodorem wynikała z faktu, że był jej lekarzem domowym. Fama głosiła, że hrabina miała ogromną i cenną bibliotekę i z tego powodu Larry gorąco pragnął otrzymać zaproszenie do willi, ale daremnie.

– Wielki Boże – powiedział gorzko, kiedy mu pokazałem za proszenie. – To ja od miesięcy staram się nakłonić tę starą jędzę, żeby mi pozwoliła obejrzeć swoje zbiory biblioteczne, a ona ciebie zaprasza na lunch. Nie ma sprawiedliwości na tym świecie.

Powiedziałem, że może mógłbym poprosić po tym lunchu, żeby hrabina pokazała mu swoje książki.

– Nie przypuszczam, żeby po lunchu z tobą miała ochotę po kazać mi choćby starą gazetę, nie mówiąc już o bibliotece – uciął Larry.

Pomimo niepoehlebnej opinii Larry’ego o moich talentach towarzyskich, postanowiłem jednak powiedzieć za nim słowo, jeśli się nadarzy odpowiednia sposobność. Była to, w moim przekonaniu, ważna, a nawet uroczysta okazja, ubrałem się więc starannie. Koszulę i krótkie spodnie miałem świeżo uprane, namówiłem też matkę, żeby mi kupiła nowe sandały i słomkowy kapelusz. Jechałem na Sally, która miała na grzbiecie nową derkę sprawioną na cześć hrabiny – ponieważ willa leżała dość daleko od nas.

Dzień był ponury, a ziemia pod nogami rozmiękła. Zanościło się na burzę, miałem jednak nadzieję, że nie zacznie padać, nim dojadę do willi, deszcz bowiem położyłby kres śnieżnej sztywności mojej koszuli. Kiedy wolnym truchtem posuwaliśmy się pośród oliwek dostrzegając od czasu do czasu szybującą wśród mirtów słońkę, zaczęło mnie ogarniać zdenerwowanie. Stwierdziłem, że nie jestem odpowiednio przygotowany na tę uroczystość. Przede wszystkim zapomniałem zabrać ze sobą mojego czworonożnego kurczęcia w spirytusie. Przekonany byłem, że hrabina z przyjemnością by je obejrzała, a zresztą, tak czy inaczej, miałbym przynajmniej na początek jakiś temat do rozmowy, jakieś wsparcie w niezręcznych pierwszych chwilach spotkania. Po wtóre, zapomniałem się kogoś poradzić, jak należy się zwracać do hrabiny. „Wasza wysokość” to z pewnością zbyt oficjalne, zwłaszcza że ona przecież daje mi w prezencie sowę. Może „pani hrabino” byłoby lepiej, a może po prostu „proszę pani”. Łamałem sobie głowę nad zawłościami protokołu, pozwalając Sally samej wybierać drogę, a ona natychmiast zapadła w osłą drzemkę. Ze wszystkich zwierząt pociągowych jedynie osły potrafią poruszać się śpiąc. Skutek był taki, że idąc tuż przy rowie na poboczu drogi potknęła się nagle i zakołysała, a ja, pogrążony w zamyśleniu, zleciałem z jej grzbietu prosto w głębokie błoto i wodę. Sally wpatrywała się we mnie z wyrazem oskarżycielskiego zdumienia, który przybierała zawsze, kiedy zdawała sobie sprawę, że coś zbroiła. Byłem taki wściekły, że mógłbym ją udusić. Moje nowe sandały ociekały szlamem, a koszula – taka przed chwilą sztywna, czyściutka, prawdziwa koszula dobrze wychowanego chłopca – teraz upaprana była błotem i szczątkami zgniłych wodorostów. Byłem bliski łez z wściekłości i rozpacz, przemoczony i nieszczęśliwy. Za daleko odjechaliśmy od domu, by wracać i zmieniać ubranie, nie pozostawało nic innego, jak jechać dalej. Teraz już wszystko jedno, jak będę się zwracał do hrabiny. Na pewno rzuci tylko na mnie okiem, zobaczy, że jestem brudny jak Cygan i każe mi wracać do domu. Nie dość, że stracę

wspaniałego ptaka, ale i szansę wprowadzenia do jej domu Larry'ego, żeby obejrzał bibliotekę. Idiota jestem, powtarzałem sobie z goryczą. Trzeba było iść piechotą, a nie zawierzać temu głupiemu stworzeniu, które teraz kłusowało ręczo, nastawiwszy uszy jak dwie kudłate kalie.

Wreszcie dotarliśmy do willi, leżącej głęboko w gaju oliwnym. Dojeżdżało się do niej aleją wysadzaną wysokimi eukaliptusami o zielonoróżowych pniach. Wjazdu do alei strzegły stojące na dwóch kolumnach białoskrzydłe lwy, które patrzyły z pogardą na wjeżdżającą Sally i na mnie. Dom był ogromny, zbudowany w czworobok. Musiał mieć kiedyś barwę pięknej głębokiej weneckiej czerwieni, która teraz spłowiwała niemal do różowości, a tynk w licznych miejscach odpryskiwał i pękał, zauważyłem też, że w dachu brak wielu brązowych dachówek. Pod okapem wisiała masa jaskółczych gniazd – pustych teraz niby małe, zapomniane, brązowe piece – nigdy ich tylu razem nie widziałem.

Przywiązałem Sally do najodpowiedniejszego w tym celu drzewa i ruszyłem do sklepionej bramy prowadzącej na wewnętrzne patio. Przy bramie wisiał zardzewiały łańcuch, a kiedy go pociągnąłem, doleciał mnie z głębi domu słaby odgłos dzwonka. Czekałem jakiś czas cierpliwie i już miałem ponownie pociągnąć za łańcuch, kiedy otworzyły się masywne drewniane drzwi. W progu stał mężczyzna, który odpowiadał dokładnie mojemu wyobrażeniu bandyty. Był wielki i potężny, z ogromnym orlim nosem, gęstymi, sumiastymi siwymi wąsiskami i grzywą wijących się siwych włosów. Ubrany był w szkarłatny tarbusz, luźną koszulę cudownie haftowaną szkarłatną i złotą nicią, luźne, bufiaste, plisowane pantalone, a na stopach miał *charukias* z zadartymi nosami, zdobne w ogromne czerwono-białe pompony. Szeroka gęba rozdziawiła się w uśmiechu i zobaczyłem, że wszystkie zęby ma złote. Zupełnie jakby człowiek zaglądał do mennicy.

– Kyrie Durrell? – zapytał. – Witamy.

Szedłem za nim do domu przez patio porośnięte drzewami magnolii, pełne zapuszczonych zimowych rabat kwiatowych. Prowadził mnie długim korytarzem wykładanym niebieską i szkarłatną terakotą, otworzył szeroko drzwi i weszliśmy do wielkiego, ponurego pokoju o ścianach od podłogi do sufitu zasłoniętych półkami pełnymi książek. W głębi znajdował się wielki kominek, na którym skakały, syczały i trzaskały płomienie. Nad kominkiem wisiało przeogromne lustro w złotej ramie, poczerniałe ze starości. Przy ogniu, zakutana w kolorowe szale, niemal niewidoczna wśród poduszek, siedziała na długiej kanapce hrabina.

Była zupełnie inna, niż sobie wyobrażałem. Myślałem, że będzie wysoka, chuda i raczej odpychająca, ale kiedy wstała i zaczęła płynąć ku mnie przez pokój, zobaczyłem, że jest malutka, bardzo tłusta, różowa jak pączek róży i ma pełno dołeczków na policzkach. Włosy barwy miodu upinała wysoko na głowie w stylu pompadour, a oczy pod ustawicznie podniesionymi zdumionymi brwiami miała zielone i błyszczące jak niedojrzałe oliwki. Chwyciła moją dłoń w obie ciepłe pulchne rączki i przycisnęła do obfitej piersi.

– Jak *to* miło, jak *to* miło z twojej strony, że przyszedłeś! – pokrzykiwała melodyjnym głosem małej dziewczynki, rozsiewając wokół oszałamiający zapach fiołków parmeńskich i brandy w równych proporcjach. – Strasznie, strasznie miło. Czy mogę mówić do ciebie Gerry? Oczywiście, że mogę. Przyjaciele nazywają mnie Matylda... to nie jest moje prawdziwe imię, rzecz jasna. Naprawdę mam na imię Stefania Cynia... ale to takie prostackie... przypomina nazwę jakiegoś specyfiku lekarskiego. O wiele bardziej podoba mi się Matylda, a tobie?

Powiedziałem ostrożnie, że Matylda to bardzo ładne imię.

– Tak, takie godne, staroświeckie imię. Imiona są bardzo ważne, nie sądzisz? Na przykład ten tutaj – tu wskazała człowieka, który mnie wprowadził – on mówi o sobie Demetrios. Ja go nazywam Mustafa.

Obrzuciła mężczyznę krótkim, pełnym złośliwości spojrzeniem, potem nachyliła się niemal dusząc mnie zapachem brandy i fiołków parmeńskich i syknęła zniechęcona po grecku:

– To Turek z nieprawego łóża.

Twarz jegomościa poczerwieniała, a wąsy się zjeżyły nadając mu jeszcze bardziej bandycki wygląd.

– Nie jestem Turkiem – warknął. – Pani kłamie!

– Nie kłamie.

– Kłamie pani!

– Nie kłamie!

– Owszem, kłamie pani.

– Nie kłamie.

– Pani jest stara, wstrętne kłamczucha.

– Stara! – pisnęła zaczerwieniona. – Ośmielasz się nazywać mnie starą?... Ty... ty, Turku... ty...

– Pani jest stara i tłusta – oznajmił zimno Demetrios-Mustafa.

– Tego już za wiele – wrzasnęła. – Stara... tłusta... tego za wiele! Jesteś zwolniony! Otrzymujesz miesięczne wymówienie. Nie! Wynos się natychmiast! Ty synu nieprawego Turka!

Demetrios-Mustafa wypiął godnie pierś.

– Doskonale – oświadczył. – Czy życzy sobie pani, żebym podał drinki i lunch przed odejściem?

– Oczywiście.

Przeszedł w milczeniu przez pokój i wyjął butelkę szampana z wiaderka z lodem, stojącego za kanapką. Otworzył ją, po czym nalał trzy wielkie kieliszki szampana pół na pół z brandy. Wręczył nam po kieliszku, a trzeci wzniosł sam.

– Wznoszę toast – oznajmił uroczyście. – Wypijemy zdrowie starej, tłustej pani.

Znalazłem się w poważnym kłopotcie. Jeśli wypiję, to tak, jakbym podzielał jego zdanie

o hrabinie, co nie byłoby bardzo grzeczne, z drugiej zaś strony, jeśli nie wypiję, to ten człowiek może mi zrobić coś złego, wydawał się do tego zdolny. Kiedy tak się wahałem, hrabina, ku mojemu zdumieniu, wybuchnęła zadowolonym chichotem. Jej gładkie policzki pokryły się mnóstwem dołeczków.

– Nie dokuczaj naszemu gościowi, Mustafa. Ale przyznaję, że pomysł z toastem był dobry – tu pociągnęła z kieliszka.

Demetrios-Mustafa wyszczerzył ku mnie zęby, które lśniły i migotały w świetle ognia.

– Pij, *kyrie* – powiedział.– Nie zwracaj na nas uwagi. Ona żyje po to, by jeść, pić i klócić się, a moim zadaniem jest umożliwić jej to wszystko.

– To bzdura – hrabina ujęła mnie za rękę i poprowadziła na kanapkę, a ja czułem się tak, jakbym był przywiązany do różowej pulchnej chmurki. – Bzdura. Żyję po to, żeby robić wiele innych rzeczy. Nie stój tutaj, ty pijanico, i zostaw w spokoju moje alkohole. Idź i dopilnuj jedzenia.

Demetrios-Mustafa dopił drinka i wyszedł z pokoju, hrabina zaś rozsiadła się na kanapce, wciąż ściskając moją dłoń i uśmiechając się do mnie promiennie.

– Jak miło – szczebiotała. – Tylko ty i ja. Powiedz, czy zawsze nosisz zabłocone ubrania?

Opowiedziałem jej spiesznie, bardzo zakłopotany, o przygodzie z Sally.

– Ach, więc przyjechałeś na ośle? – z jej tonu można by sądzić, że to najbardziej egzotyczny sposób podróżowania. – Jak rozsądnie! Ja osobiście nie ufam samochodom, są takie hałaśliwe i nigdy nie wiadomo, co zrobią. Nie można na nich polegać.

Pamiętam, mieliśmy samochód za życia mego męża. Żółty, wielki. Ale, mój drogi, cóż to był za potwór! Robił wszystko, co mu kazał mój mąż, a mnie w ogóle nie słuchał. Pewnego dnia rozmyślnie wjechał tyłem w wielki stragan z owocami i jarzynami, mimo wszystkich moich wysiłków, by go zatrzymać, a potem zjechał ze skraju molo i wpadł do morza. Kiedy wyszłam ze szpitala, powiedziałam do męża: „Henri” – powiedziałam, bo tak miał na imię, miłe, mieszczańskie imię, nie uważasz? O czym to ja? Aha. No więc: „Henri – powiadam – ten samochód jest złośliwy. Chyba go zły duch opętał. Musisz go sprzedać”. I sprzedał.

Brandy z szampanem na pusty żołądek zjednoczyły się z ogniem na kominku, by mi rozkosznie zakręcić w głowie. Potakiwałem, uśmiechałem się, a hrabina szczebiotała dalej.

– Mój mąż był bardzo kulturalnym człowiekiem, bardzo kulturalnym człowiekiem, naprawdę. Kolekcjonował książki, rozumiesz. Książki, obrazy, znaczki, kapsle od piwa, ciekawiło go wszystko, co kulturalne. Tuż przed śmiercią zaczął kolekcjonować popiersia Napoleona. Nie uwierzyłbyś, ile wyrzeźbiono biustów tego okropnego małego Korsykanina. Mój mąż miał pięćset osiemdziesiąt dwa. „Henri – powiedziałam mu. – Henri, to się musi skończyć. Albo przestaniesz zbierać popiersia Napoleona, albo ja cię rzucę i pojedę na Świętą Helenę”. – Powiedziałam to żartem, tylko żartem, ale wyobraź sobie, co on na to! Powie dział, że sam

myślał o pojechaniu na wakacje na Świętą Helenę – ze wszystkimi popiersiami. Boże wielki, cóż za żarliwość i po święcenie! Nie do zniesienia! Owszem, lubię trochę kultury na właściwym miejscu, ale to już była obsesja!

Demetrios-Mustafa wszedł do pokoju, napełnił nam znowu kieliszki i oznajmił:

– Lunch za pięć minut.

On był, można powiedzieć, kolekcjonerem z potrzeby wewnętrznej. Ileż to razy trzęsłam się ze strachu, kiedy zobaczyłam ten fanatyczny błysk w jego oku. Kiedyś, na targach krajowych, oglądał kombajn do żniw, powiadam ci, przeogromny, i nagle zobaczyłam ten błysk w jego oczach, ale w tym wypadku musiałam się już ostro postawić. „Henri – powiedziałam. – Henri, nie będziemy mieli kombajnów zbożowych po całym domu. Jeśli już musisz coś kolekcjonować, to czemu nie wybierzesz czegoś rozsądnego? Na przykład klejnotów albo futer?” – Może to ci się wydać okrutne, mój drogi, ale cóż ja miałam robić? Gdybym chociaż na krok ustąpiła, zapchałby mi cały dom maszynami rolniczymi.

Demetrios-Mustafa ponownie wszedł do pokoju.

– Lunch podany – oznajmił.

Hrabina, wciąż szczebiocząc, wyprowadziła mnie za rękę z pokoju. Poszliśmy wykładanym terakotą korytarzem, po skrzypiących drewnianych schodach do olbrzymiej kuchni w piwnicy. Kuchnia w naszej willi była ogromna, ale przy tej wydawała się lilipucia. Tu podłoga pokryta była kamiennymi płytami, a w przeciwległym końcu żarzyła się i migotała cała bateria palenisk na węgiel drzewny, na których stały bulgocące garnki. Na ścianach wisiały przeróżnego rodzaju miedziane rondle, kociołki, tace, dzbanki do kawy, ogromne półmiski i wazy do zup. W blasku rzucanym przez ogień wszystkie lśniły czerwonozłoto, migocząc i łyskając niby skrzydła chrząszcza. Pośrodku podłogi stał długi na dwanaście stóp stół z cudownego polituowanego orzecha. Był starannie nakryty na dwie osoby, ze śnieżnobiałymi serwetkami i lśniącym srebrem stołowym. Pośrodku stołu stały dwa olbrzymie srebrne świeczniki, a w każdym z nich las płonących świeczek. Dziwne było to połączenie kuchni i wytwornej jadalni. Panowało tu gorąco i rozchodziły się zapachy tak rozkoszne, że niemal tłumiły zapachy hrabiny.

– Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko jedzeniu w kuchni? – zapytała hrabina takim tonem, jakby jedzenie w podobnie skromnych warunkach było czymś upokarzającym.

Odpowiedziałem, że uważam jedzenie w kuchni za pomysł niezwykle rozsądny, zwłaszcza w zimie, kiedy w kuchni jest ciepłej.

– Bardzo słusznie – zgodziła się hrabina sadowiąc się w krzesła, które przysunął jej Demetrios-Mustafa. – I, widzisz, jak jemy na górze, to ten stary Turek skarży się, że musi daleko chodzić.

– Nie skarżę się na odległość, tylko na ciężar półmisków – stwierdził Demetrios-Mustafa nalewając nam do kieliszków blade, zielonozłote wino. – Gdyby pani jadła trochę mniej, to nie

byłoby tak ciężko.

– Och, przestań narzekać i zaczynaj podawać – powiedziała płaczliwie hrabina zatykając starannie serwetkę pod zdobnym w dołeczek podbródkiem.

Po ogromnych ilościach szampana z brandy byłem teraz całkiem pijany i nieludzko głodny. Z pewnym przerażeniem patrzyłem na sztuczne obrzeżające mój talerz, bo nie miałem pojęcia, w jakiej je brać kolejności. Przypomniałem sobie pouczenia matki, która mówiła, że zaczyna się od tych zewnętrznych i posuwa ku środkowi, ale wciąż miałem wątpliwości. Postanowiłem zaczekać, zobaczyć, od czego zacznie hrabina, i robić to, co ona. Nie była to rozsądna decyzja, szybko bowiem stwierdziłem, że brała każdy nóż, łyżkę czy widelec, jaki jej się nawinął pod rękę, bez najmniejszych skłonności do dyskryminacji, toteż po pewnym czasie tak się we wszystkim zaplątałem, że zacząłem robić to samo.

Pierwszym daniem, jakie nam podał Demetrios-Mustafa, był cudowny rosół usiany cekinami malutkich złotych banieczek tłuszczu i grzankami wielkości paznokcia pływającymi niby chrupkie malutkie tratwy na bursztynowym oceanie. Smakował naprawdę znakomicie i hrabina dolewała sobie dwa razy i chrupała grzanki, z chrzęstem, jakby ktoś chodził po uschniętych liściach. Demetrios-Mustafa napełnił nam ponownie kieliszki bladym winem o zapachu piżma i postawił przed nami półmisek malutkich młodych rybek, smażonych na złotobrazowy kolor. Towarzyszyły temu ćwiartki zielonożółtych cytryn w wielkiej salaterce i pełna sosjerka jakiegoś nieznanego mi, egzotycznego sosu. Hrabina nałożyła sobie kopiasty talerz rybek, oblała potokami sosu, a potem skropiła szczerze cytryną rybki, stół i siebie. Uśmiechnęła się do mnie promiennie, twarz miała teraz jasnoróżową, a na czole drobne kropelki potu. Fantastyczny apetyt jakoś nie umniejszał jej talentów konwersacyjnych, mówiła bowiem bez przerwy.

– Lubisz takie małe rybki? Boskie! Szkoda, że musiały tak młodo umierać, ale tak już jest na świecie. Jak to przyjemnie, że można je w całości zjadać i nie przejmować się ośmi. Co za ulga! Henri, wiesz, mój mąż zaczął kiedyś kolekcjonować szkielety. Boże wielki, dom wyglądał i pachniał jak kostnica. „Henri – powiedziałam. – Henri, to się musi skończyć. Nabrałeś jakichś niezdrowych, chorobliwych upodobań. Musisz iść i poradzić się psychiatry”.

Demetrios-Mustafa usunął puste talerze, nalał nam czerwone wino, ciemne jak serce smoka, a potem ustawił przed nami kolejny półmisek, na którym leżały bekasy o tak wykręconych łebkach, że mogły się same nadziać na swe długie dzioby. Puste oczodoły spoglądały na nas oskarżycielsko. Były pulchne i brązowe po upieczeniu, a każdy leżał na swojej własnej kwadratowej grzance. Otaczały je cieniutkie płatki smażonych kartofli niby spędzone tu wiatrem jesienne liście, jasne, zielonobiałe świece szparagów i zielony groszek.

– Zupełnie nie rozumiem ludzi, którzy są wegetarianami – oznajmiła hrabina waląc zamasyście widelcem w czaszkę be kasa, by się dobrać do mózgu. – Henri próbował kiedyś być wegetarianinem. Uwierzyłbyś? Ale nie mogłam tego wytrzymać. „Henri – powiedziałam – to się

musi skończyć. Mamy w spiżarni tyle jedzenia, że moglibyśmy wykarmić armię, a ja nie umiem jeść w pojedynkę. – Wyobraź sobie, mój drogi, akurat zamówiłam dwa tuziny zajęcy. – Henri – powiedziałam – musisz dać spokój temu idiotycznemu kaprysowi”.

Pomyślałem sobie, że Henri, choć niewątpliwie dosyć kłopotliwy jako mąż, musiał jednak doświadczyć w życiu wielu rozczarowań.

– Demetrios-Mustafa usunął szczytki bekasów i dołał wina. Zaczynałem już odczuwać wdęcie i miałem nadzieję, że niewiele mnie jeszcze czeka. Przy talerzu jednak pozostała mi cała armia nie używanych sztućców, toteż z przerażeniem spoglądałem na Demetriosa-Mustafę zbliżającego się ku nam przez ciemną kuchnię z ogromnym półmiskiem, Ach! – zawołała zachwycona hrabina unosząc w podnieceniu do góry pulchne rączki. – Główne danie. Co to będzie, Mustafa, co to będzie?

– Dzik, którego nam przysłał Maroyannis – odparł Demetrios-Mustafa.

– Och, dzik, dzik! – piszczała hrabina obejmując dłońmi tłuste policzki. – Och, cudownie! Zupełnie o nim zapomniałam! Mam nadzieję, że lubisz mięso dzika?

Odparłem, zgodnie z prawdą, że to jedna z moich najulubieńszych potraw, ale czy mógłbym prosić tylko o mały kawałeczek?

– Oczywiście – odparła pochylając się nad ogromną, brązową, lśniąca od tłuszczu szynką i zaczęła kroić grube różowe platy. Ułożyła mi trzy na talerzu, sądząc najwyraźniej według swoich standardów, że jest to bardzo skromna porcyjka, a potem zaczęła garniować mięso dodatkami. A więc stopy drobnych ślicznych złotych grzybków *chanlerelles* o delikatnym, niemal winnym smaku, małe dynie nadziewane śmietaną z kaparami, kartofle pieczone w skórkach, zręcznie rozszczępione i nasyczone masłem, marchewki czerwone jak mroźne słońce zimowe i wielkie drzewiaste pnie białych porów duszonych w śmietanie. Przyjrzałem się temu talerzowi jedzenia i ukradkiem odpiąłem trzy górne guziki w spodenkach.

Tak często jadaliśmy dziczyznę za życia mojego Henriego. On jeździł do Albanii na polowania, rozumiesz. Ale teraz rzadko jadamy mięso dzika. Cóż za ucztą! Może jeszcze troszkę grzybków? Nie? Takie apetyczne. Po tym daniu zrobimy, myślę, przerwę? – Przerwa jest bardzo istotna, moim zdaniem, dla dobrego trawienia – a potem dodała naiwnie – i pozwala człowiekowi jeszcze tyle zjeść!

Pieczeń z dzika była wonna i soczysta, jako że zamarynowano ją uprzednio w winie i ziołach i naszpikowano ząbkami czosnku, ale mimo to ledwo jej podołałem. Hrabina wzięła sobie dwie dokładki, za każdym razem równie obfite, po czym odchyliła się w krzesło z twarzą ściemniałą, niemal przechodzącą w fiolet, i otarła zroszone potem czoło małą koronkową chusteczką.

– Teraz przerwa, co? – zagadnęła ochryple, lecz z uśmiechem. – Przerwa, by obliczyć nasze możliwości.

Czułem, że nie mam już żadnych możliwości do obliczania, ale nie chciałem się do tego

przyznać. Kiwałem głową, uśmiechałem się i rozpiąłem pozostałe guziki.

Podczas owej przerwy hrabina paliła długie cienkie cygaro i pogryzała solone orzeszki, rozprawiając bezustannie o swoim mężu. Przerwa dobrze mi zrobiła. Poczułem się nieco mniej sztywny i ociężały. Kiedy hrabina doszła do wniosku, że daliśmy już dostateczny wypoczynek naszym organom wewnętrznym, kazała podać następne danie. Demetrios-Mustafa wniósł dwa, szczęściem małe, omlety, chrupkie i brązowe na zewnątrz, a płynne i soczyste wewnątrz, nadziane malutkimi różowymi krewetkami.

– Co nam dasz na deser? – zapytała hrabina z ustami pełny mi omletu.

– Nie przygotowałem deseru – oznajmił Demetrios-Mustafa.

Oczy hrabiny zrobiły się okrągłe i nieruchome.

– Nie zrobiłeś deseru? – zapytała tonem takiego przerażenia, jakby jej się zwierzył z jakiejś ohydnej zbrodni.

– Nie miałem czasu – oświadczył Demetrios-Mustafa. – Nie może się pani spodziewać, że będę tyle gotował i jeszcze miał całe sprzątanie na głowie. Ale bez deseru? – mówiła z rozpaczą hrabina. – Przecież lunch nie może być bez deseru.

– Kupiłem bezy – powiedział Mustafa. – Muszą pani wystarczyć.

– Och, świetnie – hrabina rozpromieniła się natychmiast i pojaśniała. – Tego nam właśnie było trzeba!

Tego mi właśnie na pewno nie było trzeba. Bezy były wielkie, białe, kruche jak koral i obficie wypełnione kremem. Trzeba mi było, myślałem, zabrać Rogera, mógłby siedzieć pod stołem i zjeść połowę tego co ja, hrabina bowiem była zbyt pochłonięta swym talerzem i wspomnieniami, by skupić na mnie uwagę.

– No – powiedziała połykając ostatnie kawałki bezy i ocierając z podbródka białe okruchy. – Czy jesteś syty? Czy może miałbyś ochotę na coś jeszcze? Może jakieś owoce? Niestety, nie ma ich wiele o tej porze roku.

Odpowiedziałem, że nie, dziękuję bardzo, jestem bardzo najedzony.

Hrabina westchnęła i spojrzała na mnie serdecznie. Sądzę, że nic nie sprawiłoby jej większej przyjemności niż wepchnąć we mnie jeszcze kilka dań.

– Za mało jesz – oświadczyła. – Taki dorastający chłopiec po winien więcej jadać. Jesteś za chudy na swój wiek. Czy matka karmi cię jak należy?

Wyobraziłem sobie oburzenie matki, gdyby usłyszała tę insynuację. Powiedziałem, że moja matka jest znakomitą kucharką i że jadamy po królewsku.

– Cieszę się – powiedziała hrabina. – Ale mimo to wyglądasz mi trochę mizernie.

Nie mogłem się do tego przyznać, ale rzeczywiście pobladłem, ponieważ napór jedzenia na mój żołądek zaczynał już być wyczuwalny. Powiedziałem najuprzejmiej, jak potrafiłem, że chyba powinienem już wracać do domu.

– Ależ oczywista, kochanie – przyznała hrabina. – Boże wielki, już kwadrans po czwartej. Jak ten czas szybko leci!

Westchnęła na tę myśl, potem wyraźnie poweselała.

– Wiesz, prawie już pora na herbatę. Czy na pewno nie miał byś ochoty zostać i coś przekąsić?

Powiedziałem, że nie mogę, bo mama zacznie się niepokoić.

– A teraz pomyślmy – zastanowiła się hrabina. – Po co tu przyjechałeś? Ach, po sowę. Mustafa, przynieś sowę chłopcu, a mnie kawę i trochę tego cudownego rachatlukum, jest na górze na kanapce.

Mustafa przyniósł zawiązane sznurkiem kartonowe pudło i wręczył mi mówiąc: – Nie radzę otwierać przed powrotem do domu. To dzikie stworzenie.

Świdrowała mi w głowie straszliwa myśl, że jeśli nie przyśpieszę odejścia, to hrabina zaprosi mnie jeszcze na rachatlukum. Podziękowałem więc obydwójgu serdecznie za sowę i ruszyłem do wyjścia.

– Strasznie było miło cię poznać – mówiła hrabina. – Okropnie miło. Musisz jeszcze kiedyś przyjść. Musisz przyjść wiosną albo latem, kiedy jest większy wybór owoców i jarzyn. Mustafa umie tak przyrządzić ośmiornicę, że się rozplywa w ustach.

Powiedziałem, że bardzo chętnie przyjdę jeszcze raz, a w duszy przysięgłem sobie, że jeśli przyjdę, to będę uprzednio pościł przez trzy dni.

– Masz – powiedziała hrabina wciskając mi pomarańczę do kieszeni. – Możesz poczuć głód w drodze do domu.

Wsiadłem na Sally i ruszyłem, a hrabina wołała za nami:

– Jedź ostrożnie!

Siedziałem z ponurą twarzą przyciskając sowę do piersi, dopóki nie znaleźliśmy się za bramą posiadłości hrabiny. Tam okazało się, że trucht oślicy jest ostatnią kroplą dopełniającą miary. Zsiadłem, poszedłem za drzewo oliwki i zwymiotowałem rozkosznie i bez ograniczeń.

Po przyjeździe do domu zaniósłem sowę do mojego pokoju, rozwiązałem sznurek i wyjąłem szamoczącego się, wojowniczego ptaka na podłogę. Psy, które otoczyły nas kołem, by obejrzyć nowy nabytek, cofnęły się spiesznie. Wiedziały, do czego jest zdolny Ulisses, kiedy wpadnie w zły humor, a ta płomykówka trzykrotnie go przerastała. W moim przekonaniu była jednym z najpiękniejszych ptaków, jakie widziałem w życiu. Pióra na skrzydłach i grzbiecie miały barwę złotego plastra miodu z jasnopopielatymi plamami, pierś kremowobiała, a wokół ciemnych, dziwnie orientalnych oczu nosiła okrągłą maseczkę z białych piór, która sprawiała wrażenie tak sztywnej i wykrochmalonej jak elżbietańska kreza.

Ze skrzydłem nie było tak źle, jak się obawiałem. Złamanie było proste i po półgodzinnej szarpaninie, podczas której ptak kilkakrotnie utoczył ze mnie krwi, udało mi się złożyć kość

przyzwyczajenie. Sowa, którą postanowiłem nazwać Lampedusą, po prostu dlatego, że mi się to imię spodobało, okazywała wojowniczy strach wobec psów, nie miała najmniejszej ochoty na przyjaźń z Ulisesem, a na Augusta Drapibrzuszkę spoglądała z nieukrywaną odrazą. Doszedłem do wniosku, że będzie jej lepiej w jakimś ciemnym, odludnym miejscu, dopóki się nie przyzwyczai, wobec tego zaniósłem ją na strych. Jeden z pokoiów na poddaszu był bardzo mały, oświetlony tylko przez małe okienko, tak zasłane kurzem i pajęczynami, że niewiele światła przenikało do wnętrza. Było tu spokojnie i mrocznie jak w jaskini, sądziłem więc, że tu Lampedusą będzie się czuła najlepiej w okresie rekonwalescencji. Postawiłem ją na podłodze, przy niej wielki spodek pełen siekanego mięsa i dobrze zamknąłem drzwi, żeby jej nikt nie przeszkadzał. Poszedłem do niej wieczorem i przyniosłem w prezencie zdechłą mysz. Wyglądała o wiele lepiej. Zjadła prawie całe mięso, a teraz syczała na mnie, kłapała dziobem i z rozłożonymi skrzydłami i płonącym wzrokiem sunęła po podłodze. Zadowolony z widocznej poprawy zdrowia sowy zostawiłem jej mysz i poszedłem spać.

W kilka godzin później obudziły mnie jakieś głosy w pokoju matki. Wylazłem z łóżka zastanawiając się sennie, co też moja rodzina może robić o tej porze, i wystawiwszy głowę za próg nasłuchiwałem.

– Powiadają ci – mówił Larry – że to jakiś piekielny ogromny *Poltergeist*.

– To nie może być *poltergeist* – tłumaczyła matka. – One rzucają przedmiotami.

– Wszystko jedno, co to jest, w każdym razie jest i dzwoni łańcuchami – mówił Lany. – Więc trzeba odprawić egzorcyzmy. Podobno ty i Margo jesteście specjalistkami w sprawach przyszłego życia, więc idźcie i zróbcie, co trzeba.

– Ja nie pójdę na górę – odparła drżącym głosem Margo. – To może być nie wiadomo co. Może jakiś złośliwy duch.

– Pewno, że cholernie złośliwy – mówił Larry. – Od godziny nie daje mi spać.

– A jesteś pewny, że to nie wiatr ani nic takiego? – pytała matka.

– Wiem, jaka jest różnica między wiatrem i jakimś cholernym duchem, który dzwoni łańcuchami – upierał się Larry.

– A może to włamywacze – podsunęła Margo chcąc zapewne dodać sobie odwagi. – Może to włamywacze i należałoby zbudzić Lesliego.

Byłem straszliwie zaszpany i wciąż jeszcze odurzony wypitym tego dnia alkoholem, toteż w żaden sposób nie mogłem pojąć, o czym mówi moja rodzina. Wyglądało to równie interesująco jak wszystkie inne hece w naszym domu, które zdarzały się o najbardziej niespodziewanych porach dnia i nocy, poszedłem więc do pokoju matki i zajrzałem przez drzwi. Larry chodził tam i z powrotem, zamiatając w rozmachu szlafrokiem.

– Trzeba coś zrobić – oświadczył. – Nie mogę spać, kiedy mi nad głową dzwonią łańcuchy, a jak jestem niewyspany, to nie mogę pisać.

– Nie bardzo wiem, czego po nas oczekujesz, kochanie – perswadowała mu matka. – Jestem pewna, że to wiatr.

– Tak, nie możesz przecież żądać, żebyśmy poszły na górę – przytaknęła Margo. – Ty jesteś mężczyzna. Ty idź.

Słuchaj – warczał Larry. – To ty wróciłaś z Londynu okryta ekto plazmą gadając bez ustanku o nieskończoności. Pewnie jakiś diabelski stwór zaklinany przez ciebie na tych twoich seansach przyleciał tutaj za tobą. Ty go oswoiłaś, więc jazda zaraz na górę i zrób coś z nim!

Słowo „oswoiłaś” jakoś do mnie dotarło, mimo otępienia. To chyba nie może być Lampedusa? Jak wszystkie sowy, płomykówka ma skrzydła miękkie i ciche niby puch mlecza. Przecież nie może robić hałasów, które przypominają szczekanie łańcuchami.

Wszedłem do pokoju i zapytałem, o co chodzi.

– To tylko duch – uspokajała mnie matka. – Larry znalazł ducha.

– Jest na strychu – tłumaczyła Margo z podnieceniem. – Larry przypuszcza, że przyleciał za mną z Anglii. Zastanawiam się, czy to nie Mawake?

– Z tym już koniec raz na zawsze – ucięła matka stanowczo.

– Wszystko mi jedno, kto to taki – wściekał się Larry – który z twoich przyjaciół wyzwolonych z cielesnej powłoki. Chcę tylko, żeby go stąd usunięto.

Powiedziałem, że istnieje pewna minimalna możliwość, że to się okaże Lampedusa.

– A cóż to takiego? – spytała matka.

Wyjaśniłem, że jest to sowa, którą otrzymałem od hrabiny.

– Powinienem był wiedzieć! – krzyknął Larry. – Powinienem był od razu wiedzieć! Nie mam pojęcia, czemu mi to natychmiast nie przyszło do głowy?

– Uspokój się, kochanie, uspokój – łagodziła matka. – To tylko sowa.

– Tylko sowa. Wydaje takie odgłosy jak batalion jadących czołgów. Każ mu ją zabrać ze strychu!

Powiedziałem, że nie mogę pojąć, jak Lampedusa może hałasować, gdyż sowy to najcichsze stworzenia... Powiedziałem, że szybują nocą na skrzydłach bezgłośnych jak puch mlecza...

– Ta nie ma bezgłośnych skrzydeł – wrzasnął Larry. – Wydaje odgłosy jak jedna wielka sowa orkiestra jazzowa! Zabieraj ją stamtąd!

Wziąłem lampę i spiesznie ruszyłem na górę. Otworzywszy drzwi zorientowałem się od razu w czym rzecz. Lampedusa pożarła mysz, a potem stwierdziła, że na talerzyku ma jeszcze spory strzęp mięsa. Niestety, mięso w ciągu długiego gorącego dnia zaschło i przykleiło się do spodka. Sowa w przekonaniu, że ten strzęp mięsa posłuży jej za przekąskę i pozwoli przebidować do rana, próbowała zdziobać je z talerzyka. Zakrzywiony, bursztynowy dziób przebił mięso, ale mięso nie chciało się odkleić od talerzyka, no i nieszczęsny ptak, jak w pułapce, trzepotał się bezradnie po podłodze waląc i łomocząc spodkiem o drewniane deski, żeby wyswobodzić dziób.

Uwolniłem ją więc i zaniósłem na dół do mego pokoju, gdzie zamknąłem ją na wszelki wypadek w kartonowym pudle.

Część czwarta

Kryśeda

To jest przeurocze miejsce; chciałbym, żebyś je zobaczył; gdybyś przyjechał, urządziłbym cię tu cudownie i karmił napojem imbirowym, krewetkami i figami.

EDWARD LEAR

Jeże i wilki morskie

Z nadejściem wiosny przeprowadziliśmy się do nowej willi, eleganckiej, białej jak śnieg, ocienionej ogromną magnolią, a leżącej w gaju oliwnym niedaleko naszego poprzedniego domu. Stała na zboczu, skąd rozciągał się widok na rozległą płaszczyznę pól uprawnych, wyglądających jak gigantyczna szachownica pocięta rowami irygacyjnymi. Niegdyś były to stare weneckie panwie solne, zbiorniki solanki spływającej tu kanałami z ogromnego słonego jeziora, leżącego nie opodal. Jezioro zostało już dawno zamulone, a dzięki kanałom, w których teraz płynęła świeża woda, powstała szachownica żyznych pól uprawnych. Roilo się tutaj od przeróżnych stworzeń, więc, rzecz jasna, często przychodziłem tu na łowy.

Wiosna na Korfu miała zawsze szeroki gest. Niemal w ciągu jednej nocy zimowy wiatr omiatał niebo z chmur tak, że lśniło czystym ostróżkowym błękitem, i w ciągu jednej nocy zimowy deszcz przystrajał doliny dzikimi kwiatami: różowością piramidalnych storczyków, żółtymi krokusami, wysokimi bladymi czubami złotogłowiu. Z trawy wyglądały jasne oczka hiacyntów i umoczone w winie kwiaty zawilców, które pochylały się przy najlżejszym nawet wietrze. Gaje oliwne ożyły i zaszumiały od przybyłego ptactwa: łososioworóżowe i czarne dudki ze zdumionymi czubkami wsuwały długie zakrzywione dzióbki w miękką ziemię między kępami szmaragdowej trawy, szczygły wydzwaniały chrypliwie kuranty, skacząc wesoło z gałązki na gałąź i lśnić złotem, czernią i czerwienią swych piórek. W rowach irygacyjnych woda pozieleniała od wodorostów spiętych sznurami żabiego skrzeku niby naszyjnikami z czarnych pereł. Szmaragdowozielone żaby rechotały do siebie, a żółwie wodne o hebanowoczarnych pancerzach wyłaziły na brzeg, żeby wykopawszy jamki składać w nich jaja. W poszyciu snuły się jak dym młode stalowoniebieskie ważki o smukłych ciałach, poruszające się swoim dziwnym lotem sztywnej nitki. W tym właśnie czasie brzegi rowów jarzyły się nocą tysiącem pulsujących białozielonych robaczków świętojańskich, a w dzień rumieniły od poziomek zwisających w cieniu niby szkarłatne latarenki. Była to pora zatykająca dech w piersi, pora wielkich wypraw i nowych odkryć, pora, kiedy pod przewróconą kłodą mogło ukazać się niemal wszystko, od gniazda nomika do połyskliwego zwoju malutkich padalców, które wyglądały, jak odlane z polerowanego brązu.

Pewnego dnia byłem właśnie na polach próbując schwytać kilka zaskrońców zamieszkujących rowy nawadniające, kiedy stara, znana mi z widzenia kobieta, która pracowała o kilka pól dalej, zawołała, żebym zaraz przyszedł. Kopała ziemię szeroką motyką na krótkim trzonku stojąc po kostki w żyznej, gliniastej glebie. Na nogach miała grube skarpety z owczej wełny, jakie wieśniacy noszą zwykle przy kopaniu.

– Znalazłam coś dla ciebie! – wołała. – Chodź tu prędko.

Nie mogłem dobiec do niej szybko, ponieważ każde pólko otoczone było z czterech stron

rowem irygacyjnym, a szukanie mostka na każdym z nich przypominało błądzenie w wielkim labiryncie.

– Żywo, żywo – krzyczała stara kobieta. – Uciekają! Duchem. Biegłem, skakałem, pędziłem po rozchybotanych deskach ryzykując kąpiel w rowie, aż wreszcie zadyszany dobiegłem do wieśniaczki.

– Tutaj – wskazywała palcem. – Tutaj! Tylko uważaj, żeby cię nie pogryzły.

Zobaczyłem, że wykopała spod ziemi kłębek liści, w których poruszało się coś białego. Ostrożnie rozchyliłem liście rączką mojej siatki na motyle i ujrzałem z zachwytem cztery tłuściutkie, świeżo urodzone małe jeżyki, różowe jak cyklameny o miękkich, śnieżnobiałych kolcach. Jeszcze ślepe wierciły się i obwącichiwały nawzajem niby gromadka malutkich świnek. Podniosłem je, włożyłem ostrożnie za pazuchę, podziękowałem chłopce i ruszyłem do domu. Najbardziej mnie zachwycało w moich nowych zwierzakach to, że były takie malutkie. Miałem już dwa dorosłe jeże, zwane Drap i Skrob ze względu na ogromne ilości pcheł, które hodowały na sobie, ale one jakoś nie dawały się tak naprawdę oswoić. A te malutkie, myślałem, będą się całkiem inaczej chować. W ich pojęciu będę im jakby matką. Już sobie wyobrażałem, jak idę, dumny, przez gaj oliwny, przede mną psy, Ulisses i dwie sroki, a tuż przy moich piętach drepcą cztery oswojone jeże, które wyuczę różnych sztuczek.

Rodzina moja rozsiała się na obrośniętej winem werandzie, a każdy zajęty był własnymi sprawami. Matka robiła na drutach i liczyła głośno oczka, co chwila powtarzając: „psiakość”, kiedy się pomyliła. Leslie, przykucnąwszy na płytach kamiennych, starannie odważał proch i malutkie stosiki srebrnego śrutu, którymi napelniał świecące czerwone gilzy naboju. Larry czytał jakieś wielkie tomiszcze i od czasu do czasu rzucał wściekłe spojrzenie na Margo, która szyla sobie na maszynie jakąś przezroczystą szatę i śpiewała fałszywie jedyną zapamiętaną linijkę ulubionej w tym momencie piosenki.

– Miała na sobie bluzeczkę niebieską – zawodziła. – Miała na sobie bluzeczkę niebieską. Miała na sobie bluzeczkę niebieską. Miała na sobie bluzeczkę niebieską.

– W tym śpiewie na uwagę zasługuje jedynie twoja wytrwałość – powiedział Lany. – Każdy inny człowiek stanąwszy wobec faktu, że nie potrafi zaśpiewać żadnej melodii ani zapamiętać najprostszych słów, dałby już bardzo dawno za wygraną.

Cisnął niedopałek papierosa na płyty kamienne wywołując ryk wściekłości brata.

– Uważaj na proch! – wrzasnął Leslie.

– Leslie, kochanie – zwróciła mu uwagę matka – bardzo cię proszę, żebyś tak nie krzyczał, mylą mi się oczka.

Wyjąłem z dumą moje jeże i pokazałem matce.

– Jakie rozkoszne – spoglądała na nie dobrotliwie przez okulary.

– O Boże, chyba nie przytaszczył czegoś znowu – jęknął Larry. Spoglądał z niesmakiem na

moją różową progeniturę w białych futerkach.

– Co to takiego? – spytał. Wyjaśniłem, że to są małe języki.

– Wykluczone – oznajmił. – Jeże są brązowe.

Całkowita ignorancja mojej rodziny, jeśli idzie o otaczający ją świat, zawsze była dla mnie źródłem udręki, wykorzystywałem więc każdą sposobność, żeby podzielić się z nimi swoją wiedzą. Wyjaśniłem teraz, że samica jeża musiałaby znosić najbardziej wymyślne tortury rodząc dzieci pokryte twardymi igłami, wobec czego małe języki rodzą się w tych elastycznych białych kolcach, które dają się zginać w palcach jak piórko. Później, w miarę dorastania, igły pociemniają i zesztynniają.

– A jak chcesz je karmić, kochanie? Mają takie malutkie pyszczki – pytała matka. – Przecież muszą jeszcze pić mleczko.

Odparłem, że widziałem w mieście, w sklepie z zabawkami, małą lalczyną wyprawkę niemowlęcą. Składa się ona z kilku pozycji zupełnie bezsensownych, jak celuloidowa lalka, pieluszki, nocniczek i tak dalej, ale jedna rzecz zwróciła moją uwagę, mianowicie miniaturowa buteleczka z zapasem malutkich czerwonych smoczków. To, tłumaczyłem, będzie się idealnie nadawało do karmienia małych języków, podczas gdy lalkę, nocniczek i inne dodatki można będzie oddać jakiemuś poczciwemu dziecku ze wsi. Istniała tylko jedna przeszkoda, ta mianowicie, że w ostatnim okresie miałem bardzo duże wydatki (między innymi kupowałem drut na klatkę dla srok) i pod względem finansowym jestem na minusie.

– No cóż, synku – w głosie matki brzmiało powątpiewanie – jeśli ta wyprawka nie jest zbyt droga, może będę ci ją mogła kupić.

Wyjaśniłem natychmiast, że ona w ogóle nie jest droga, zważywszy, że należałoby ją traktować właściwie jako inwestycję, nie tylko bowiem zdobywamy bezcenną butelkę na mleko, która bardzo się przyda również dla innych zwierząt, ale będziemy mogli wychować cztery oswojone jeże i zyskać na dodatek wdzięczność wiejskiego dziecka. Czy można, zapytałem, w piękniejszy sposób wydać pieniądze? Tak więc wyprawka została zakupiona. Pewna mała wiejska dziewczynka, która mi się całkiem podobała, otrzymała lalkę, nocniczek i inne bzdury okazując zadowolającą wszystkich radość, ja zaś wziąłem się za męską sprawę wychowania dzieci.

Mieszkały u mnie pod łóżkiem w wielkim kartonowym pudle wysłanym wata. W nocy, chcąc im zapewnić ciepło, stawiałem pudło na gumowym worku z gorącą wodą. Bardzo chciałem, żeby sypiały ze mną w łóżku, ale mama mi to wyperswadowała, dowodząc, że to nie tylko niehigieniczne, ale grozi zaduszeniem małych we śnie. Stwierdziłem, że najlepiej się żywią rozcieńczonym mlekiem krowim i karmiłem je sumiennie trzy razy dziennie i czwarty raz – w nocy. Nocne karmienie okazało się nieco trudne, chcąc bowiem mieć pewność, że się obudzą, pożyczyłem od Spiro wielki blaszany budzik. Ten o wyznaczonej godzinie rozpoczynał serię

ognia z karabinu maszynowego i, niestety, budził nie tylko mnie, ale i całą rodzinę. Podniósł się taki krzyk, że matka zaproponowała, bym jednak nocne karmienie przesunął z drugiej nad ranem, kiedy to się wszyscy budzą, na późny wieczór, kiedy idą spać. Przystałem na to, a języki rozwijały się i rosły. Przejrzały już na oczy, a białe igły zaczynały im szarzyć i sztywnieć. Tak jak przewidywałem, uznały, że jestem ich matką, i kiedy otwierałem pudełko, gramoliły się ku mnie, przepychając się i szturchając w walce o pierwszy łyk mleka. Wydawały przy tym sapliwe piski i pochrząkiwania. Byłem z nich niebywale dumny i ufnie wypatrywałem dnia, kiedy będą mi dreptać przy piętach na spacerze w gaju oliwnym.

Aż tu niespodzianie otrzymaliśmy z matką zaproszenie na weekend do znajomych na południowym krańcu wyspy, a ja stanąłem wobec dylematu. Ogromnie chciałem pojechać, gdyż przybrzeżne płycizny tam, na południu, obfitowały w jeżowce sercowate, które zresztą przypominają nieco małe jeże. Mają kształt serca i pokryte są giętkimi igłami tworzącymi przy końcu puszysty ogonek, a wzdłuż grzbietu sterczący pióropusz indiański. Dotychczas znalazłem tylko jednego i to całkiem rozgniecionego przez fale, właściwie nie do rozpoznania, słyszałem jednak od Teodora, że na południu wyspy można ich znaleźć mnóstwo na kilka cali pod piaskiem. Musiałem się jednak zastanowić, co z moją jeżową rodziną: nie mogłem ich zabrać ze sobą, a że matka jechała ze mną, nie pozostawał w domu nikt, komu bym mógł naprawdę zaufać i powierzyć opiekę nad nimi.

– Ja się nimi zajmę – zaproponowała Margo. – Kochane maleństwa.

Miałem wątpliwości. Czy znane jej są, pytałem, zawilosci chowu jeży? Czy wie, na przykład, że watę w pudełku trzeba zmieniać trzy razy dziennie? Że muszą dostawać mleko rozcieńczone wodą? Że trzeba je zagrzać do temperatury ciała, ale nie więcej? I, co najważniejsze, że każdy z nich może wypić podczas jednego karmienia tylko pół buteleczki pokarmu? Stwierdziłem bowiem szybko, że jeśli się im pozwoli, przeżrą się do nieprzytomności, co pociąga za sobą fatalne skutki, między innymi również częstsze zmienianie waty.

– Nie bądź głupi – oburzyła się Margo. – Oczywiście, że po trafię się nimi zająć. Przecież znam się na niemowlętach i w ogóle. Spisz mi tylko na kartce, co mam robić, a niczego im nie zabraknie.

Moje wątpliwości obudziły takie oburzenie Margo, że, acz niechętnie, dałem za wygraną. Wymogłem na Lanym, który akurat był w dobrym humorze, by ml spisał na maszynie listę nakazów i zakazów dla hodowców jeży, po czym odbyłem z Margo ćwiczenia praktyczne w zakresie butelki i zmiany waty.

– Wyglądają na strasznie wygłodzone – powiedziała Margo podnosząc po kolei z pudełka wierzące się, piszczące małe i wsuwając smoczek w chciwy, wysunięty pyszczek.

Powiedziałem, że zawsze są takie. Nie trzeba na to zwracać uwagi. Po prostu są żarłoczne z natury.

– Biedne maleństwa! – westchnęła Margo.

Powinienem być wyczuć w tym ostrzeżenie.

Spędziłem cudowny weekend. Spaliłem sobie boleśnie skórę, bo słabe wiosenne słońce jest bardzo zdradzieckie, ale wróciłem wioząc w triumfie osiem jeźwoców sercowatych, cztery nowe muszle do mojej kolekcji i malutkie pisklę jaskółki, które wyleciało z gniazda. Po przyjeździe do domu musiałem najpierw przejść przez powitalne szczekania, lizania i iskania psów, które zawsze tak witają człowieka, jeśli był poza domem dłużej niż dwie godziny, po czym zapytałem żywo Margo, jak się mają jeże.

– Teraz już całkiem dobrze – odparła. – Ale doprawdy, Geny, moim zdaniem bardzo źle traktujesz te swoje zwierzaki. Przecież zagłodziłeś biedactwa niemal na śmierć. Takie były wygłodniałe, nie masz pojęcia.

Z okropnym mdlącym uczuciem na dnie żołądka słuchałem wywodów mojej siostry.

– Takie wygłodzone biedactwa. Czy wiesz, że wypijały po dwie butelki podczas każdego karmienia?

Przerazony rzuciłem się do mojego pokoju i wyciągnąłem pudło spod łóżka. Wewnątrz leżały moje cztery języki, niewiarygodnie wzdęte. Brzuszek miały tak ogromne, że mogły już tylko ruszać słabo łapkami, o chodzeniu nie było mowy. Przekształciły się w różowe worki pełne mleka, oszronione kolcami. Wszystkie umarły tej nocy, a Margo szlochała nad ich wzdętymi jak baloniki ciałkami. Jej ból nie przyniósł mi jednak ulgi, nigdy już bowiem cztery jeże nie będą mi dreptać przy nodze w gaju oliwnym. Ukaralem moją lekkomyślną siostrę wykopawszy w ogrodzie cztery mogiłki, nad którymi wzniosłem jako wieczystą przestrożę cztery małe krzyżyki i przez cztery dni nie otwierałem ust do Margo.

Lecz moja rozpacz z powodu śmierci języków nie trwała długo, jako że w tym właśnie czasie pojawili się ponownie na wyspie Donald i Max, którzy przyплыли triumfalnie na jachcie długości trzydziestu stóp, a Larry wprowadził do naszego grona kapitana Creecha.

Spędziliśmy z matką niezwykle miłe popołudnie w gaju oliwnym. Matka zbierała kwiaty i zioła, a ja łapałem świeżo przeobrażone motyle. Zmęczeni, ale szczęśliwi, wracaliśmy do domu na herbatę. Kiedy willa znalazła się już w zasięgu naszego wzroku, matka przystanąła gwałtownie.

– Kim jest ten mężczyzna, który siedzi u nas na werandzie?

Pochłonięty byłem rzucaniem psom patyków, więc nie bardzo uważałem. Teraz dopiero zobaczyłem wyciągniętą na werandzie dziwną postać w wymiętym białym drelichu.

– Kto to jest? Widzisz stąd? – pytała matka ze zdenerwowaniem.

W tym okresie matkę dręczyły przykre wyobrażenia, że w każdej chwili może przylecieć na Korfu dyrektor naszego banku w Anglii przygnany tu palącą koniecznością omówienia sprawy wystawianych przez nią czeków bez pokrycia. Nieznana postać na werandzie ożywiła teraz te

obawy.

Przyjrzałem się uważnie naszemu gościowi. Był stary, niemal całkiem łysy, a resztki włosów przyklejone u nasady czaszki miał długie, białe i tak wiotkie jak puchy ostu późnią jesienią. Miał również nieporządną siwą brodę i wąsy. Zapewniłem matkę, że moim zdaniem, w najmniejszym stopniu nie wygląda na dyrektora banku.

– Och, Boże – zirytowała się matka. – Że też musiał przyjść akurat teraz. Nie mam nic do herbaty. I kto to może być?

Kiedy podeszliśmy bliżej, przybysz drzemiący dotąd błogo obudził się gwałtownie i spostrzegł nas.

– Ahoj, wy tam! – krzyknął tak nagle i głośno, że matka potknęła się i omal nie upadła. – Ahoj! Pani jest pewno matka Durrell, a ten chłopiec to syn, oczywista. Larry wszystko mi opowiedział. Witajcie na pokładzie.

– O Chryste – szepnęła do mnie matka. – Znów jakiś od Larry’ego!

Z bliższej odległości mogłem zauważyć, że nasz gość ma niesamowitą gębę, różową i guzowatą jak orzech. Nos jego musiał widocznie otrzymać kiedyś wiele potężnych ciosów, bo skręcał mu się w dół twarzy niby wąż. Szczęka zapewne przechodziła podobne koleje, bo wisiała, zwichrowana, jakby ją niewidzialna nitka szepiała z muszlą prawego ucha.

– Miło mi panią poznać – oznajmił z rozpromienionymi kaprawymi oczyma, tonem właściciela naszej willi. – A niech mnie, ładniejsza z pani kobitka, niż sądziłem z opowiadań syna.

Matka wyraźnie zeszywniała i upuściła jeden zawilec z uzbieranego bukietu.

– Nazywam się – oznajmiła z godnością – pani Durrell, a to jest mój syn, Gerald.

– Nazywam się Creech – oświadczył stary. – Kapitan Patrick Creech. – Przerwał, by splunąć celnie i z młaśnięciem ponad poręczą werandy na rabatę ukochanych cynii matki. – Witajcie na pokładzie – powtórzył jowialnie – bardzo mi przyjemnie.

Matka chrząknęła nerwowo.

– Czy mój syn, Lawrence, jest w domu? – zapytała tonem wytwornej arystokratki, którego używała tylko w chwilach najwyższego napięcia.

– Nie, nie – odparł kapitan Creech. – Zostawiłem go w mieście. Kazał mi przyjść na herbatę. Mówił, że niedługo przycumuje.

– No cóż – matka robiła dobrą minę do złej gry. – Proszę, niech pan siada. Muszę pana przeprosić na chwilę, przygotowuję ołatki.

– Ołatki, ech? – kapitan Creech spojrzał na matkę tak lubieżnym wzrokiem, że upuściła następne dwa kwiaty. – Lubię ołatki i lubię na pokładzie takie zręczne kobitki jak pani.

– Geny – głos matki był jak lód. – Zajmij się kapitanem, a ja przygotowuję herbatę.

Wykonała szybki i niezbyt dystygowany odwrót, mnie pozostawiając, bym radził sobie

z kapitanem Creechem.

Ten osunął się z powrotem na krzesło i wpatrywał się we mnie wodnistymi oczyma spod postrzępionych siwych brwi. Wpatrywał się tak nieporuszenie, że zacząłem się nieco denerwować. Świadom obowiązków gospodarza poczęstowałem go papierosami w pudełku. Zajrzał do pudełka jak do studni, przez cały czas kłapiąc szczęką niby kukła brzuchomówcy.

– Śmierć! – ryknął tak nagle i głośno, że papierosy niemal wypadły mi z ręki. Potem rozsiadł się wygodnie w krzesle i utkwiał we mnie niebieskie oczy.

– Papierosy to śmierć, smyku – oznajmił. Pogrzebał w kieszeniach drelichowych spodni i wyciągnął pękatą fajkę, czarną i chropowatą niby węgiel. Wetknął to w zęby, a szczeka jego nabrała jeszcze bardziej koślawego wyglądu.

– Nie zapomnij nigdy – pouczył mnie – że fajka to najlepszy przyjaciel mężczyzny.

Pokwitował swój dowcip rykiem śmiechu, a ja, jako dobry gospodarz, również się roześmiałem. Wstał, splunął siarczyście nad poręczą werandy i opadł znowu na krzesło. Szukałem w myślach tematu do rozmowy, ale nic mi się jakoś nie nasuwało. Z pewnością nie zainteresuje go fakt, że usłyszałem dzisiaj pierwszą cykadę ani że kura Agaty zniosła sześć jajek wielkości orzechów laskowych. Zastanawiałem się, czy przy swoich żeglarskich zamiłowaniach przejmie się niesłychaną wiadomością, iż Taki, którego nie stać było na łódź, łowił nocą (trzymając w jednej ręce wysoko nad głową światło, a w drugiej harpun) i przebił sobie na wylot stopę tym harpunem, sądząc, że to jakaś egzotyczna ryba. Ale kapitan Creech, który spoglądał na mnie spoza oleistych dymów swojej fajki, sam pierwszy zaczął rozmowę.

– Dziwi cię moja gęba, co, smyku – w jego głosie brzmiało wyraźne oskarżenie. Zauważyłem, że gdy mówił, skóra mu na policzkach ciemniała i robiła się lśniąca jak atlas. Nim zdążyłem wykrztusić zaprzeczenie, ciągnął:

– To wszystko przez łajbę, rozumiesz. Przez łajbę. Okrążaliśmy Horn. Wiatr jak cholera, prosto z dupy ziemi. Upadłem, uważasz? Żagle łopotwały, waliły jak pioruny. Lina wysliznęła mi się z palców jak naoliwiony wąż. I łup łbem o pokład. Robili z tym, co mogli... nie było oczywiście lekarza na łajbie. – Przerwał i w zamyśleniu pomacał swoją szczękę. Siedziałem zafascynowany jak przykuty do krzesła. – Nim dopłynęliśmy naokoło do Chile, wszystko już się pozrastało – mówił dalej, gładząc szczękę. – Miałem wtedy szesnaście lat.

Nie wiedziałem, czy mam mu wyrazić współczucie, czy nie. Ale on zapadł w zamyślenie i siedział tak z pustymi, niebieskimi oczyma. Na werandę weszła matka i przystanąła, uderzona naszą nieruchomością.

– Chile – powiedział kapitan z upodobaniem. – Chile. Tam po raz pierwszy złapałem trypra. Matka drgnęła, potem chrząknęła głośno.

– Geny, proszę, przyjdź tutaj zaraz i pomóż mi przynieść herbatę.

Wynieśliśmy razem dzbanek herbaty, mleko, filiżanki i talerzyki ze złotożółtymi ołatkami

i grzankami przygotowanymi przez matkę.

– Żarcie – mówił kapitan wpychając placek do ust. – Człowiekowi zaraz przestaje burczeć w brzuchu.

– Czy pan... eem... zamierza zostać na dłużej? – zapytała matka z nadzieją, że odpowiedź będzie przecząca.

– Może tu osiadę na starość – odparł niewyraźnie kapitan Creech ocierając okruchy z wąsów. – Całkiem przyjemne miejsce. Może tu zarzucę kotwicę.

Wskutek zwichrowania szczęki musiał głośno siorbać herbatę. Widziałem, że przerażenie matki wzrasta.

– Czy pan... emmm... ma statek? – zapytała.

– Nie ma obawy – kapitan Creech sięgnął po następny placek. – Emerytura stuknęła. Mam teraz czas lepiej przyjrzeć się kobitkom.

Mówiąc to przyglądał się matce w zamyśleniu, żując raźnie ołatki.

– Łóżko bez kobiety to jak okręt bez kotwicy – stwierdził.

Na szczęście oszczędzona została matce odpowiedź, a to dzięki przyjazdowi samochodu, w którym siedziała reszta rodziny oraz Donald i Max.

– Przyjechaliśmy, mamusia – oznajmił Max z promiennym uśmiechem, obejmując ją czule.

– A widzę, że nadażaliśmy w herbatę. Cycuszki! Cudownie! Donald! Mamy cycuszki na herbatę.

– Racuszki – poprawił Donald.

– To są ołatki – ucięła matka.

– Dziwki w Montevideo, te miały cycuszki! – westchnął kapitan Creech. – Pamiętam jedną. Przez dwa dni zabawiała cały statek. Dzisiaj już się takie nie rodzą!

– Kto to jest ten obrzydliwy starzec? – zapytała matka przy pierwszej okazji, kiedy udało jej się przydybać Larry'ego z dala od bawiącego się teraz doskonale towarzystwa.

– Nazywa się Creech – odparł Lany.

– Tyle wiem, ale czemu go sprowadziłeś do domu?

– To interesujący staruch – odparł Lany – i sędzę, że mu się nie przelewa. Chce zdaje się osiąść tutaj i żyć z nędznej emerytury.

– W każdym razie nie będzie żył z nas – oświadczyła stanowczo matka. – Nie zapraszaj go więcej.

– Myślałem, że ci się spodoba – mówił Lany. – Zjechał cały świat. Był w Indiach. Zna masę fascynujących historii.

– Jeśli o mnie idzie, może sobie jechać dalej, a to, co nam opowiadał, nie było wcale fascynujące.

Kapitan Creech jednak, kiedy już raz u nas „zakotwiczył”, jak sam to określił, stał się częstym gościem. Zauważyliśmy, że przychodzi na ogół w porach posiłków, krzycząc: „Ahoj,

wy, tam! Mogę wejść na pokład i pokłapać trochę szczęką?” – Trudno było mu tego odmówić, jako że aby do nas dotrzeć, musiał zrobić piechotą co najmniej dwie i pół mili przez gaj oliwny, toteż matka, mruczając coś niemiłego, biegła do kuchni, dolewała wody do zupy i przepoławiała kielbaski, by kapitan Creech mógł się do nas przyłączyć. Raczył nas wówczas opowieściami ze swego życia na morzu i nazwami portów, do których zawijał. Nazwy, znane mi z mapy jedynie, sypały się zachęcająco z jego zwichrowanej gęby. Trinkomali, Darwin i Durban, Buenos Aires, Wellington i Kalkuta, wyspy Galapagos, wyspy Seszele i Wyspy Przyjacielskie. Nie istniał chyba żaden zakątek ziemi, do którego by nie dotarł. Urozmaicał te opowiadania przydługimi i wyjątkowo wulgarnymi śpiewkami marynarskimi i limerykami pełnymi tak biologicznych zawiłości, że matka, na szczęście, nic z tego nie mogła zrozumieć.

A potem przyszedł niezapomniany dzień – kapitan Creech zjawił się, całkiem nieproszony, na herbacie, kiedy my, bardziej z poczucia obowiązku niż z religijnej żarliwości, podejmowaliśmy właśnie miejscowego pastora z żoną. Ku naszemu zdziwieniu kapitan Creech zachowywał się wyjątkowo przyzwoicie. Wymienił z pastorem poglądy na temat węży morskich i wysokości fal przyływu i wyjaśnił jego żonie różnicę między szerokością a długością geograficzną. Maniery miał nienaganne i byliśmy z niego bardzo dumni. Niestety pod koniec wizyty pastorowa niezwykle sprytnie skierowała rozmowę na swoje dzieci. Temat ten pochłonął ją ze szczerem, można by pomyśleć, że nie tylko jest jedyną kobietą na świecie, która urodziła dzieci, ale nawet, że zostały one niepokalanie poczęte. Uraczywszy nas dziesięciminutowym monologiem na temat niezwyklej bystrości swego potomka, przerwała na chwilę opowieść, by wypić łyk herbaty.

– Jestem trochę za stary, żeby mieć dzieci – zauważył kapitan Creech.

Pastorowa zakrzuszyła się.

– Ale – ciągnął z upodobaniem – wciąż próbuję i mam z tego kupę frajdy.

Podwieczorek nie należał do najbardziej udanych. Pewnego dnia, niedługo po owym podwieczorku, zawitali do nas Donald z Maxem.

– Mamusia – oznajmił Max. – Chcemy porwać mamusia.

– Spacer jachtem – przyłączył się do niego Donald. – Genialny pomysł. Maxa, oczywiście.

– Spacer jachtem dokąd? – pytała matka.

– Wyspą naokoło – wyjaśnił Max wyrzucając długą rękę we wszechogarniającym geście.

– Ale mnie się wydawało, że ty się nie znasz na sterowaniu żaglówką – zauważył Leslie.

– Ja nie będę na sterowaniu, tylko Lany – oświadczył triumfalnie Max.

– Larry? – w głosie Leslie brzmiało niedowierzanie. – Przecież Lany nie ma pojęcia o łodziach.

– Och, nie – zapewnił go Donald z powagą. – Nie. On doskonale się zna. Brał lekcje od kapitana Creecha. Kapitan też płynie jako załoga.

– No cóż, to przesądza sprawę – oznajmiła matka. – Nie popłynę jachtem z tym obrzydliwym starcem, nie mówiąc już o niebezpieczeństwie, jakim grozi żagiel w rękach Lany’ego.

Robili, co mogli, by ją przekonać, ale była nieugięta. W ramach ustępstwa zgodziła się, by reszta rodziny w towarzystwie Teodora pojechała samochodem na drugi koniec wyspy i spotkała się z żeglarzami w pewnej zatoce, gdzie urządzimy piknik, a nawet wykapiemy się, jeśli będzie dosyć ciepło.

Kiedy ruszaliśmy, ranek był jasny i słoneczny, wyglądało na to, że zapowiada się idealna pogoda zarówno na żagiel, jak piknik, kiedy jednak dotarliśmy do przeciwnego krańca wyspy i rozpakowaliśmy rzeczy do jedzenia, zaczęło się zanosić na *sirocco*. Poszedłem z Teodorem między drzewami na brzeg zatoki. Morze zrobiło się stalowoszare a wiatr rozciągnął i wykrochmalił liczne białe chmury na niebieskim niebie. Nagle w dali nad morzem ukazały się trzy trąby morskie, które zawisły nad horyzontem niby olbrzymie falujące szyje jakichś prehistorycznych potworów. Skłaniając się i balansując na tle nieba, wdzięczne jak łabędzie, zatańczyły i zniknęły.

– Aha – mówił Teodor, przyglądając się temu zjawisku z za interesowaniem. – Nigdy nie widziałem trzech naraz. Bardzo osobliwe. Zauważyłeś, jak się razem poruszały, niemal tak, jak by były... eem... no wiesz, zwierzętami w stadzie.

Powiedziałem, że chciałbym je obejrzeć z bliższej odległości.

– Ehm – Teodor pocierał kciukiem brodę. – Nie sędzę, żeby ktokolwiek pragnął... ehm... bliskich kontaktów z trąbą morską. Byłem kiedyś w pewnej miejscowości w Macedonii, gdzie taka trąba... ehm... wiesz, wyszła na ląd. Zostawiła po sobie pas zniszczeń szeroki na dwieście jardów a długi na ćwierć mili, i to, wiesz, w głębi lądu. Nawet całkiem duże drzewa oliwne zostały... wiesz... zniszczone, a mniejsze strzaskane jak zapalki. No i, rzecz jasna, w miejscu, w którym trąba wodna wreszcie się załamała, ziemia została nasycona tonami słonej wody, wobec czego była... ehm... zupełnie nieprzydatna do uprawy.

– Słuchajcie, widzieliście te cholerne, ogromne trąby morskie? – zapytał Leslie wychodząc spośród drzew.

– Tak, bardzo osobliwe – odparł Teodor.

– Matka wpadła w panikę. Jest pewna, że kierują się prosto na Larry’ego.

– Nie sędzę, żeby istniało takie niebezpieczeństwo – pokręcił głową Teodor. – Wydaje mi się, że są zbyt daleko od brzegu.

Nim zainstalowaliśmy się w gaju oliwnym na skraju zatoki, było już oczywiste, że czeka nas gwałtowne i nagłe *sirocco*, jedno z tych, które tak często wieją o tej porze roku. Wiatr smagał drzewa i spieniał powierzchnię wody.

– Możemy chyba wracać do domu – stwierdził Leslie. – Piknik w takich warunkach nie

będzie specjalną przyjemnością.

– Nie możemy wracać, kochanie – tłumaczyła mu matka. – Obiecaliśmy Larry’emu, że się tu z nim spotkamy.

– Jeśli mają trochę oleju w głowie, to przybiją gdzie indziej.

– Nie powiem, żebym im zazdrościł żeglowania w taką paskudną pogodę – mówił Teodor patrząc na fale bijące o skały.

– Och, Boże, mam nadzieję, że im się nic nie stanie – martwiła się matka. – Lany jest doprawdy bardzo nierozsądny.

Czekaliśmy godzinę, a przerażenie matki wzrastało z każdą chwilą. Wreszcie Leslie, który wdrapał się na pobliski cypel, wrócił z wiadomością, że ich widzi.

– Słowo daję, aż dziw bierze, że tu dopłynęli – dodał. – Bom im się majta na wszystkie strony i płyną zataczając kółka.

Po chwili jacht skierował się ku wąskiemu wejściu do zatoki i mogliśmy już dojrzeć Donalda i Maxa, którzy miotali się po pokładzie, ciągnąc liny i żagle, kapitan Creech zaś i Larry, wczepieni w rumpel, najwidoczniej rzucali rozkazy. Przyglądaliśmy się z zaciekawieniem, jak sobie dają radę.

– Mam nadzieję, że pamiętają o rafie – powiedział Leslie.

– O jakiej rafie? – przeraziła się matka.

– Tam, tam gdzie woda tak się pieni, jest cholernie duża rafa – tłumaczył Leslie.

Spiro stał wpatrzony w morze jak brązowa chimera, a twarz miał nachmurzoną.

– Ja nie lubię ten widok, paniczu Leslie – odezwał się ochrypłym szeptem. – Oni i żeglarze to zupełnie nie to samo.

– O, Boże – jęknęła matka. – Czemu ja się na to zgodziłam? W tej chwili (Jak się dowiedzieliśmy później, Donald z Maxem źle zrozumiałwszy komendę poluzowali kawał żagla, zamiast go wybrać) – otóż w tej chwili stało się kilka rzeczy naraz. Żagle pochwyciły raptem zbłąkany podmuch wiatru i wydeły się. Bom przeleciał na drugą stronę łodzi z druzgocącym trzaskiem, który zahuczał nam w uszach i wyrzucił Maxa za burtę. Jacht niemal położył się na wodzie i pchnięty podmuchem najechał z niebywale długim, skrzypliwym dźwiękiem prosto na rafę, gdzie przez jeden krótki moment tkwił z dziobem wzniesionym w górę, a potem, jakby w przyplwywie rozpaczy nad wyrzuconym do morza majtkiem, położył się ociężale na boku. Na brzegu rozpętało się piekło.

Matka krzycząc:

– O, Boże, o, Boże! – musiała usiąść gwałtownie na korzeniach drzewa oliwnego. Margo wybuchnęła płaczem, załamywała ręce i krzyczała:

– Utopią się, utopia!

Spiro, Leslie i ja pobiegliśmy na skraj zatoki. Niewiele mogliśmy zrobić, jako że nie było

żadnej łodzi, w której można by popłynąć na ratunek. Po chwili jednak zobaczyliśmy naszych czterech doborowych żeglarzy płynących od wraka jachtu do brzegu, przy czym Larry i Donald wyraźnie ciągnęli kapitana Creecha. Spiesznie zrzuciliśmy ze Spiro i Lesliem ubrania i skoczyliśmy do wody. Była lodowato zimna a fale silniejsze, niż przypuszczałem.

– Nic wam nie jest? – krzyknął Leslie, kiedy flotylla rozbitków zbliżyła się ku nam.

– Nic – odkrzyknął Max. – Zdrowi jak ryba!

Miał na czole dziurę długości czterech cali, a krew zalewała mu twarz i wąsy. Lany miał jedno oko podbite, opuchlizna rośła w oczach. Gęba kapitana Creecha podskakująca na fali między Lanym i Donaldem, nabrała przedziwnego koloru lila-róż, przypominającego kwiat śliwy.

– Pomóżcie nam z kapitanem! – krzyczał Larry. – Ten głupi stary dureń przyznał się, że nie umie pływać, dopiero jak wpadaliśmy do wody.

Wraz z Lesliem i Spiro chwyciliśmy kapitana Creecha zwalnając zadyszanego Larry'ego i Donalda od obowiązku akcji ratunkowej. Zapewne przedstawialiśmy niebywały widok, brnąc, zasapani, przez pływającą i wylazając na brzeg. Leslie i Spiro podtrzymywali z dwóch stron starego, jako że istniało poważne niebezpieczeństwo, iż nogi mu się zawiążą w supełek.

– Ahoj! – krzyczał do matki. – Ahoj, moja mała!

– Spójrzcie na głowę Maxa – wrzasnęła Margo. – Wykrwawi się na śmierć!

Chwiejnym krokiem dobrnęliśmy pod osłonę drzew oliwnych, gdzie matka, Margo i Teodor udzielili spiesznie pierwszej pomocy Maxowi i Larry'emu, my zaś złożyliśmy kapitana pod oliwką, jako że nie był zdolny utrzymać się na nogach.

– Nareszcie w porcie – stwierdził z zadowoleniem. – Nareszcie w porcie, jeszcze zrobię z was żeglarzy, chłopaki.

Teraz, kiedy otrząsnęliśmy się już z oszołomienia, zdaliśmy sobie sprawę, że kapitan Creech jest pijany jak bela.

– Doprawdy, Lany, muszę się na ciebie gniewać – mówiła matka. – Przecież mogliście się wszyscy potopić.

– To nie moja wina. – Larry był boleśnie dotknięty. – Wykonywaliśmy rozkazy kapitana, tylko że Donald i Max pociągnęli nie te liny, co trzeba.

– Jakże ty mogłeś słuchać jego rozkazów? Przecież jest pijany.

– Nie był pijany, kiedy wypływalimy. Musiał gdzieś na łodzi mieć ukrytą butelkę. Teraz, jak pomyślę, przypominam sobie, że istotnie zbyt często znikał w kabinie.

– Nie ufaj chłopcu, śliczna panienko – śpiewał drżącym barytonem kapitan – i nie daj mu tego, co masz pod sukienką...

– Obrzydliwy, nieokrzesany staruch – mówiła matka. – Doprawdy, Larry, bardzo się na ciebie gniewam.

– Dajcie łyka, chłopaki – chrypiał kapitan wymachując rękami ku sponiewieranym niedoszłym żeglarzom. – Nie można płynąć bez łyka.

Wysuszyliśmy się wreszcie na tyle, na ile to było możliwe, wyżełiliśmy jeden drugiemu ubranie, a potem, drżąc z zimna, ruszyliśmy pod górę do samochodu.

– A co z jachtem? – zapytał Leslie, widząc że Donald i Max, właściciele, jakoś nie wydają się przejęci losem swojej łodzi.

– Zatrzymamy się niedaleko – oświadczył Spiro. Znam tam jednego, co urządzi łódź.

– Sądzę – mówił Teodor – że gdybyśmy mieli ze sobą jakiś alkohol, dobrze byłoby dać odrobinę Maxowi. Po takim uderzeniu może być teraz w szoku.

– Mamy chyba trochę brandy – odparła matka sięgając w głąb samochodu.

Wyciągnęła butelkę i szklaneczkę.

– Co za kobita! – Kapitan Creech wlepił w butelkę pełne zachwytu, wodniste, rozmarzone spojrzenie. – Właśnie to mi pan doktor przepisał.

– Pan tego nie dostanie – ucięła krótko matka. – To jest dla Maxa.

Musieliśmy się usadowić w samochodzie jak się da, jedno drugiemu na kolanach, by jak najwięcej miejsca zostawić Maxowi, który nabrał paskudnej ołowianej barwy i trząsł się w paroksyzmie silnych dreszczy. Matka, ku swojej wściekłości, została chcąc nie chcąc, upchnięta koło kapitana Creecha.

– Niech mi pani siada na kolanach – zaprosił ją gościnnie. – Możemy się trochę popieścić dla rozgrzewki.

– Z całą pewnością nie usiądę – odparła sztywno matka. – Już prędeż na kolanach Donalda.

W drodze powrotnej przez wyspę do miasta kapitan raczył nas śpiewkami marynarskimi w swoim wydaniu. Moja rodzina klóciła się zajadle.

– Bardzo proszę, Lany, żebyś mu zabronił tego śpiewać – denerwowała się matka.

– Jak ja mu mogę zabronić? Ty siedzisz z tyłu. Ty mu zabroń...

– To przecież twój przyjaciel!

– Patrzcie, co za heca, ona nie ma cyca, dzieciak drze się z głodu i nie bez powodu...

– Mógł was wszystkich zabić, nieokrzesany obrzydliwiec – mówiła matka.

– Bogiem a prawdą to wszystko wina Larry’ego – stwierdził Leslie.

– Nieprawda – oburzył się Larry. – Nie byłeś, więc nie wiesz. Strasznie jest trudno, jak ci ktoś wrzeszczy, żebyś sterował na nawietrzną czy coś takiego, a naokoło sztorm jak cholera.

– Pewna dama z San Diego uwiodłaby i świętego – ciągnął z upodobaniem kapitan Creech.

– Żal mi tylko Maxa – Margo spoglądała na rannego ze współczuciem.

– Nie rozumiem, dlaczego byś miała mu współczuć – oko Larry’ego było już niemal niewidoczne, pozostawał tylko placek intensywnej lśniącej czerni. – To wszystko przez tego idiotę. Panowałem doskonale nad jachtem, póki on nie poluzował żagla.

– No cóż, nie mogę cię uważać za żeglarza – upierała się Margo – bo żeglarz nie kazałby mu luzować żagla.

– O to właśnie idzie – warczał Larry. – Ja mu wcale nie kazałem. On go poluzował sam z siebie.

– Na pięknym statku Venus... – zaczął kapitan, który miał widać niewyczerpany repertuar.

– Nie kłóćcie się dzieci – prosiła matka. – Mam silną migrenę. Im szybciej dojedziemy do miasta, tym lepiej.

Dojechaliśmy wreszcie, zawieźliśmy Donalda i Maxa do ich hotelu, a rozśpiewanego wciąż kapitana do jego hotelu, po czym mokrzy, zziębnięci i zgorzkniali pojechaliśmy do domu.

Następnego dnia rano siedzieliśmy na werandzie kończąc śniadanie. Wszyscy czuliśmy się podle. Oko Larry'ego nabrało teraz barwy słońca o zachodzie, którą oddać by mógł jedynie pędzel Turnera. Nadjechał Spiro jak szalony, a psy w pościgu za samochodem warczały i usiłowały chwycić zębami za koła.

– Och, żeby też Spiro nie robił zawsze tyle hałasu – mruknął Larry.

Spiro wkroczył na werandę i rozpoczął swój zwykły poranny ceremoniał.

– Dzień dobry, pani Durrell, dzień dobry, panienko Margo, dzień dobry, paniczu Lany, dzień dobry, paniczu Leslie, dzień dobry, paniczu Geny. Jak oko, paniczu? – zwrócił się do Larry'ego wykrzywiając gębę współczującym grymasem.

– W tej chwili czuję się tak, jakbym miał do końca moich dni chodzić z białą laseczką – wyjaśnił mu ponuro Lany.

– Dla pani list – zwrócił się Spiro do matki.

Matka nałożyła okulary i otworzyła list. Czekaliśmy, zaciekawieni. Twarz matki gwałtownie poczerwieniała.

– Co za bezczelność! Co za zuchwalstwo! Ohydny, nieokrzesany staruch! Doprawdy, nigdy w życiu nie słyszałam czegoś podobnego.

– Cóż się takiego stało, u Boga Ojca? – zdumiał się Larry.

– Ten wstrętny, obleśny staruch – matka wymachiwała listem. – To twoja wina, tyś go wprowadził do tego domu!

– Co ja znowu takiego zrobiłem? – pytał zdumiony Larry.

– Obrzydliwy, bezczelny staruch! Oświadcza mi się w tym liście – odparła matka.

Zapadła chwila oszołomionego milczenia, podczas której uświadamialiśmy sobie znaczenie tych niebywałych słów.

– Oświadcza ci się? – zapytał ostrożnie Larry. – Pewno proponuje ci nielegalny związek?

– Nie – odparła matka. – Powiada, że chce się ze mną ożenić. Że taka ze mnie urocza kobitka i podobne sentymentalne brednie.

Cała rodzina, zjednoczona wreszcie, ryknęła jednym wielkim nieprzytomnym śmiechem.

– To nic śmiesznego! – Matka, rozjuszona, chodziła tam i z powrotem po werandzie. – Musisz coś z tym zrobić!

– Och! – Larry otarł wreszcie oczy. – Och, to najpiękniejsza historia od wieków. Pewno uważa, że ponieważ ściągnął wczoraj w twojej obecności spodnie, żeby je wyżyć, musi ratować twój honor.

– Przestań się śmiać – denerwowała się matka. – To wcale nie zabawne.

– Już to widzę – mówił obłudnie Lany. – Ty w białych muślinach, ja z Leslieem w cylindrach, prowadzimy cię do ołtarza, Margo jako drużna, a Gerry jako paż. Co za wzruszająca scena. Kościół będzie na pewno pełny wyranżerowanych pań lekkiego prowadzenia, czyhających na to, by zgłosić sprzeciw.

Matka rzuciła mu mordercze spojrzenie.

– W naprawdę ciężkich chwilach – powiedziała gniewnie – wy wszyscy nie nadajecie się do niczego.

– Ale ja sędzę, że w bieli będzie ci cudownie – chichotała Margo.

– Gdzie pojedziecie spędzić miesiąc miodowy? – pytał Lany. – Powiadają, że na Capri jest rozkosznie o tej porze.

Matka jednak nie słuchała. Zwróciła się do Spiro tchnąć determinacją z całej postaci:

– Spiro, masz powiedzieć kapitanowi, że odpowiedź jest odmowna i że nie chcę go nigdy więcej widzieć w tym domu.

– Och, mam, nie bądź taka – protestował Lany. – Nie widzisz, że nam, dzieciom, potrzeba ojca?

– A wy wszyscy – matka obróciła się do nas z furią – macie w przyszłości milczeć o tej sprawie. Nie pozwolę, żeby moje imię łączono z tym... z tym... ohydny rozpustnikiem.

I tak nigdy już więcej nie zobaczyliśmy kapitana Creecha. Ale rok zaczynał się pod dobrą wróżbą, jaką była dla nas ta historia, którą zawsze nazywaliśmy wielkim romansiem naszej matki.

Gadająca Głowa

Lato rozwarło się nad wyspą niczym drzwiczki wielkiego piekarnika. Nawet w cieniu gaju oliwnego nie można było znaleźć ochłody, a wydawało się, że z każdym rozpalonym do niebieskości południem nie milknące i przenikliwe nawoływania cykad przybierają na sile, stają się coraz bardziej natarczywa, w rowach i stawach ubywało wody, a błoto na brzegach zaczynało pękać, porysowane i spieczone słońcem. Morze leżało spokojne, bez tchu, jak bela jedwabiu, woda na płyciźnie była zbyt ciepła, by rzeźwić. Trzeba było wypływać dalej, na głębinę, gdzie jedynymi ruchomymi przedmiotami był pływak i jego odbicie, i skakać za burtę w poszukiwaniu ochłody. Człowiek czuł się tak, jakby nurkował w niebo.

Teraz właśnie była najodpowiedniejsza pora na motyle i ćmy. W dzień na zboczach, z których prażące słońce wyssało zdałoby się ostatnią kroplę wilgoci, można było znaleźć wielkie, ospałe pазie królowej, poruszające skrzydłami elegancko i nieco nieprzytomnie w locie z krzaka na krzak; perłowce malinowce rozżarzone i rozognione jak płonące węgle przepływały szybko i zręcznie, muskając to ten, to inny kwiat; bielinki kapustniki, cytrynki cytrynowożółte i pomarańczowe szlaczkonie przemykały tam i z powrotem na swych wystrzępionych skrzydłach. Pośród traw szybowały i ćwierkały szarańcze niby malutkie, brązowe, puszyste aeroplany, a na połyskliwych łupkach gipsowych siadywały rusalki admirały jaskrawe niby jarmarczna biżuteria, zamykając i otwierając skrzydła, jakby wydychały upał. W nocy lampy stawały się rojowiskami ciem, a różowe gekony siedziały na suficie, wielkookie, płaskostope i tak przeżarte, że ledwo mogły się ruszać. Zielonosrebrne zawisała oleandrowce wpadały nagle ni stąd, ni zowąd do pokoju i nurkując w szale miłosnym ku lampie uderzały w nią tak mocno, aż szkło drżało. Zmierzchnice trupie główki w rude i czarne cętki z makabryczną czaszką i skrzyżowanymi piszczelami, haftowanymi na pluszowym futerku odwłoków, staczały się z komina i trzepotały na palenisku piszcząc jak myszy.

Na zboczach wzgórz, gdzie ciągnęły się wielkie połacie wrzosów skruszałych i wyprażonych w słońcu, grasowały żółwie, jaszczurki i węże, zaś z zielonych liści mirtowych zwisały modliszki kołysząc się wolno i złowieszczo z boku na bok. Popołudnie było najlepszą porą na obserwowanie istot mieszkających na wzgórzu, ale również najbardziej upalną. Słońce bębniło mi po czaszce, a rozgrzana ziemia parzyła odziane w sandały stopy jak rozpalona patelnia. Zbój i Szachraj bali się słońca i nigdy mi nie towarzyszyli po południu, ale Roger, niezmordowany badacz przyrody, nigdy mnie nie odstępował, dysząc ciężko i łykając spływającą ślinę wielkimi haustami.

Wiele przeżyliśmy wspólnie przygód. Kiedyś przyglądaliśmy się urzeczeni dwom jeżom, urzniętym w trupa ogromną ilością opadłych i sfermentowanych winogron. Zataczały się, kłapały na siebie wojowniczo zębami, popiskiwały cienko i czekały. Kiedyś znowu oglądaliśmy

młode szczenię lisa, rude jak liść jesienny, które zobaczyło wśród wrzosów pierwszego w życiu żółwia. Żółw w ten typowo żółwi, flegmatyczny sposób złożył się w swojej skorupie, zamknął w niej szczelnie jak waliza. Lisek jednak zauważył jakiś ruch, nastawił więc bacznie uszy i obszedł żółwia ostrożnie. Nagle – był to bowiem jeszcze szczeniak – sięgnął łapą do skorupy i natychmiast odskoczył, oczekując kary. Potem położył się z łbem między łapami i przez kilka minut obserwował to dziwne zwierzę. Wreszcie ruszył ostrożnie naprzód i po kilku bezskutecznych próbach wziął żółwia w pysk i z wysoko podniesioną głową pokłusował dumnie przez wrzosowisko. Na tych właśnie wzgórzach zobaczyliśmy, jak małe żółwie wykluwają się ze swych pergaminowych jaj, każdy tak zasuszony i pomarszczony, jakby w momencie urodzenia miał już tysiąc lat. I tutaj właśnie po raz pierwszy w życiu byłem świadkiem tańca godowego węży.

Siedzieliśmy z Rogerem pod wielką kępą mirtów, które rzucały niewielką łatę cienia dając odrobinę osłony. Spłoszyliśmy jastrzębia na rosnącym nie opodal drzewie cyprysowym i czekaliśmy cierpliwie, by wrócił i byśmy go mogli sklasyfikować. W pewnej chwili zobaczyłem w odległości mniej więcej dziesięciu stóp od miejsca, w którym przycupnęliśmy, dwa węże wijące się między brązową pajęczyną wrzosowych łądyg. Roger zawsze bał się węży, toteż wydał niespokojny cichy skowyt i położył po sobie uszy. Uciszyłem go energicznie i czekałem, wypatrując, co też one zrobią. Wydawało się, że jeden depta drugiemu po piętach. Czy to możliwe, zastanawiałem się, żeby go gonił i chciał zjeść? Wypełzły z wrzosów, wsunęły w kępę wybielonej słońcem trawy i tyle je widziałem. Klnąc na czym świat stoi już chciałem zmienić miejsce w nadziei, że je znowu gdzieś dojrzę, kiedy się ukazały i to na względnie otwartej przestrzeni.

Teraz ten, który był na przodzie, przystanął, a ten z tyłu zrównał się z nim. Przez chwilę leżały obok siebie, po czym ścigający zaczął jakby pytająco trącać nosem głowę tego drugiego. Doszedłem do wniosku, że pierwszy wąż to samica a ten drugi to samiec. W dalszym ciągu bódł ją lekko głową w podgardle, aż wreszcie udało mu się unieść nieco jej łeb i szyję nad ziemię. Zastygła w tej pozycji, a samiec, cofnąwszy się kilka cali, również uniośł łeb. Przez dłuższą chwilę trwały tak, łeb w łeb, wpatrując się w siebie nawzajem. Potem powoli samiec podsunął się bliżej, owinał się wokół niej i razem dźwignęły się do pozycji niemal pionowej, zachowując przy tym równowagę, splecione niby powój. Znowu trwały nieruchomo przez jakiś czas, a potem zaczęły się kołysać niby dwaj siłacze przepychający się nawzajem na ringu, ogony im się wiły wokół korzeni traw w poszukiwaniu lepszego punktu oparcia. Wreszcie opadły na bok, tylne części ich ciał się złączyły i tak leżąc w słońcu, splecione jak karnawałowe serpentyny, odbywały swoje gody.

W tym właśnie momencie Roger, który z rosnącą rozpaczą patrzył, jak pochłania mnie ten widok, wstał i nim go zdążyłem przytrzymać, otrząsnął się cały, dając mi do zrozumienia, że

jeśli o niego chodzi, to lepiej żebyśmy już sobie gdzieś poszli. Niestety i węże zauważyły jego poruszenie. Na moment zwinęły się w splecione węzeł lśniący w słońcu, w następnej chwili samica wyswobodziła się i smyrnęła szybko pod osłonę wrzosów wlokąc za sobą bezradnego samca, wciąż jeszcze z nią złączonego. Roger popatrzył na mnie, kichnął z satysfakcją i pomachał krótkim ogonkiem. Byłem jednak bardzo zły na niego i powiedziałem mu to bez ogródek. Czy miło by mu było, zapytałem, gdyby w jednym z tych licznych wypadków, kiedy był zespolony z samicą, nagle zagroziło mu jakieś niebezpieczeństwo i gdyby został tak smrotnie zwleczony z łoża miłości?

Razem z latem pojawiły się na wyspie gromady Cyganów, by pomagać przy zniwach i kraść przy okazji, co tylko wpadnie w rękę. Widywało się ich na białych, pokrytych kurzem drogach, jak ciągnęli całymi rodzinami na osłach czy malutkich kucykach lśniących niby kasztany – ludzie o oczach jak tarki i śniadej skórze spalonej słońcem niemal na czarno. Ich obozowiska były zawsze brudne i urzekające: na ogniskach bulgotało kilkanaście garnków z różną zawartością, stare kobiety kucaly w cieniu nędznych bud i trzymając na kolanach główki małych dzieci iskały im pilnie wszy, podczas gdy starsze dzieci w odzieży wystrzępionej niby liście mniszka bawiły się hałaśliwie i tarzały w pyle. Mężczyźni oddawali się tutaj swym ubocznym zajęciom. Jeden skręcał i związywał barwne balony, które skrzeczały protestująco, i nadawał im dziwaczne zwierzęce kształty.

Inny znowu, dumny właściciel teatrzyku cieni, reperował płaskie, jaskrawo malowane figurki i odbywał próbę jakichś tureckich wulgarności ku zachwytowi rozchichotanych ładnych młodych kobiet, które warzyły coś w garnkach czy też siedząc w cieniu robiły na drutach.

Zawsze pragnąłem zaprzyjaźnić się z Cyganami, ale byli to ludzie płochliwi i nieprzyjaźni, którzy ledwo tolerowali Greków. Moja zwichrzona czupryna niemal biała od słońca i niebieskie oczy natychmiast stawiały mnie w rzędzie podejrzanych i chociaż Cyganie pozwalali mi odwiedzać swoje obozy, nigdy nie byli w stosunku do mnie tak otwarci jak greccy chłopcy, którzy natychmiast opowiadali mi wszystko o swoim życiu prywatnym i planach na przyszłość. A jednak właśnie Cyganie byli – pośrednio – odpowiedzialni za rodzinną awanturę. Ja akurat tym razem byłem absolutnie niewinny.

Było to pod koniec wyjątkowo upalnego letniego popołudnia. Ogromnie się zmęczyliśmy z Rogerem idąc śladem wielkiego i oburzonego położa stepowego wzdłuż długiego odcinka muru z kamiennych łupek. Nim zdążyliśmy rozebrać kawałek muru, już wąż płynnie prześlizgiwał się nieco dalej, a kiedy odbudowaliśmy rozebrany kawałek, trzeba było pół godziny szukać położa w labiryncie skał. Wreszcie musieliśmy uznać się za pokonanych i ruszyliśmy w kierunku domu na herbatę, spragnieni, spoceni i pokryci kurzem. Na zakręcie drogi spojrzałem w malutką dolinkę i zobaczyłem coś, co na pierwszy rzut oka wydało mi się człowiekiem z niezwykle dużym psem. Przyjrzawszy się bliżej stwierdziłem z niedowierzaniem,

że jest to mężczyzna z niedźwiedziem. Tak byłem zdumiony, że bezwiednie krzyknąłem. Niedźwiedź dźwignął się na zadnie łapy, obrócił i spojrzał na mnie, człowiek również. Przyglądali mi się przez chwilę, potem mężczyzna kiwnął mi ręką na przywitanie i powrócił do swego zajęcia: rozkładał właśnie obóz pod drzewem oliwkowym. Niedźwiedź znów opadł na cztery łapy i przysiadł, patrząc z zainteresowaniem na mężczyznę. Zbiegłem do nich pędem ogromnie podniecony, słyszałem bowiem o tańczących niedźwiedziach w Grecji, ale nigdy takiego niedźwiedzia nie widziałem. Zbyt piękna to okazja, bym mógł ją stracić. Podchodząc przywitałem ich głośno, a mężczyzna obrócił się od swojej nędznej chudoby i odpowiedział całkiem uprzejmie. Zobaczyłem, że był to Cygan o ciemnych dzikich oczach i granatowoczarnych włosach, ale wyglądał o wiele dostatniej niż większość znanych mi Cyganów, gdyż ubranie miał wylatane, nosił też buty, co w owych czasach było rzadkością nawet wśród chłopów osiadłych tutaj na roli.

Zapytałem, czy można podejść do niedźwiedzia, choć bowiem miał rzemienny kaganiec na pysku, nie był spętany.

– Tak, możesz podejść – odparł mężczyzna. – Pavlo nie zrobi ci krzywdy, ale psa zostaw.

Obróciłem się do Rogera i stwierdziłem, że choć to pies naprawdę odważny, nie zachwyca się wcale widokiem niedźwiedzia i pozostaje teraz przy mnie tylko z poczucia obowiązku. Kiedy kazałem mu wracać do domu, rzucił mi wdzięczne spojrzenie i pobiegł pod górę próbując udawać, że nie wie, o co chodzi. Mimo zapewnień Cygana, że Pavlo nie zrobi mi krzywdy, podchodziłem do niego bardzo ostrożnie. Był to młody niedźwiedź, lecz stojąc na tylnych łapach przewyższał mnie o dobrą stopę, a na każdej szerokiej puszystej łapie miał szereg straszliwych i bardzo groźnych lśniących pazurów. Przysiadł na zadzie i spoglądał na mnie malutkimi, mrugającymi brązowymi oczkami, sapiąc. Wyglądał jak ogromna kupa ożywionych, niechlujnych wodorostów. Mnie wydał się najbardziej godnym pożądanym zwierzęciem, jakie w życiu widziałem, toteż obchodziłem go i podziwiałem jego urodę ze wszystkich stron.

Zasypałem Cygana chciwymi pytaniami. Ile on ma lat? Skąd się wziął? Co on z nim robi?

– Tańczy i zarabia na swoje i moje życie – oświadczył Cygan, najwidoczniej rozbawiony moim entuzjazmem. – Spójrz, pokażę ci.

Wziął kijek z małym haczykiem na końcu i wsunął haczyk w pierścień przy kagańcu misia.

– Chodź, zatańcz z tatą.

Jednym szybkim ruchem miś dźwignął się na tylne łapy. Mężczyzna strzelił palcami i zagwizdał rzewną melodię, starając się przesuwając nogi w takt muzyki, a miś szedł w jego ślady. Razem szurali nogami w powolnym dostojnym menuecie pośród ostów koloru indygo i suchych łądyg lilii złotogłowiu. Mógłbym im się tak przyglądać w nieskończoność. Kiedy mężczyzna przestał gwizdać, miś opadł na cztery łapy i kichnął, jakby zawsze tym kończył występ.

– Brawo! – zawołał cicho Cygan. – Brawo!

Biłem entuzjastyczne brawa. Zapewniłem Cygana z powagą, że nigdy w życiu nie widziałem tak pięknego tańca ani tak utalentowanego tancerza jak Pavlo. Czy mógłbym go pogłaskać?

– Możesz z nim robić, co ci się żywnie podoba – zachichotał Cygan wyjmując kijek z kółka przy kagańcu misia. – To głupi niedźwiedź. Nie skrzywdzi nawet złodzieja, który mu będzie kradł żarcie.

W dowód prawdziwości swoich słów zaczął drapać grzbiet olbrzyma, a ten, wzniosłszy pysk ku niebu, wydawał gardłowe sapliwe pomruki rozkoszy i w ekstazie przysiadł coraz niżej, aż wreszcie przykleił się do ziemi i wyglądał niemal jak rozłożona skóra niedźwiedzia. – Uwielbia, jak go drapać – powiedział Cygan. – Chodź i podrap go.

Następne pół godziny było i dla mnie czystą rozkoszą. Drapałem misia, a on śpiewał z zachwytu. Obejrzałem jego wielkie pazury, uszy i malutkie błyszczące oczka, kiedy tak leżał i znosił cierpliwie moją ciekawość, jakby spał. Potem wsparłem się o ciepłe cielsko misia i zacząłem gadać z jego właścicielem. W głowie mojej powstawał plan. Postanowiłem, że ten miś będzie mój. Psy i inne zwierzęta szybko się z nim oswoją i będziemy mogli wspólnie tańczyć walca na zboczach wzgórz. Wmawiałem w siebie, że moją rodzinę zachwyci tak inteligentny nowy domownik. Ale najpierw muszę wprowadzić jego właściciela w odpowiedni nastrój do interesów. Handel z wieśniakami jest zajęciem hałaśliwym, przewlekłym i trudnym. Ale ten człowiek był Cyganem, a to, czego Cyganie nie wiedzą o handlu, da się zmieścić w łupinie orzecha. Wyglądał jednak nie tak mrukliwie i małowównie jak inni Cyganie, z którymi się dotychczas zetknąłem. Wziąłem to za dobry omen. Zapytałem, skąd pochodzi.

– Z daleka, z daleka – odparł przykrywając swój dobytek wy strzępionym brezentem i trzepiąc jakieś powycierane koce, które miały mu zapewne służyć za legowisko. – Wczoraj wieczór wysiedliśmy na łąd w Lefkimi i odtąd wędrujemy, Pavlo, ja i Głowa. Widzisz, nie wzięliby Pavla do autobusu, oni się go boją, więc nie spaliśmy zeszłej nocy, ale dzisiaj prześpiemy się tu taj, a jutro dotrzemy do miasta.

Spytałem go zaintrygowany, co to znaczy, że Pavlo, on i Głowa wędrowali z Lefkimi.

– Moja Głowa, oczywiście – odparł. – Moja mała gadająca Głowa. – Tu, wzięwszy kijek misia, szturchnął jakiś stos rzeczy pod brezentem i wyszczerzył do mnie zęby.

Wygrzebałem właśnie z kieszeni spodenek pokruszone szczątki czekolady i zajęty byłem karmieniem nią misia, który brał każdy kawałek wzdychając i mlaskając z rozkoszy. Powiedziałem Cyganowi, że nie rozumiem, o czym on mówi. Przykucnął przede mną i zapalił papierosa przyglądając mi się bacznie ciemnymi oczyma tak nieprzyjawnymi jak oczy jaszczurki.

– Mam Głowę – tu wskazał kciukiem na stos swoich rzeczy – żywą Głowę. Mówi i odpowiada na pytania. To niewątpliwie największa osobliwość, jaka istnieje na świecie.

Zdumiałem się. Czy on chce powiedzieć, spytałem, że to jest głowa bez ciała?

– Oczywiście, że bez ciała. Tylko Głowa. – Tu złożył wypukłe dłonie tak, jakby miał w nich orzech kokosowy. – Siedzi na kijku i gada z tobą. Jeszcze nigdy nie było czegoś takiego na świecie.

– Ale w jaki sposób – zapytałem – głowa pozbawiona ciała może żyć?

– Dzięki sztuce czarnoksiężskiej – odparł uroczyście. – Sztuce magicznej, która przeszła na mnie z mojego prapradziada.

Pewny byłem, że ze mnie żartuje, ale chociaż dyskusja o gadających głowach była bardzo ciekawa, czułem, że odchodzimy od najbardziej mnie interesującego tematu, którym było natychmiastowe przejście na własność Pavła, wysysającego teraz przez kaganiec z sapliwymi westchnieniami ukontentowania ostatni kawałek mojej czekolady. Dokładnie przyjrzałem się przykucniętemu przede mną mężczyźnie o sennych oczach, w obłoku dymu. Doszedłem do wniosku, że w stosunku do niego najlepiej będzie przybrać postawę śmiałą i bezpośrednią. Zapytałem otwarcie, czy brałby pod uwagę możliwość sprzedania Pavła i za jaką cenę.

– Sprzedać Pavła? Nigdy w życiu. Przecież to jak mój syn.

No, ale, przekonywałem, gdyby tak poszedł w dobre ręce.

Gdzieś, gdzie by go kochano, gdzie mógłby tańczyć? Czy wtedy nie skusiłby się i nie sprzedał go? Mężczyzna przyglądał mi się w zamyśleniu, kurząc papierosa.

– Dwadzieścia milionów drachm? – zapytał, a potem roześmiał się widząc moją skonsternowaną minę. – Ci, co mają ziemię, muszą mieć osła, żeby ją uprawiać. Nie rozstają się z nim łatwo. Pavlo to mój osioł. Tańczy, żeby zarobić na życie swoje i moje, i póki nie będzie za stary na występy, poty się z nim nie rozstanę.

Byłem gorzko rozczarowany, widziałem jednak, że jest nieugięty. Podniosłem się z pozycji leżącej na szerokim, ciepłym grzbiecie pochrapującego cicho Pavła i otrzepałem ubranie. No cóż, powiedziałem, nic więcej nie mogę zrobić. Rozumiem, że chce zatrzymać misia, ale gdyby kiedykolwiek zmienił zdanie, czy mógłby się ze mną skontaktować? Kiwnął poważnie głową.

A jeśli będzie występował w mieście, czy mógłby mi dać znać, gdzie się odbędzie występ, żebym mógł przyjść?

– Oczywiście – odparł – ale sędzę, że ludzie ci wskażą, gdzie jestem, bo moja Głowa jest wielką osobliwością.

Skinałem potakująco i uścisnąłem mu dłoń. Pavlo podniósł się, a ja poklepałem go po łbie.

Obróciłem się do nich, kiedy już znalazłem się na wzgórzu nad dolinką. Stali obok siebie. Mężczyzna pomachał mi ręką, a Pavlo kołysząc się na tylnych łapach, z wysoko uniesionym pyskiem węszył za mną. Bardzo pragnąłem wierzyć, że chciał mnie w ten sposób pożegnać.

Maszerowałem do domu rozmyślając o Cyganie, jego gadającej Głowie i cudownym Pavlo. Zastanawiałem się, czy byłoby możliwe, żebym zdobył skądś i wychował małego niedźwiedzia? Może ogłoszenie do gazet w Atenach przyniosłoby jakieś skutki?

Cała rodzina siedziała zebrana w salonie przy herbacie, postanowiłem więc naradzić się z nimi w tej sprawie. Lecz kiedy wszedłem do pokoju, w sielskiej scenie zaszła niebywała zmiana. Margo wydała przeszywający wrzask, Lany wylał sobie na kolana całą filiżankę herbaty, a potem rzucił się i skrył za stołem, podczas gdy Leslie porwał w ręce krzesło, a matka patrzyła na mnie z wyrazem zdrtwiałego przerażenia. Jeszcze nigdy w życiu moje wejście nie spowodowało tak jednoznacznej reakcji ze strony całej rodziny.

– Wyprowadź to stąd! – ryczał Larry.

– Zabieraj go stąd do cholery! – wrzeszczał Leslie.

– Zabije nas wszystkich! – piszczała Margo.

– Weź strzelbę – powiedziała matka słabym głosem – weź strzelbę i ratuj Gerry’ego.

W żaden sposób nie mogłem pojąć, co im się stało. Wszyscy wpatrywali się w coś za mną. Obróciłem się i spojrzałem również: w progu, wężąc optymistycznie w kierunku nakrytego do herbaty stołu, stał Pavlo. Podszedłem do niego i złapałem za kaganiec. Obwąchał mnie serdecznie. Wyjaśniłem rodzinie, że to tylko Pavlo.

– Ja tego nie zniosę – charczał Lany. – Tego już nie zniosę! Ptactwo, psy, jeże wszędzie, po całym domu, a teraz niedźwiedź! Co on sobie, u Boga Ojca, wyobraża, że to, cholera, jakaś arena rzymska?

– Gerry, kochanie, uważaj – głos matki drżał. – Wygląda bardzo groźnie.

– Zabije nas wszystkich – piszczała Margo z przekonaniem.

– Nie mogę przejść koło niego, żeby sięgnąć po strzelbę – mówił Leslie.

– Nie będziesz go trzymał! Zabraniam! – krzyczał Larry. – Nie pozwolę zamienić naszego domu w niedźwiedzią jaskinię!

– Skąd go masz, synku? – pytała matka.

– Nic mnie nie obchodzi, skąd on go ma! – wrzeszczał Larry. – Musi go stąd zabrać natychmiast, w tej chwili, zanim nas rozszarpie na strzępy. Ten smarkacz nie ma w sobie ani krztyny poczucia odpowiedzialności. Nie pozwolę robić z siebie chrześcijańskiego męczennika w tak wczesnym wieku.

Pavlo dźwignął się na zadnie łapy i wydał długi, przeciągły, sapliwy jęk, który zrozumiałem jako chęć przyłączenia się do nas i wzięcia udziału w tej uczcie. Rodzina zrozumiała to całkiem inaczej.

– Oooooch! – wrzasnęła Margo, jakby ją coś ugryzło. – Atakuje!

– Gerry, uważaj! – wołała matka.

– Trzymajcie mnie, bo go uduszę – charczał Larry.

– Jeśli ujdiesz z życiem – dodał Leslie. – Zamknij się, Margo, pogarszasz tylko sprawę. Prowokujesz to cholerne bydlę.

– Będę wrzeszczała, jak mi się zechce – oburzyła się Margo. Tak wrzaskliwie wyrażali swój

strach, że nie dali mi dojść do słowa i wyjaśnić wszystkiego. Spróbowałem wreszcie coś powiedzieć. Wy tłumaczyłem im, że po pierwsze, Pavlo nie jest mój, a po drugie, że jest oswojony jak pies i nie skrzywdziłby muchy.

– Dwa stwierdzenia, w które nie wierzę – oznajmił Lany. – Zwędziłeś go z jakiegoś cyrku dla ubogich. Nie tylko zostaniemy wypatroszeni, ale jeszcze aresztują nas za przechowywanie kradzionych rzeczy.

– Spokojnie, spokojnie, kochanie – mitygowała matka. – Pozwólcie Gerry’emu wszystko wytłumaczyć.

– Wy tłumaczyć? – dyszał Lany. – Jak można wytłumaczyć obecność wielkiego parszywego niedźwiedzia w salonie?

Powiedziałem, że niedźwiedź jest własnością Cygana, który ma gadającą Głowę.

– Co to znaczy gadającą głowę? – zainteresowała się Margo.

Odpowiedziałem, że to jest głowa bez ciała, która gada.

– Ten chłopiec oszalał – stwierdził z przekonaniem Lany. – Im szybciej pošlemy go do szpitala, tym lepiej.

Wszyscy wycofali się teraz w najodleglejszy kąt pokoju i stali w trwożnej gromadce. Oświadczyłem im z oburzeniem, że to, co powiedziałem, jest najprawdziwszą prawdą i, na dowód, każę misiowi zatańczyć. Złapałem ze stołu kawałek ciasta, przesunąłem palec przez kółko w kagańcu i wydałem ten sam rozkaz, co uprzednio Cygan. Pavlo, utkwivszy chciwie oczy w cieście, podniósł się na tylne łapy i tańczył bez oporu ze mną.

– Patrzcie! – zawołała Margo. – On tańczy!

– Choćby się nawet zachowywał jak cały *corps de ballet* [(fr.) zespół baletowy.] – wołał Larry – żądam, żeby się to bydlę stąd wyniosło!

Wsunąłem ciasto misiowi przez kaganiec, a on wessał je chciwie.

– Przecież on jest rozkoszny. – Matka przyglądała mu się z zainteresowaniem poprawiając okulary na nosie. – Pamiętam, że mój brat miał kiedyś niedźwiedzia w Indiach. Było to bardzo miłe zwierzę.

– Nie! – krzyknęli jednogłośnie Larry i Leslie. – Nie będzie go tu trzymał!

Powiedziałem, że tak czy inaczej nie będę go mógł chować, gdyż właściciel nie chce go sprzedać.

– Łaska boska – mruknął Larry. – Może byś mu go zwrócił, jeśli skończyłeś ten kabaretowy występ przy podwieczorku.

Wziąłem następny kawałek ciasta jako łapówkę, raz jeszcze przesunąłem palec przez kółko w kagańcu i wyprowadziłem misia z domu. W połowie drogi przez gaj oliwny spotkałem zrozpaczonego właściciela zwierzaka.

– Jest! Jest nareszcie! Ty, nieposłuszny! Nie mogłem się domyślić, dokąd on poszedł! Nigdy

ode mnie nie odchodzi, dlatego go nie przywiązuję. Musiał cię ogromnie polubić.

Uczciwość kazała mi przyznać, że według mnie jedynym powodem, dla którego Pavlo poszedł za mną, było to, że widział we mnie źródło czekolady.

– Ufffl – odetchnął Cygan. – Co za ulga. Myślałem, że może poszedł do wioski, miałbym wtedy kłopoty z policją.

Niechętnie przekazałem misia właścicielowi i odprowadzałem ich wzrokiem, kiedy wracali do swego obozowiska wśród drzew. Potem z pewnym drżeniem poszedłem do domu, by stawić czoło rodzinie. Przyjście Pavla do naszego salonu nie było moją winą, lecz różne dawniejsze postęпки świadczyły przeciwko mnie i trzeba było długo przekonywać moich najbliższych, że tym razem jestem niewinny.

Następnego ranka z głową pełną myśli o niedźwiedziu, poszedłem posłusznie do miasta – jak co dzień – do domu mego nauczyciela, Ryszarda Kralefsky'ego. Kralefsky był mały jak gnom, trochę garbaty, o wielkich, poważnych bursztynowych oczach; przechodził prawdziwe męki starając się bezskutecznie wbić mi coś w głowę. Miał dwie niezwykle ujmujące cechy: głębokie przywiązanie do przyrody (cały strych w jego domu zajmowały kanarki najprzeróżniejszych gatunków i inne ptaki) oraz to, że przynajmniej przez pewną część każdego dnia żył w wyimaginowanym świecie, gdzie zawsze był bohaterem. Zazwyczaj opowiadał mi te przygody. Towarzyszyła mu w nich nieuchronnie bohaterka, która nigdy nie została nazwana z imienia, lecz o której mówił po prostu „pewna dama”.

Pierwsza część ranka poświęcona była matematyce, a ja, z głową pełną myśli o niedźwiedziu, okazałem się tego dnia jeszcze bardziej tępy niż zwykle, ku wielkiej konsternacji pana Kralefsky'ego, który dotychczas sądził, że zgłębił już otchłań mego nieuctwa.

– Chłopcze kochany, ty dzisiaj zupełnie nie myślisz – zwrócił się do mnie z powagą. – Nie jesteś w stanie pojąć najprostszych rzeczy. Może trochę się przemęczyłeś? Zrobimy sobie wobec te go krótką przerwę, dobrze?

Kralefsky lubił te krótkie przerwy tak samo jak ja. Najpierw szedł do kuchni, wracał z dwoma kubkami kawy i kruchymi ciasteczkami, po czym siadaliśmy w towarzyskim nastroju, a on opowiadał mi swoje niezwykle barwne, wyimaginowane przygody. Tego ranka jednak nie miał po temu okazji. Natychmiast, kiedy zasiedliśmy wygodnie przy kawie, powiedziałem mu wszystko o człowieku z gadającą Głową i z misiem.

– Niesłychane – przyznał. – Tego się człowiek na ogół nie spodziewa w gaju oliwnym. Musiałeś się ogromnie zdziwić.

A potem oczy zrobiły mu się szkliste, popadł w zadumę, wzrok utkwivszy w suficie i przechylił kubeczek tak mocno, że kawa wylała się na spodek. Było oczywiste, że moje zainteresowanie misiem skierowało dokądś jego myśli. Już od kilku dni nie słyszałem żadnego odcinka jego wspomnień, czekałem więc niecierpliwie, co z tego teraz wyniknie.

– Kiedy byłem młody – zaczął Kralfesky, sprawdzając bacznie, czy na pewno słucham – otóż za młodych lat był ze mnie, trzeba to przyznać, pędziwiatr. Ciągłe wpadałem w jakieś tarapaty, wiesz, jak to bywa.

Zachichotał na to wspomnienie i strzepnął z kamizelki okruszki biszkopta. Patrząc na jego delikatne, wymanicurowane ręce i wielkie łagodne oczy, trudno mi było wyobrazić go sobie jako pędziwiatra, ale bardzo się starałem.

– Kiedyś myślałem nawet o tym, żeby uciec do cyrku – zwierzał mi się z miną człowieka, który przyznaje się do dzieciobójstwa. – Pamiętam, jak kiedyś do miasteczka, w którym mieszkaliśmy, przyjechał wielki cyrk, a ja chodziłem na wszystkie przedstawienia. Na wszystkie, bez wyjątku. Poznałem dobrze cyrkowców, a oni nawet nauczyli mnie kilku sztuczek. Powiadali, że mam talent do trapezu. – Tu rzucił mi nieśmiałe spojrzenie, by sprawdzić, jak to przyjmę. Z powagą kiwałem głową, jakby w obrazie Kralfesky'ego w obcisłych wyszywanych cekinami trykotach, na trapezie, nie było nic śmiesznego.

– Poczęstuj się jeszcze biszkoptem, proszę. Wybornie, wybornie. Ja chyba też sobie wezmę.

Żułem ciasteczko i czekałem cierpliwie, aż podejmie wątek.

– No więc – ciągnął – tydzień minął jak z bicia trząśł i nad szedł wieczór ostatniego przedstawienia. Nie opuściłbym go za żadne skarby świata. Przyszedłem w towarzystwie pewnej da my, młodej mojej znajomej, która pragnęła zobaczyć spektakl. Jakże ona się śmiała z kłownów! Zachwycała się końmi! Nie przeczuwała nawet, że za chwilę miał uderzyć straszliwy grom.

Wyjął delikatnie perfumowaną chusteczkę i otarł zroszone czoło. Zawsze się troszkę za bardzo przejmował dochodząc do punktu kulminacyjnego swojej opowieści.

– Ostatnim numerem – ciągnął – była tresura lwów. – Prze rwał, abym zdążył zdać sobie sprawę ze złowróżbnego znaczenia tego stwierdzenia. – Pięć bestii. Wielkie lwy nubijskie o czarnych grzywach, prosto, jak mi mówił treser, z dżungli. Siedziałem z damą w pierwszym rzędzie, tak byśmy mogli mieć jak najlepszy widok na arenę. Wiesz, jakie klatki czy coś w tym rodzaju buduje się dla numeru z lwami? No więc, podczas przedstawienia jeden segment tej klatki, nie dość dokładnie za ryglowany, upadł na arenę. Ku naszemu przerażeniu zobaczyliśmy, jak wali się na tresera lwów, który pada bez zmysłów na ziemię. – Przerwał, łyknął nerwowo kawy i po raz wtóry otarł Pot z czoła.

– Cóż można było zrobić? – zapytał retorycznie. – Pięć olbrzymich, ryczących lwów, a tu, u mego boku, dama. Myśli błyskawicznie przebiegały mi przez głowę. Jeśli mam uratować damę, to pozostaje mi tylko jedna rzecz do zrobienia. Chwyciwszy laskę, skoczyłem na arenę i wszedłem do klatki.

Wydałem ledwo słyszalny dźwięk świadczący jednak o moim podziwieniu.

– W ciągu tygodnia, kiedy tak często bywałem w cyrku, pilnie przyglądałem się metodom

tresera lwów i teraz dziękowałem za to swojej szczęśliwej gwiazdce. Ryczące bestie na wysokich stołkach górowały nade mną, ale ja patrzyłem im prosto w oczy. Wiesz, że wzrok ludzki potrafi obezwładnić zwierzę. Powoli, przesywając je wzrokiem, z wymierzoną w nie laską, podporządkowałem sobie lwy i krok po kroku spędziłem z areny. Uniknęliśmy straszliwej tragedii.

Powiedziałem, że zapewne dama musiała mu być ogromnie wdzięczna.

– Owszem, była – przyznał z zadowoleniem Kralefsky. – Tak dalece, że powiedziała mi, iż dałem lepsze przedstawienie niż sam treser lwów.

A czy on, pytałem, w owych cyrkowych czasach miał kiedyś do czynienia z tańczącym misiem?

– Z wszystkimi gatunkami zwierząt – Kralefsky nie hamował już swej imaginacji. – Słonie, psy, niedźwiedzie, wszystkie zwierzęta były w tym cyrku.

Wobec tego, zapytałem go niepewnie, czy nie chciałby pójść i zobaczyć tańczącego misia? To niedaleko, mały kawałek drogi i chociaż to nie jest cyrk w całym tego słowa znaczeniu, może go jednak zainteresuje.

– Na Boga, dobra myśl – zawołał Kralefsky. Wyciągnął zegarek z kamizelki i spojrział. – Na dziesięć minut, co? To nam od świeży umysł.

Wziął kapelusz i laskę i razem ruszyliśmy żwawym krokiem przez wąskie, zatłoczone ulice miasta woniejące owocami, jarzynami, rynsztokiem i świeżo upieczonym chlebem. Kilku małych chłopczków wskazało nam drogę do miejsca, gdzie właściciel Pavla dawał przedstawienia. Była to wielka, mroczna szopa za sklepem w samym centrum miasta. Po drodze kupiłem za pożyczone od Kralefsky'ego pieniądze kawałek lepkiego nugata, wydawało mi się bowiem, że nie mogę odwiedzić Pavla bez prezentu.

– Ach, przyjaciel Pavla! Witaj! – powiedział Cygan, gdy stanęliśmy w progu szopy.

Ku mojej radości Pavlo mnie poznał i podszedł szurając łapami i pochrząkując cicho, a potem dźwignął się na tylne nogi. Kralefsky cofnął się, dość spiesznie, pomyślałem, jak na kogoś z cyrkowym wykształceniem, i chwycił mocniej laskę.

– Uważaj, chłopcze – powiedział.

Nakarmiłem Pavla nugatem, a on, kiedy już zessał z zębów i połknął ostatni lepko-słodki kawałek, wydał zadowolone westchnienie i położył się z łbem między łapami.

– Chcesz zobaczyć Głowę? – zapytał Cygan. Skinął ręką w głąb szopy, gdzie stał prosty stół z nieheblowanych desek, a na nim kwadratowe pudło obite materiałem. – Zaczekaj – powie dział. – Zapalę świece.

Na pudle stało kilkanaście świec przyklejonych stearyną, które teraz zapalił, a one migotały i drżały, wprawiając cienie w ruch. Potem podszedł do stołu i zastukał w blat kijem misia.

– Głowo, czy jesteś gotowa? – zapytał.

Czekałem, a po grzbiecie przeleciał mi kłujący dreszcz strachu. Wtedy z wnętrza pudła rozległ się czysty, cienki głos:

– Tak. Jestem gotowa.

Cygan podniósł zasłonę z jednego boku pudła, a wówczas zobaczyłem, że jest ono zrobione z drobnych listewek obciągniętych luźno cienkim płótnem. Pudło było kwadratowe, o bokach długości trzech stóp. Wewnątrz znajdował się cokolik ze spłaszczonym wierzchołkiem, a na nim głowa siedmioletniego chłopca, robiąca makabryczne wrażenie w migotliwym świetle świec.

– Na Jowisza! – zakrzyknął Kralefsky z podziwem. – Jakie to sprytne!

Zdumiało mnie to, że Głowa jest żywa. Niewątpliwie była to głowa młodego cygańskiego chłopca w dość prymitywny sposób ucharakteryzowana czarną szminką na głowę Murzyna. Przyglądała się nam i mrugała oczami.

– Czy jesteś gotowa i możesz odpowiadać na pytania? – pytał Cygan patrząc z widoczną satysfakcją na urzeczonego Kralefsky’ego.

– Głowa oblizwała wargi. – Tak, jestem gotowa.

– Ile masz lat? – zapytał Cygan.

– Przeszło tysiąc.

– Skąd pochodzisz?

– Pochodzę z Afryki, a nazywam się Ngo.

Cygan monotonnie zadawał pytania, Głowa odpowiadała, lecz nie to ciekawiło mnie najbardziej. Najbardziej chciałem się dowiedzieć, jak to jest urządzone. Kiedy pierwszy raz powiedział mi o Głowie, spodziewałem się czegoś z drzewa czy z gipsu, co będzie przemawiać głosem brzuchomówcy, ale tu miałem żywą głowę zatknietą na niewielkim drewnianym cokoliku nie grubszym od świecy. Nie było wątpliwości co do tego, że Głowa żyje, wodziła bowiem oczyma odpowiadając automatycznie na pytania, a raz, kiedy Pavlo wstał, na ciemnej twarzy ukazał się wyraz obawy.

– Proszę – powiedział dumnie Cygan skończywszy pytania. – Mówiłem, co? To największa osobliwość na świecie.

Spytałem, czy pozwoli mi obejrzeć wszystko z bliska. Przypomniałem sobie nagle, jak Teodor opowiadał, że wywoływano podobne złudzenie za pomocą luster. Nie bardzo widziałem, gdzie dałoby się ukryć ciało, które przecież musiało należeć do Głowy, sądziłem jednak, że trzeba dobrze obejrzeć stół i pudło.

– Bardzo proszę – odparł, ku memu zdziwieniu, Cygan. – Masz tu mój kijek. Proszę cię tylko, żebyś nie dotykał samej Głowy.

Ostrożnie obszturchałem kijkiem cokol, chcąc sprawdzić, czy nie ma ukrytych za nim luster i sznurków, a Głowa przyglądała mi się z wyrazem lekkiego rozbawienia w czarnych oczach. Boki pudła obciągało z pewnością płótno, a dnem był, jak się okazało, blat stołu, na którym

pudło stało. Obszedłem je naokoło, ale niczego nie mogłem znaleźć. Wpełzłem nawet pod stół, ale i tam nic nie było, a już na pewno brakło miejsca na schowanie ciała. Byłem zupełnie oszołomiony.

– Aha – triumfował Cygan. – Tego się nie spodziewałeś, prawda? Myślałeś pewnie, że gdzieś tam ukrywam chłopaka, co?

Przyznałem pokornie, że takie właśnie były moje przypuszczenia, i prosiłem, żeby mi powiedział, na czym to polega.

– O, nie, nie mogę ci powiedzieć – odparł. – To są sztuki magiczne. Gdybym ci powiedział, Głowa zniknęłaby w obłoku dymu.

Po raz drugi sprawdziłem pudło i stół, nawet przysunąłem sobie świecę, by lepiej widzieć, i w dalszym ciągu nie mogłem pojąć, jak to się wszystko dzieje.

– Chodź – powiedział Cygan. – Dostyc już Głowy. Chodź i za tańcz z Pavlem.

Wsunął hak kijka w kółko kagańca misia, a ten podniósł się na tylne łapy. Cygan wręczył mi kijek, ujął małą drewnianą fujarkę i zagrał, a my z Pavlem odtańczyliśmy uroczysty taniec.

– Cudowne, na Jowisza! Cudowne! – wołał Kralefsky bijąc entuzjastyczne brawa. Zaproponowałem, żeby teraz on zatańczył z misiem, ma przecież tak wielkie cyrkowe doświadczenie.

– Wiesz – zastanowił się Kralefsky – mam wątpliwości, czy to by było bardzo mądre. Zwierzę, rozumiesz, jeszcze się ze mną nie oswoiło.

– Och, nic nie szkodzi – uspokajał go Cygan. – On tam jest z każdym oswojony.

– No cóż – powiedział kwaśno Kralefsky, wyraźnie się do tego nie kwapiąc – jeśli jesteście pewni. Jeśli bardzo nalegacie.

Wziął ode mnie ostrożnie kijek Pavla i stanął niepewnie przed nim z mocno wylęknioną miną.

– A teraz – powiedział Cygan – będziecie tańczyć.

I zaczął wygrywać rytmiczną melodię na swojej fujarce.

Stałem urzeczony tym widokiem. Żółte, migotliwe światło świec ukazywało na ścianie cień małej garbatej postaci mego nauczyciela i kudłaty kształt misia wirujących w koło i w koło, a przycupnięta na cokoliku Głowa patrzyła na nich i chichotała, szczerząc zęby w uśmiechu.

Gniewne barylki

Z końcem lata nadchodziło winobranie. Przez cały rok winnice były częścią składową krajobrazu, częścią, o której istnieniu człowiek wiedział, ale dopiero z nadejściem winobrania uświadamiał sobie poprzedzające je etapy: winnice zimą, kiedy winorośle wyglądały jak martwe kawałki wyrzuconego na brzeg drzewa wetknięte szeregiem w ziemię; potem ten dzień wiosną, kiedy po raz pierwszy dostrzegało się zielonkawy połysk na każdej winorośli – gałęzie zaczynały wypuszczać delikatne, kryzowane listeczki. A potem liście rosły i wisiały na winoroślach niby wielkie zielone dłonie grzejące się w słonecznym żarze. Później zaczynały się ukazywać grona – malutkie guzeczki na rozgałęzionej łodyżce i rosły stopniowo, i pęczniały w słońcu, aż wreszcie zaczynały przypominać nefrytowe jajka jakiegoś dziwnego potwora morskiego. Potem przychodziła pora na mycie winorośli. Na małych drewnianych wózkach ciągniętych przez bezgranicznie cierpliwe osiołki przewożono w wielkich beczkach roztwór siarczanu miedzi i wapna. Ukazywali się spryskiwacze w strojach, które czyniły z nich przybyszów z innej planety: gogle, maski, na plecach przypięte pasami ogromne zbiorniki, z których prowadziły węże gumowe ruchliwe jak trąba słońca, tryskające płynem. Mieszanka była tak niebieska, że niebo i morze musiały się wstydić swej barwy. Był to przedestyłowany błękit wszystkiego, co błękitne na świecie. Napelniono zbiorniki, a spryskiwacze ruszali między falbaniastymi rzędami winorośli pokrywając każdy liść, spowijając każde grono zielonych winogron delikatną pajęczyną błękitu madonny. Pod tym błękitnym ochronnym płaszczem grona nabrzmiewały i dojrzewały, aż wreszcie były gotowe do zrywania i wyciskania soku.

Winobranie było czymś tak ważnym, że automatycznie stawało się również okresem składania wizyt, pikników, uroczystości, okresem, kiedy to wyciąga się resztki zeszłorocznego wina, by chwilę się nad nim zadumać.

Otrzymaliśmy zaproszenie na winobranie od pana Stavrodakisa, dobrotliwego, malutkiego, zasuszonego człowieczka o twarzy wygłodzonego żółwia. Pan Stavrodakis był właścicielem willi i ogromnych winnic w północnej części wyspy. Był to człowiek, którego celem życia było wino, który uważał, że wino jest sprawą najważniejszą na świecie, toteż zaproszenie jego zostało nam doręczone w sposób odpowiednio uroczysty i zostało odpowiednio uroczysto przyjęte przez rodzinę. Pisał w swoim liście wykaligrafowanym śmiałym pismem, zdobnym w liczne zakrętasy i zawijasy, przypominającym misterną ornamentykę gotycką kutą w żelazie: „Proszę łaskawie uważać się za upoważnionych do przywiezienia również swoich przyjaciół, którym mogłoby to sprawić przyjemność”.

– Cudownie – ucieszył się Larry. – Powiadają, że ma najlepszą piwnicę na Korfu.

– No cóż, chyba możemy tam pojechać, jeśli macie ochotę – w głosie matki brzmiała wątpliwość.

– Oczywiście, że mamy ochotę – parsknął Larry. – Pomyśl tylko o tym winie. Wiesz co, wynajmiemy łódź i urządzimy piknik.

– Doskonale – Margo podjęła propozycję z prawdziwym entuzjazmem. – On ma cudowną plażę w swoim majątku. Będziemy się mogli dobrze wypływać przed końcem lata.

– Możemy zaprosić Svena – mówił Larry. – Powinien już do tego czasu wrócić. I poprosimy Maxa i Donalda, żeby z nami pojechali.

– I Teodora – dorzucił Leslie.

– Larry, kochanie – oponowała matka – przecież zostaliśmy zaproszeni przez tego pana tylko po to, żeby popatrzeć, jak się wyciska jego winogrona, czy co tam się z tym robi, więc nie możesz zabierać ze sobą całej hordy ludzi.

– Powiada w liście, że możemy zabrać ze sobą przyjaciół, z którymi chcielibyśmy przyjechać – upierał się Larry.

– Tak, ale nie możemy zabrać ze sobą połowy mieszkańców miasta. Jakże ten nieszczęsny człowiek zdoła nas wykarmić?

– Cóż, to się da łatwo rozwiązać – machnął ręką Larry. – Napisz do niego i powiedz, że przyjedziemy z własnym jedzeniem.

– To pewno znaczy, że ja będę musiała je gotować?

– Bzdura – zbył ją Larry. – Weźmiemy po prostu kilka kotletów czy coś takiego i upieczemy nad ogniskiem.

– Dobrze wiem, co to znaczy.

– No przecież chyba potrafisz to jakoś zorganizować. Wydaje mi się, że trudno o coś prostszego i mniej skomplikowanego.

– No cóż – zgodziła się, acz niechętnie, matka. – Porozmawiamy jutro rano ze Spiro i zobaczą, co się da zrobić.

W rezultacie matka napisała do pana Stavrodakisa wyszukany liścik, w którym zawiadamiała, że z przyjemnością przyjmujemy jego zaproszenie i że przywieziemy kilku przyjaciół. Zabierzemy ze sobą własne jedzenie i zrobimy piknik na plaży. Pan Stavrodakis przysłał w odpowiedzi jeszcze jedno kaligraficzne dzieło sztuki dziękując nam za łaskawe przyjęcie jego zaproszenia i zawiadamiając, że oczekuje nas niecierpliwie. Dodał przy tym: „Jesteśmy przy nadziei, że przyjdą państwo rozebrani”. – To zdanie bardzo nas zdumiało, jako że wiedzieliśmy, iż pan Stavrodakis jest zatwardziałym starym kawalerem – póki nie zdaliśmy sobie sprawy, że to mieszanka złej angielszczyzny i dosłownego tłumaczenia z francuskiego.

Ostatecznie towarzystwo nasze składało się z Donalda i Maxa, Teodora, Kralefsky’ego, Svena, który w okamgnieniu Przyjechał z Aten, Spiro i całej naszej rodziny. Zebraliśmy się w mieście o wpół do siódmej rano na zapadniętych stopniach za pałacem królewskim, gdzie czekała na nas pękata, świeżo odmalowana *benzina* dygając nam na powitanie na drobnych

zmarszczkach wody. Trochę nam czasu zabrało wsiadanie do łodzi. Trzeba było władować niezliczone kosze z jedzeniem i winem, naczynia kuchenne i przeogromną matczyną parasolkę od słońca, bez której w lecie nie chciała się nigdzie ruszyć. Potem promieniejący uśmiechami Kralefsky musiał wśród ukłonów pomóc ceremonialnie matce i Margo przy wsiadaniu do łodzi.

– Powolutku. Proszę się nie potknąć. Wybornie, wybornie – mówił eskortując je na łódź z uprzejmością godną doży pomagającego wsiąść do gondoli swojej ostatniej kochance.

– Na szczęście – zauważył Teodor spoglądając badawczo na niebieskie niebo spod runda kapelusza – na szczęście zapowiada się... wiesz... ładny dzień. Rad jestem, ponieważ, jak ci wiadomo, szkodzi mi najmniejsze kołysanie.

Syenowi pośliznęła się noga przy wsiadaniu i byłby wrzucił swój bezcenny akordeon do morza, gdyby długie ramię Maxa nie uratowało go od mokrej śmierci. Wreszcie wszyscy znaleźliśmy się na pokładzie. Odepchnięto łódź, motor zaterkotał i ruszyliśmy. W bladej perlistej mgielce wczesnego ranka miasto wyglądało jak dziecinna zabawka, zbudowana z ruchomych klocków. Zapowiadające upał opary zamazywały kontury fasad wysokich starych domów weneckich rozsypujących się cicho, w jasnych odcieniach kremowego, brązu, bieli i różowości – tworząc rozmazany pastelowy obraz.

– Życie na falach oceanu – Kralefsky wciągał dramatycznie w nozdrza ciepłe, spokojne powietrze. – Wybornie! Wybornie!

– Choć morze wydaje się tak spokojne – zauważył Teodor – jednak, wydaje mi się, odczuwam jakieś niemal niedostrzegalne drobne wstrząsy.

– Co za bzdury – obruszył się Larry. – Przecież mógłbyś położyć na wodzie poziomiec i pęcherzyk nawet by nie drgnął.

– Czy mamusia wygodna? – pytał serdecznie Max.

– Tak, chłopcze, dziękuję, zupełnie mi wygodnie, troszkę się tylko martwię, bo nie wiem, czy Spiro nie zapomniał czosnku.

– Niech pani głowa nie pęka! – Spiro usłyszał jej słowa. – Pani mówiła, ja brałem!

Sven obejrzał dokładnie akordeon, by sprawdzić, czy na pewno nic mu się nie stało, teraz zarzucił sobie rzemień na ramię i przebiegł próbnie palcami po klawiaturze.

– Jakąś rzešką marynarską piosenkę – powiedział Donald. – Tego nam trzeba. Plum, plum i w butelce rum na umrzyka skrzyni.

Zostawiłem ich i poszedłem na przód łodzi, gdzie położyłem się patrząc na wodę nad dziobem, który pruć szkliste niebieskie morze. Od czasu do czasu powierzchnię przed nami rozrywały małe stada latających ryb połyskujących w słońcu błękitem i księżycowym srebrem; wyskakiwały z wody i pomykały na powierzchni niby jaskółki goniące w lecie owady nad niebieską łąką.

O ósmej dotarliśmy do miejsca przeznaczenia – długiej na pół mili plaży leżącej pod stokiem

Pandokratora. Tutaj gaj oliwny spływał niemal do samego morza oddzielony od niego tylko szerokim pasmem kamyków. Przy brzegu wyłączono motor, podpływaliśmy powoli własnym rozpędem. Teraz, kiedy ustał szum silnika, słychać było nawoływanie cykad witających nas na łądzie. *Benzina* z ogromnym westchnieniem wsunęła się dziobem w kamyki na płyciźnie. Mały ciemny chłopak, właściciel łódki, przeszedł od motoru na przodzie, zeskoczył na brzeg i zaklinał mocno kotwicę między kamieniami. Potem ustawił pod dziobem całą kolekcję skrzynek tworząc coś w rodzaju rozchwierutanych schodków, po których Kralefsky sprowadzał na ład matkę i Margo. Kłaniał się elegancko każdej z nich, gdy stanęła na kamykach, ale troszkę popsuł efekt, bo nieopatrznie zrobił krok w tył i wszedł prawie po kolana w wodę, która nieodwracalnie zniszczyła nienaganne dotąd kanty jego eleganckich spodni. Wreszcie znaleźliśmy się wszyscy wraz z naszymi larami i penatami na brzegu. Zostawiliśmy dobytek pod oliwkami, a sami, rozsypaną gromadką niby rozbitkowie z okrętu wyrzuconego przez morze, ruszyliśmy pod górę do siedziby Stavrodakisa.

Była to duża, kwadratowa willa barwy spłowiałej czerwieni z zielonymi okiennicami, a postawiona tak wysoko, że parter tworzył przestronną piwnicę. Przez podjazd sunął sznur wiejskich dziewcząt poruszających się z gibkim kocim wdziękiem; niosły na głowach kosze pełne winnych gron. Stavrodakis wybiegł ku nam na powitanie.

– Jak miło! Doprawdy, jak miło! – powtarzał za każdym razem, kiedy przedstawialiśmy mu następnego gościa.

Usadowił nas na werandzie pod ogromną karnawałową peruką czerwonej boguwili i otworzył kilka butelek najlepszego swojego wina. Było ciężkie i ostre, a jarzyło się tak posepną czerwienią, jak roztopione kamienie granatu. Kiedy pokrzepiliśmy się, a w głowach nam lekko zaszumiało, poprowadził nas na dół do swoich piwnic, pomykając przodem niby jakiś sympatyczny karaluch.

Piwnice były tak ogromne, że trzeba było ciemniejsze zakamarki oświetlać. Służyły do tego lampki oliwne, czyli małe, migotliwe knoty zanurzone w miseczkach bursztynowej oliwy. Piwnice podzielone były na dwie części. Najpierw zaprowadził nas do pierwszej, gdzie odbywało się deptanie. Ponad wszystkim innym majaczyły tam w mrocznym świetle trzy gigantyczne beki. Jedną z nich napełniała winnymi gronami nieprzerwana procesja kobiet wiejskich. Dwie pozostałe zajmowali deptacze. W kącie, na przewróconej do góry dnem baryłce, siedział siwy, kruchy staruszek i ogromnie uroczyście grał na skrzypcach.

– To jest Taki, a to jest Yani – oznajmił Stavrodakis wskazując na dwóch deptaczy.

Głowa Taki ledwo była widoczna znad beczki, zaś Yani wystawiał jeszcze i ramiona, i głowę.

– Taki depce od wczoraj wieczór – oznajmił Stavrodakis rzucając na matkę i Margo nerwowe spojrzenie – sądzę więc, że może być nieco pijany.

Do miejsca, gdzie staliśmy, dochodził straszliwy, odurzający zapach pulpy winogronowej, który skoncentrowany tam, w ciepłych głębiach beczki, musiał mieć co najmniej trzy razy większą siłę. Z podstawy beczki sączyło się ciurkiem niedojrzałe młode wino i sphywało do koryta, gdzie parowało z łatami piany różowej jak kwiaty migdałów. Stąd ściągano je rurką do beczek.

– Mamy teraz, oczywiście, już koniec winobrania – tłumaczył Stavrodakis. – To są resztki czerwonych winogron. Pochodzą z małej winnicy położonej nieco wyżej i dają, śmiem sądzić, jedno z najlepszych win na Korfu.

Taki przerwał na chwilę swój taniec na winogronach, zahaczył się ramionami o skraj beczki i zawisł jak pijana jaskółka w gniazdku, z ramionami i dłońmi poplamionymi winem i upačkanymi skórkami i nasionami winogron.

– Czas, żebym stąd wylazł – oświadczył ochryplym głosem – bo będę pijany jak bela.

– Za chwileczkę, za chwileczkę, mój Taki – Stavrodakis spojrział na niego nerwowo. – Za chwileczkę przyjdzie Costos, żeby cię zmienić.

– Muszę się wysusiać – tłumaczył Taki z miną pokrzywdzonego. – Człowiek nie może pracować, jak się nie wysusia.

Stary odłożył skrzyпки i, zapewne w ramach rekompensaty, wręczył deptaczowi kawałek ciemnego chleba, który ten pożarł łapczywie.

Teodor robił Svenowi uczony wykład o winoroślach, pokazując laską zarówno beczułki, jak deptaczy, jakby wskazywał eksponaty w muzeum.

– Kto – pytał Max – utonął w beczce małmazji?

– Jeden z rozsądniej szych bohaterów Szekspira – odpowiedział Lany.

– Pamiętam – mówił Kralefsky do Donalda – oprowadzałem kiedyś pewną damę po jednej z największych piwnic we Francji.

Gdzieś w połowie drogi zacząłem odczuwać niepokój. Miałem przeczucie nieszczęścia i wyprowadziłem damę na zewnątrz. W tej samej chwili czternaście beczek eksplodowało z hukiem armat...

– Tu, jak państwo widzieli, odbywa się deptanie – powiedział Stavrodakis. – Teraz proszę iść za mną, pokażę państwu, gdzie przechowujemy wino.

Przeprowadził nas pod łukowym sklepieniem do drugiej części piwnicy. Tu po obu stronach leżały szeregami beczki. Hałas był niewiarygodny. Fermentujące w brązowych brzuchach wino sprawiało, że beczki gulgotały, skrzypiały, warczały na siebie jak rozwścieczony tłum. Dźwięk był fascynujący, ale trochę niesamowity. Tak jakby w trzewiach tych beczek uwięziony był straszliwy demon, który rzucał niezrozumiałe przekleństwa.

– Wieśniacy mówią – powiedział Teodor z makabrycznym upodobaniem – że takie dźwięki wydaje topielec.

– Małmazja – powtarzał w podnieceniu Max. – Beczki, beczki małmazji. Larry, utopniemy się razem.

– Utopimy – poprawił Donald.

– To bardzo interesujące – mówiła niezszyta matka do Stavrodakisa – ale jeśli nam pan wybaczy, pójdziemy z Margo z powrotem na plażę i dopilnujemy lunchu.

– Zastanawiam się, jaka siła wzbiera w czymś takim. – Leslie rozglądał się posepnie wokół.

– To znaczy, jeśli tam powstało dostateczne ciśnienie, żeby wypchnąć jeden z tych szpuntów, to jaką by to miało siłę wyrzutu?

– Całkiem dużą – odparł Teodor. – Widziałem kiedyś człowieka ciężko poharatanego szpuntem od beczki. – Jakby chciał nam to zademonstrować, zastukał ostro laską w baryłkę, a my wszyscy podskoczyliśmy gwałtownie.

– Niech nam pan wybaczy – powiedziała matka nerwowo – ale sądzę, że musimy już z Margo wracać.

– Ale reszta, ale pozostali pójdą ze mną na górę do domu i napiją się wina, dobrze? – prosił Stavrodakis.

– Oczywiście, pójdziemy – odparł Lany, jakby mu robił łaskę.

– Małmazja! – Max przewracał ekstatycznie oczyma. – Będzie małmazja.

Tak więc, gdy matka i Margo poszły na plażę, żeby pomóc Spiro przygotować lunch, zaaferowany Stavrodakis zapędził nas z powrotem na werandę i tak spoił winem, że kiedy przyszedł czas powrotu na plażę, byliśmy rozgrzani, spoceni i podchmieleni.

– Śniłem – wyśpiewywał Max, kiedy szliśmy pośród drzew oliwnych prowadząc z nami zadowolonego Stavrodakisa – śniłem, że mieszkał w pałacu z marmuru, przy mnie wesele i garnki... [„Śniłem, że mieszkał w pałacu z marmuru, przy mnie wesele i garnki” z libretta Alfreda Bunna do angielskiej opery „The Bohemian Girl”]

– On mi to robi specjalnie na złość – szepnął Donald Teodorowi. – Doskonale zna słowa tej piosenki.

Na samym brzegu morza pod drzewami rozpalono trzy ogniska z węgla drzewnych. Żarzyły się, migotały i dymiły leciutko, a nad nimi prażyło się i skwierczało rozmaite jadlo. Margo rozłożyła w cieniu ogromny obrus i układała na nim sztuce i szklaneczki podśpiewując fałszywie pod nosem, a matka i Spiro, przycupnięci jak wiedźmy nad ogniskami, tu polewali brązowe skwierczące koźlę oliwą i nacierali czosnkiem, tam wyciskali cytrynę na wielkie cielsko ryby, której skóra pod wpływem żaru pokrywała się apetycznymi kruchymi pęcherzykami.

Jedliśmy lunch bez pośpiechu, rozciągnięci naokoło białego obrusa, a w szklankach żarzyło się wino. Mięso było soczyste, miękkie, przesiąknięte ziołami, a kawałki ryby rozpływały się w ustach jak płatki śniegu. Rozmowa to cichła, to nabierała życia, to znowu opadała sennie niby dym z ognisk.

– Trzeba się zakochać w kawałku kamienia – mówił z powagą Sven. – Człowiek widuje tyle kamieni. Mówi: ech, to nie dla mnie. I nagle widzi kawałek kamienia, delikatny, elegancki – i zakochuje się w nim. Jak z kobietą. Ale potem przychodzi małżeństwo i to bywa okropne. Walczysz z nim i stwierdzasz, że kamień jest twardy. Jesteś w rozpacz, a tu nagle topi ci się, jak wosk, w rękach i tworzysz kształt.

– Pamiętam – mówił Teodor – jak kiedyś zaprosił mnie Berlincourt – wiesz, ten francuski malarz, co mieszka w Paleocastica – żeby przyszedł i obejrzał jego obrazy. Powiedział... ehm... zupełnie wyraźnie: „Niech pan przyjdzie obejrzyć moje obrazy”. Poszedłem więc kiedyś po południu, a on przyjął mnie bardzo gościnnie. Poczęstował mnie... ehm... wiesz, ciasteczkami i herbatą, a kiedy powiedziałem, że chciałbym obejrzyć jego obrazy, wskazał jedno wielkie płótno stojące na... ehm... jak się nazywa to coś, na czym malarze stawiają płótno? Aha, oczywiście, na sztalugach. Obraz był naprawdę bardzo ładny. Był to pejzaż – zatoka w Paleocastica, klasztor, bardzo często malowane, więc wyraziłem moje uznanie i rozejrzałem się za pozostałymi pracami, ale nic już nie było. Wobec tego... ehm... spytałem, gdzie reszta, a on wskazał na sztalugi i powiedział: – Tam, pod spodem. – Okazało się, że nie stać go było na kupno płótna, wobec czego malował jeden obraz na drugim.

– Wielcy artyści muszą cierpieć – stwierdził Sven.

– Jak przyjdzie zima, zabiorę was na bagna Butrinto – mówił z entuzjazmem Leslie. – Kaczek tam jak psów, a na wzgórzach cholernie wielkie dziki.

– Kaczka dobrze, ale dzik dla mnie za duża świnia – oznajmił Max z przekonaniem człowieka, który zna swoje możliwości.

– To nie dla Maxa – stwierdził Donald. – On by pewno w decydującym momencie odwrócił się i zwiął. Przecież to cudzoziemiec.

– A potem – tłumaczyła Kralefsky’emu matka – wkłada pan listek bobkowy i szczaw tuż przed zagotowaniem.

– Więc mu powiadam, panienko Margo, powiadam, może on być francuski ambasador, ale dla mnie on jest sukinsyn.

– A dalej, na skraju bagien, tylko dosyć trudno tam chodzić, grunt jest bardzo podmokły, można ustrzelić kszyka i słonkę.

– Pamiętam, jak byłem kiedyś z wizytą w pewnym domu macedońskim, gdzie wykonywano bardzo dziwne... ehm... rzeźby z drzewa.

– Znałem pewną damę, która to przyrządzała bez listka bobkowego, ale ze szczyptą mięty.

Był to najbardziej upalny moment dnia, kiedy nawet cykady przycichają i od czasu do czasu głos je zawodzi. Czarne mrówki krzątały się pracowicie na obrusie zbierając okruchy naszego jadła. Końska mucha o oczach lśniących jak złośliwe szmaragdy przysiadła na moment na brodzie Teodora, potem śmignęła dalej.

Powolutku, syty jadła i wina, wstałem i skierowałem się ku morzu.

– A czasem – słyszałem, jak Stavrodakis mówi do Margo – czasem beczki naprawdę krzyczą. Podnoszą taką wrzawę, jakby się biły. Nie mogę zasnąć.

– Och, niech pan tego nie mówi. – Margo zadrżała cała. – Skóra mi cierpnie na myśl o tym.

Morze było spokojne i ciepłe, gładkie jak lustro, tylko malutka falka głaskała leniwie brzeg. Spod stóp z chrzęstem usuwały mi się rozgrzane kamienie; na tej plaży wszystkie miały nieprawdopodobne kolory i kształty, rzeźbione falami i delikatnym wzajemnym ścieraniem się i polerowaniem. Wyrzeźbione zostały w miliony kształtów: groty, sierpy, koguciki, konie, smoki i rozgwiazdy. Kolory miały równie dziwaczne jak kształty, bowiem już od milionów lat barwiły je soki ziemi, a później wypolerowało je i wygładziło morze. Białe w złoty czy czerwony wzór, krwistoczerwone w białe kropy, niebieskie i bladopłowe, kawowe w ciemnordzawe wzory jak paproć, różowe jak peonie z białymi hieroglifami egipskimi niosącymi w poprzek kamyczków jakiś tajemniczy nieczytelny przekaz. Tak, jakby wzdłuż brzegu morza rozrzucono niezwykle bogactwo klejnotów.

Brodziłem w ciepłej płyćźnie, potem dałem nurka i wypłynąłem dalej, na chłodniejsze wody. Tu, jeśli się wstrzymało oddech i opadło na dno, aksamitna miękka kołderka morza na moment ogłuszała, stępiała człowiekowi słuch. Potem, po chwili, ucho dostrajało się do podwodnej symfonii. Dalekie pulsowanie motoru łodzi, miękkie jak bicie serca, łagodny szept piasku, przesypanywanego i włączanego przez morze, a nade wszystko melodyjne pobrzękiwanie kamyków na brzegu. Chciałem posłuchać morza przy robocie, jak przeciera i poleruje swój wielki skład kamieni, wypłynąłem więc z głębin na płyćznę. Zakotwiczylem się chwytając garść wielobarwnych kamyków, a potem zanurzony z głową słuchałem, jak plaża śpiewa pod delikatnymi dotknięciami drobniutkich fal. Pomyślałem, że gdyby włoski orzech potrafił śpiewać, pewno by to tak właśnie brzmiało. Chrup, brzęk, pisk, mruk, chrzęst (cisza podczas cofania się fali), a potem znów to samo w innej tonacji przy następnej fali. Morze grało na plaży jak na instrumencie. Przez chwilę leżałem drzemiąc na ciepłej płyćźnie, a potem, ocieężały od snu, wróciłem do oliwnego gaju.

Wszyscy leżeli bezwładnie wokół pozostawionych szczątków jadła. Wyglądało to jak pobożowisko po jakiejś straszliwej bitwie. Zwinąłem się jak mysz w opiekuńczych korzeniach wielkiej oliwki i spokojnie odpłynąłem w sen.

Obudziło mnie delikatne pobrzękiwanie kubeczków do herbaty, bo Margo i matka nakrywały właśnie do podwieczorku. Spiro rozmyślał z ogromnym natężeniem nad ogniem, na którym postawił imbryk. Przyglądałem mu się sennie, a tu imbryk uniósł pokrywkę i pokiwał na niego impertynencko, sycząc parą. Spiro sięgnął ogromniastą łapą i wlał zawartość do dzbanka na herbatę, a potem obrócił się i objął ponurym spojrzeniem leżące ciała.

– Herbata! – ryknął gromko. – Herbata gotowa.

Wszyscy porwali się, przerażeni.

– Wielki Boże, musisz się tak drzeć, Spiro? – narzekał Larry głosem ochrypłym od snu.

– Herbata! – Zbudzony Kralefsky rozglądał się wkoło jak wymięta ćma. – Herbata, na Jowisza! Cudownie! Wybornie! Wybornie!

– Chryste, jak mnie łeb boli – jęknął Leslie. – To przez to wino. Mocne jak diabli.

– Tak, ja sam jestem troszkę rąbnięty. – Lany ziewnął i przeciągnął się.

– Czuję się tak, jakbym się utopnął – mówił z przekonaniem Max. – Utopnięty w małmazji i odżywiony sztucznym natchnieniem.

– Czy ty musisz zawsze tak kaleczyć język angielski? – złościł się Donald. – Bóg jeden wie, że wystarczą na to tysiące Anglików, bez cudzoziemskiej pomocy.

– Pamiętam, że gdzieś czytałem – odezwał się Teodor, który zbudził się momentalnie jak kot, a że spał też jak kot, wyglądał po przebudzeniu świeżo i nienagannie, jakby w ogóle nie spał. – Pamiętam, czytałem kiedyś, że gdzieś w górach Cejlonu żyje plemię mówiące językiem, którego nikt nie może zrozumieć. Idzie o to, że nawet specjaliści językoznawcy nie są w stanie go rozszyfrować.

– Coś mi to przypomina angielszczyznę Maksa – mruknął Donald.

Powoli zaczynaliśmy się rozbudzać, dzięki herbacie, smarowanych masłem grzankom, słonym biskwitom, kanapkom z rukwią wodną i ogromnemu plackowi z owocami, wilgotnemu, kruchemu i tak wonnemu jak czarnoziem. Później zeszliśmy do morza i pływaliliśmy w ciepłej wodzie, aż zaszło słońce spychając na plażę cień góry, tak że brzeg wydawał się zimny i wyzbyty barw. Poszliśmy potem do willi Stavrodakisa i siedzieliśmy pod boguwilą, patrząc, jak blaski zachodu bledną i stapiają się na horyzoncie nad morzem. Pożegnaliśmy się z panem domu, który zmusił nas do przyjęcia kilkunastu dużych stągwi najlepszego wina na pamiątkę wizyty u niego i ruszyliśmy z powrotem do naszej *benzina*.

Idąc do łodzi wyszliśmy z cienia góry i znowu znaleźliśmy się w ciepłym blasku słońca, które zatapiało się, okrwawione, za wyniesieniem Pandokratora rzucając na wodę migotliwe refleksy jak płonące cyprysy. Kilka małych chmurek oblało się czerwienią i żółtością, potem słońce dało nurka za górę i niebo z błękitnego zmieniło się w bladezielone, a gładka powierzchnia morza zapaliła się na jedną ulotną chwilę czarodziejskimi barwami opalu. Motor dygotał, gdy ruszaliśmy w drogę powrotną do miasta rozwijając za sobą motek białej koronki kilwateru. Sven zaintonował cichutko na akordeonie początek „Krzewu migdałowego” i wszyscy zaczęliśmy śpiewać:

Krzew migdałowy w kwiecie stal i w słońcu lśnił

Trąciła go z pustoty.

Śnieg płatów na jej piersi padł ramiona skrył

*Czarne posrebrzył sploty.
Śnieg płatów na jej piersi padł ramiona skrył
Czarne posrebrzył sploty.*

Głęboki, bogaty i gładki jak czarny aksamit głos Spiro stapał się z ciepłym barytonem Teodora i tenorem Larry'ego. Dwie ryby latające wyprysnęły z modrych głębin pod naszym dziobem, pokicały po wodzie i zniknęły w zmierzchającym morzu.. Robiło się już na tyle ciemno, że widać było drobne zielone błyski fosforu, gdy dziób naszej łodzi pruł powierzchnię wody. Ciemne wino bulgotało mile, przelewane z kamiennych dzbanów do szklaneczek, czerwone wino, które w zeszłym roku leżało i warczało w brązowych beczkach. Leciutki wietrzyk uderzył łódź, ciepły i miękki jak kocia łapa. Kralefsky, z głową odrzuconą do tyłu i wielkimi oczyma pełnymi łez, śpiewał w aksamitny granat nieba rozdygotanego od gwiazd. Morze szemrało wzdłuż naszych burt niby niesione wiatrem zimowe liście ocierające się miłośnie o pnie drzew, które im dały życie.

*Ja, widząc miłą moją strojną w śnieg, pobiegłem w skok,
Wnet przy niej stałem,
Otarłem z białych płatków każdy splot i każdy lok,
Całując powiedziałem:
Otarłem z białych płatków każdy splot i każdy lok.*

Całując powiedziałem:

Daleko, daleko w kanale oddzielającym Korfu od stałego lądu ciemność upstrzona była jarzącymi się światełkami łodzi rybackich. Mogłoby się здаwać, że do morza wpadł jakiś drobny skrawek Drogi Mlecznej. Księżyc wychylał się powoli spoza masywu gór Albanii najpierw czerwony jak słońce, potem przechodzący w miedź, żółtość, wreszcie bielejący. Malutkie wietrzne zmarszczki na powierzchni wody lśniły jak tysiące rybich łusek.

Wino i melancholijne piękno nocy napęliły mnie jakimś rozkosznym smętkiem. Zawsze tak będzie, myślałem. Roziskrzona, przyjazna wyspa, pełna tajemnic, wokół mnie moja rodzina, zwierzęta i przyjaciele. Brodata głowa Teodora rysowała się w świetle księżyca; brakowało mu tylko rożków, by wyglądał jak bożek Pan. Kralefsky szlochał teraz bezwstydnie jak wielki czarny gnom oplakujący swe wygnanie z krainy czarów; Spiro, z nachmurzoną ciemną twarzą i głosem wibrującym jak tysiące rozśpiewanych latem pszczół; Donald i Max, marszczący czoło w wysiłku, by zapamiętać słowa piosenki, a jednocześnie śpiewać do wtóru; Sven, jak ogromne paskudne białe niemowlę, wyciskający delikatnie wzruszającą strużkę muzyki ze swego niezdarnego instrumentu.

*Głuptasku mój, słyszałaś, żeby kto przedwcześnie tak
Okrywał głowę śniegiem?
Ponurej zimy dniom, gdy mrozi zły, północny wiatr,
Naprzeciw nie wybiegaj!
Ponurej zimy dniom, gdy mrozi zły, północny wiatr,
Naprzeciw nie wybiegaj!*

Teraz, myślałem, idzie ku zimie, ale przecież wkrótce będzie znowu wiosna, pełna blasku, ośniewająca, wesoła jak szczygieł. A potem przyjdzie lato i długie, gorące, żółte jak żonkile dni.

*Głuptasku mój, słyszałaś, żeby kto przedwcześnie tak
Okrywał głowę śniegiem?
Ponurej zimy dniom, gdy mrozi zły, północny wiatr.
Naprzeciw niej wybiegaj!
Ponurej zimy dniom, gdy mrozi zły północny wiatr,
Naprzeciw niej wybiegaj!*

[Przekład Ewy Życimskiej.]

Ukołyszany winem i pulsującym sercem motoru, ukołyszany ciepłą nocą i śpiewem, zapadłem w sen, a łódź niosła nas z powrotem przez ciepłe gładkie wody ku naszej wyspie i słonecznym dniom, które nigdy nie miały nadejść.

Epilog

*Wyspa Korfu ma dla mnie tak wielkie znaczenie,
że utrata jej zadałaby śmiertelny cios moim zamierzeniom.*

*Pamiętaj: w obecnej sytuacji w Europie największym nieszczęściem,
jakie by mi się mogło przytrafić, jest utrata Korfu.*

NAPOLEON

Korespondencja

Kartka pocztowa:

Szanowna pani,

Wydaje mi się, że wojny jednak nie da się uniknąć i sędzę, że byłoby rozsądniej, gdyby opuściła pani Korfu. Możemy mieć tylko nadzieję, że spotkamy się w szczęśliwszych czasach, kiedy ludzkość odzyska zdrowe zmysły. Będę bardzo wyglądał tej chwili.

Gdyby Pani chciała się ze mną skomunikować, proszę pisać na Bank Joński w Atenach.

Życzę zarówno Pani, jak Jej rodzinie, wszystkiego najlepszego na przyszłość.

Serdeczne pozdrowienia. Oddany Teodor.

List:

Mamo!

Przeniosłem się do Aten, bądź ze mną w kontakcie. Miasto cudowne. Akropol jak różowe mięso w słońcu. Wysłałem ci moje rzeczy. W kufrze numer 3 znajdziesz książkę pod tytułem „Krytyka Marlowe’a”. Czy mogłabyś mi ją przysłać? Tu wszyscy noszą żelazne garnki na głowach, wygląda na wojnę. Kupuję sobie wielką dzidę.

Ucałowania Lany.

List:

Mamo kochana,

Wszystkie czeki podróżne gwizdnął mi jakiś cholerny makaroniarz. Chcieli mnie aresztować, bo mu dałem w mordę. Jak ja tęsknię za Grekami!

Czy możesz mi przysłać trochę forsy na adres Hotel Magnifica, Plaza de Contina, Mediolan? Niedługo wracam, nie martw się.

Ucałowania Les.

P.S. Znosi się chyba na wojnę, co?

List:

Kochana Mamo,

Tylko króciutko kilka słów: w poniedziałek wyjeżdżam statkiem, więc za trzy tygodnie powinnam być w Anglii.

Tu wszystko jak w gorączce, ale czego się można było spodziewać? Nieszczęścia idą

w parze. Moim zdaniem Niemcy zachowują się po prostu skandalicznie. Gdybym mogła, to bym im to powiedziała. Niedługo się zobaczymy.

Ucałowania i serdeczności dla wszystkich Margo.

P.S. Załączam liścik od Spiro. Dosyć dziwny.

List:

Kochana panienko Margo,

Zawiadamiam panienkę, że wojna wypowiedziana. Nikomu ani słowa.

Spiro.